

MAX BILSKI

KLAUS

ODWRÓCONA PRAWDA

VIDEOGRAF

MAX BILSKI

KLAUS

ODWRÓCONA PRAWDA

VIDEOGRAF

Redakcja

Anita Głowacka

Projekt okładki

Maksym Leki

Fotografia na okładce

© *Mariusz Niedzwiedzki / shutterstock.com | AlexShevchenko78 / shutterstock.com*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej

Maksym Leki

Marketing

Kinga Ucherek

promocja.videograf@gmail.com

Korekta

Urszula Bańcerek

Wydanie I, Siemianowice Śląskie 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Olimpijska 12

tel. 600 472 609, 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2023

tekst © Krzysztof Oremus

ISBN 978-83-8293-077-1

„Każda mijająca minuta to kolejna szansa,
aby coś zmienić”.

Cytat z filmu *Vanilla Sky* (2001)

*Ani, Monice, Szymkowi
– moim kochanym dzieciom*

Bum!

– Ale z ciebie sukinsyn. Wiesz o tym? – Człowiek, który wypowiedział te słowa, wszedł do pokoju hotelowego z wypchaną torbą podróżną w ręku. Niewysoki, elegancki, ubrany w ciemny prochowiec i spodnie zwężane ku dołowi zgodnie z aktualnymi trendami mody. Pachniał dobrymi perfumami, wyglądał na kogoś ważnego. Tak noszą się biznesmeni albo dyplomaci. Albo oszuści w białych kołnierzykach.

– To kwestia perspektywy, *monsieur* – odparł Klaus. Siedział w fotelu z przyklejonym do twarzy lekko kpiącym uśmiechem i myślał o tym, że tak właśnie wyobrażał sobie słynnego marszanda kultury, właściciela znanej w Paryżu galerii dzieł sztuki. Gościa, który pod maską praworządnego obywatela ukrywał cwana, złodziejską naturę. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zdążył go poznać na wylot, jednak dopiero teraz po raz pierwszy widział go z bliska. Nie żywił do niego ani złości, ani żadnej urazy. Był on jedynie celem, niczym punkcik na tarczy strzeleckiej.

Przyszło mu do głowy, że tak naprawdę to nie za bardzo się różnią. No, jeśli nie brać oczywiście pod uwagę stroju żabojada, w który się zapakował. Nie żeby Klaus miał coś przeciwko prochowcom czy modnemu krojowi spodni – po prostu nie lubił takiego stylu. Tak jak nie lubił knajp, w których kelner podsuwał ci krzesło pod tyłek, a później sterczał dwa metry dalej i gapił się, gotów niczym sęp rzucić się do stołu, by dolać kolejną porcję wina. Albo strzepnąć niewidzialny okruszek z serwety. Ta niechęć do wyszukanego stylu życia była zresztą jednym z powodów, dla którego jego małżeństwo chyliło się ku upadkowi – Klaus dałby sobie rękę obciąć, że to tylko kwestia czasu. Był o tym przekonany, tak jak większość ludzi wie, że łapie ich grypa.

Przybysz rzucił tymczasem torbę na łóżko. Nie była zbyt duża, taka w sam raz, żeby spakować w nią rzeczy na dwudniowy wyjazd. Albo upchać, na przykład, pół miliona euro.

– Możesz przeliczyć – warknął, nie kryjąc przy tym nie tylko wściekłości, ale i pogardy.

– Nie muszę. Uwierz, że mam dobre oko do tych spraw. – Klaus mrugnął do mężczyzny.

– Na twoim miejscu nie cieszyłbym się tak. Kiedyś się jeszcze spotkamy, ale wtedy role będą odwrócone.

– Stanie się to tylko wtedy, gdy znowu skradniesz jakieś cacko, a ja uznam, *monsieur*, że warto ci złożyć wizytę. No cóż... – westchnął Klaus. – To tylko parę

groszy w porównaniu z tym, ile zarobiłeś, dziadu, na obrazie. Więc nie zgrywaj biedaka. Na chleb ci wystarczy, nie? A ja też muszę wiązać jakoś koniec z końcem. Rozumiesz... świat nie jest sprawiedliwy.

– Jedno ci mogę obiecać, sukinsynu. Któregoś dnia przypomnisz sobie o mnie. Tak czy siak.

– Pewnie siak. No dobra. Nie gniewaj się, ale wizyta skończona.

Klaus podniósł się z fotela i skierował kroki w stronę drzwi. Nie miał czasu na dalsze pogawędki z tym paryskim cwaniakiem – wykonał w stu procentach to, co sobie zaplanował i na tym koniec.

Francuz raz jeszcze przeszył go wzrokiem, po czym wyszedł bez słowa, purpurowy ze złości.

Klaus przekręcił za nim klucz w zamku, następnie otworzył torbę i jego oczom ukazała się górnica upchanych byle jak plików banknotów.

Co za syfiarz – pomyślał. Pieniądze trzeba szanować.

Zamknął torbę i poszedł do łazienki. Odkręcił kurek, poczekał, aż z kranu popłynie letnia woda i wsadził pod nią głowę. Na skorzystanie z kabiny prysznicowej było już zbyt późno. Po chwili po dnie umywalki spływała ciemna struga. Kolor schodził tak szybko, jak zapewniała go ta miła dziewczyna w sklepie z kosmetykami.

Wyprostował się i sprawdził efekt. Włosy odzyskały swój naturalny kolor. Był zadowolony i uśmiechnął się do twarzy w lustrze.

– To znowu twoja prawdziwa gęba, Klaus – rzucił do lustra. – Nawet z tym, co masz pod nosem.

Osuszył włosy, następnie odkleił sztuczne wąsy, i to nie było już tak przyjemne. Przy okazji zachodził w głowę, jak kobiety wytrzymują depilację?! Były chyba ulepione z innej gliny. Na koniec wydłubał z oczu soczewki, zalewając się przy tym łzami. Oderwał kawałek papierowego ręcznika, otarł twarz i zadowolony wrócił do pokoju.

Zegar na ścianie wskazywał godzinę dwudziestą trzecią i chyba siedem minut po. Uśmiechnął się do swoich myśli, spakował rzeczy do plecaka, chwycił torbę i tak objuczony zszedł do hotelowej recepcji. Wcześniej zlustrował jeszcze wzrokiem cały pokój. Lubił pewne sytuacje.

– O! Już pan nas opuszcza? Ma pan zapłaconą rezerwację do jutra – zdziwił się recepcjonista.

– Może pan z niej skorzystać. – Klaus rozciągnął usta w uśmiechu, po czym zostawił klucz na ladzie, dwadzieścia euro napiwku i, żegnając się, opuścił pensjonat, żałując przy tym, że nigdy więcej nie będzie mógł w nim przenocować.

Na dworze noc rozgościła się już na dobre, ale w centrum małego, niemieckiego miasteczka było niemal tak widno, jak w dzień. Zewsząd w oczy biły światła reklam,

sklepowych wystaw i stojących w szeregach latarni. Miasto – mimo późnej pory – wciąż żyło. Wchodząc w tłum ludzi, w gwar niezrozumiałych i zlewających się w jeden szmer rozmów, Klaus przez moment poczuł się jak rzucona pośród osy mrówka. Zapomniał, że tak jest wszędzie tam, gdzie turystów jest więcej niż mieszkańców. W Wertheim nie było to niczym nowym.

Przystanął i sięgnął po chusteczkę. Przez te cholerne soczewki oczy wciąż mu łzały. Zanim zdążył je otrzeć, ze dwa razy ktoś go potrącił. Zaklął soczyście i obiecał sobie, że na drugi raz nie będzie już ani soczewek, ani tej ludzkiej kotłowaniny. Po czym roześmiał się na głos – przecież kolejnego razu ma już nie być.

Szedł nad brzeg Menu. Za pół godziny do przystani przybić miała hotelowa barka. Będzie miała godzinną przerwę, a turyści chwilę frajdy dzięki zwiedzaniu fragmentu miasteczka. On tymczasem zdąży załatwić sprawę do końca, jak zwykle po zainkasowaniu kasy od cwaniaków, którym wydaje się, że nikt ich nie przechytry – kradną własne dzieła sztuki, a później czekają na wypłatę milionów z ubezpieczenia. Nie wiedzą jednak, że gdzieś tam jest Klaus – człowiek znikąd, człowiek zjawa, człowiek o stu twarzach – który dzięki swojemu wrodzonemu talentowi (i znajomości z Hansem, pracownikiem towarzystwa ubezpieczeniowego) potrafi zebrać dowody na oszustwo i zaproponować uczciwy układ; połowa z trefnego ubezpieczenia dla niego, połowa dla oszusta. W przeciwnym razie wiadomo, co – skandal, afera, policja, kratki, koniec kariery, a może i rozpad rodziny.

Operacja prosta jak nitka spaghetti. Czy jest sukinsynem i ohydny szantażystą pozbawionym skrupułów? Być może. Na pewno. Ale kogo miałyby to obchodzić, z wyjątkiem okradanych złodziei? On wyrzutów sumienia nie miał żadnych, bo przecież życie nie jest sprawiedliwe.

Opuszczając centrum miasteczka, Klaus przystanął i wysupłał z kieszeni zmiętą paczkę cameli. Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i przysiadł na ławce przy pizzerii. Dalej iść nie musiał. Przystań była po drugiej stronie ulicy. Zaciągnął się raz jeszcze, aż mu lekko zawirowało w głowie, i skupił się na obserwowaniu ludzi. Lubił wyobrazać sobie, co też myślą teraz wszyscy ci przechodnie. Na przykład ten gość idący wolnym krokiem chodnikiem przed pizzerią. Jest ciepło, a on paraduje w grubej kurtce zapiętej pod szyję. Może jest przeziębiony, zastanawiał się Klaus, albo zapobiegliwy. A może jest hipochondrykiem, jak siostra Klausowa, i wszędzie widzi wirusy i bakterie. Mężczyzna, zbliżając się do drzwi pizzerii, zwolnił, wyciągnął z kieszeni kurtki chusteczkę, którą nasączył środkiem dezynfekującym i wytarł kłamkę. Dopiero teraz chwycił ją dłonią i pchnął drzwi.

– A niech mnie! – wyrwało się Klausowi.

Miał wielką ochotę wejść za nim do środka i zobaczyć, co ten dziwoląg zrobi dalej. Spryska pizzę? Zamoczy język przed jedzeniem w roztworze sody?

– Tracisz czujność, Klaus – poczuł nagłe klepięcie w ramię i o mało nie podskoczył. – Cześć!

– Cześć! Tak tylko patrzyłem na ludzi. Nieraz trafi się prawdziwy okaz.

– A my nie jesteśmy „okazami”? – zaśmiał się przybysz i usiadł obok. – Już z daleka widziałem, jak siadasz, ćmisz to ohydztwo, gapisz się na ludzi i coś do siebie gadasz. Myślisz, że jak wyglądałeś?

– No wiesz, z tym gadaniem to żadna sensacja. Spójrz na tych ludzi. – Klaus zatoczył ręką szeroki łuk. – Co drugi wygląda, jakby mówił sam do siebie. – Umilkł na chwilę: – No dobra. Jak rejs?

– Całkiem przyjemnie, zwłaszcza w ciągu dnia. Fajne widoki. No i na rzece mimo wszystko jest chłodniej. Miałeś dobry pomysł.

– Cieszę się, że ci się spodobało. A jak mama? Wciąż w szpitalu? Słuchaj, jeśli mogę jakoś pomóc, może potrzebujesz więcej kasy... Nie musisz prosić, przyjacielu.

– Klaus – westchnął mężczyzna. – Raka nie zabijesz żadną kasą. Ona już z tego szpitala nie wyjdzie, takie mam przecucie. I wiesz co? Tak mi się po ostatnich odwiedzinach wydaje, że chyba biedaczka chciałaby już odejść.

Klaus poklepał mężczyznę po ramieniu.

– Nie będę cię pocieszał, sam musisz przez to przejść. Życie nie je...

– ...st sprawiedliwe, wiem.

Klaus pokiwał tylko smętnie głową. Nigdy nie wiedział, co w takich chwilach powinno się powiedzieć. Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał, aż w końcu znajomy Klausa zapytał, jak tym razem rozdzielią pieniądze.

– Weź swoją część, piętnaście procent, jak zwykle dla Hansa, czterdzieści będzie dla mnie, a resztę – Klaus sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę – wpłać tym razem na ten numer konta. – Podał mu notatkę.

Mężczyzna rzucił okiem na ciąg cyfr.

– Jesteś pewien? – zapytał, przenosząc wzrok na Klausa.

– Absolutnie.

– No dobrze, będzie, jak chcesz, ale...

– Co takiego, Mecenasie? Znowu mała połajanka?

– Znowu chcesz być samarytaninem... Ryzykujesz, Klaus, że... no sam się zastanów. Co byś pomyślał, dostając nagle z jakiegoś konta na antypodach taką kwotę?

– Ucieszyłbym się – roześmiał się Klaus.

– Do cholery, aż taki naiwny nie jesteś. Mówię poważnie. W końcu ktoś z nich zacznie dociekać, zawiadomi gliny... Zastanów się.

– Oj, dałbyś spokój, od tego cię mam, żeby tropy wiodły donikąd, nie? Poza tym, jak długo ich już wspieramy? Pięć lat, sześć?

– Prawie sześć.

– No właśnie. I jak dotąd nikomu z nich do głowy nie przyszło, żeby dociekać, skąd przychodzi ta kasa. Więc nie panikuj, stary... Temu sierocińcowi jest to naprawdę potrzebne. Sam pomyśl, kto się dzisiaj jeszcze zajmuje takimi dzieciakami, co?

– Już dobrze, dobrze, tylko ci mówię – westchnął mężczyzna. – A przy okazji. Byłeś może ostatnio w Hamburgu?

Klaus uniósł lekko brwi. Nie spodziewał się tego pytania.

– I to nie tak dawno – przyznał. – A co? Przekroczyłem dozwoloną prędkość? – zachichotał.

– Nie mam pojęcia, może przekroczyłeś. Ktoś tam po prostu wypytuje o ciebie. To była robocza wizyta? – Mężczyzna wskazał głową na stojącą przy nodze Klausa torbę.

– Nic z tych rzeczy, nie martw się. Miałem tam coś do sprawdzenia. Niewykluczone, że nie tylko ja.

– W porządku. – Mężczyzna wstał, chwytając jednocześnie torbę. – Ale uważaj na siebie. I nie obserwuj ludzi, bo wtedy dajesz się zaskoczyć. Na mnie już czas. Bywaj.

Klaus też wstał. Podali sobie dłonie i mocno je uścisnęli.

– Zaczekaj jeszcze chwilę. – Klaus przytrzymał mężczyznę za ramię. – To była przedostatnia, a właściwie to ostatnia robota. Mam jeszcze jedną do wykonania, ale to już bardziej hobby. I kończę. Pora na normalne życie.

– Nie żartujesz, prawda? – Mężczyzna nie wydawał się jakoś specjalnie zaskoczony.

Klaus tylko pokręcił głową.

– No wiesz, przyjacielu. Mimo wszystko trudno mi w to uwierzyć. A z drugiej strony... cóż. W końcu jesteś zabezpieczony. Nawet to – wskazał brodą na torbę – jest tylko wisienką na torcie. Tyle że znaczków nie odpuścisz, co? To one są tym twoim hobby...

– Nie ma mowy. To ekskluzywna robótka.

– No dobrze, Klaus. Rozumiem, że jeszcze o tym pogadamy, o tym twoim – mężczyzna zawiesił na moment głos – końcu kariery.

– Jasne, wszystkiego dobrego i ucałuj ode mnie mamę. Może to, co wcześniej powiedziałeś, tylko ci się wydaje. Nieraz tak bywa.

– Dzięki. Do zobaczenia.

Klaus stał jeszcze chwilę obok ławki, odprowadzając Mecenasa wzrokiem, aż ten zniknął pośród innych ludzi. Zastanawiał się, skąd, u licha, wzięła się ksywka „Mecenas”, skoro jego przyjaciel z prawem nie miał nic wspólnego. Był przecież księgowym. Nie mógł sobie przypomnieć.

Po tym pożegnaniu Klaus wrócił do centrum, a stamtąd udał się na drugą stronę miasta, prosto na parking przy dworcu kolejowym. Przed sobą miał ponad tysiąc kilometrów do pokonania. Idąc, zastanawiał się, jak tego dokona z łzawiącymi wciąż oczyma.

Rozdział 1

Ponad rok później

1.

Takie spanie to sranie w banie – myśli Klaus, ale jeszcze nie otwiera oczu. Ma nadzieję, że sen jednak go zmorzy. Czeką kilka chwil, ale kiedy słyszy po raz setny przejeżdżającego obok tira, daje za wygraną. Te pierdzące monstra, myśli, obudziłyby umarłego. Przeciąga się – aż mu strzelają stawy – po czym niezdarnie gramoli się z samochodu. Odciąga od pleców przepoconą koszulę, to samo robi z przodu. Noc jest parna i duszna. Cholernie duszna. Sprawdza też godzinę. Jest dokładnie trzecia w nocy. Więc spał zaledwie pół godziny. „Spał” to zresztą za dużo powiedziane. Drzemał, kimał, kipiał, ale nie spał. Tak to jest na stacjach benzynowych przy autostradach. Trzeba było poszukać czegoś spokojniejszego, żałuje teraz. Tyle że nie miał już siły walczyć z opadającymi powiekami. Zjechał więc pierwszym zjazdem zaraz po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej i zaparkował w samym środku tego cholernego ula.

Zapala papierosa, opiera się o drzwi swojego wiekowego mercedesa i gapi wokoło. Gdy prawie kończy palić, ktoś do niego podchodzi.

– Najtańszy w tym kraju zestaw noży stalowych – słyszy z ust może piętnastolatka.

– Kupi pan?

– Nie. – Klaus gasi peta o asfalt i rozgląda się za koszem na śmieci. – A co ty tu w ogóle robisz o tej porze, co? W środku nocy?

– Niech pan weźmie chociaż jeden, za pół ceny – małolat nie ustępuje i podtyka mu pod nos cały zestaw, elegancko zapakowany w ozdobny karton. – Nie trzeba ich ostrzyć. Za pół ceny, no!

Klaus wie, że nie powinien tego robić, ale bierze od chłopaka karton i wrzuca go do samochodu. Po cholere mu tyle noży? Nie ma siły droczyć się z gówniarzem. Chce wierzyć, że jak zapłaci za komplet, dzieciak może zniknie w końcu z parkingu. Może też wróci do domu i pójdzie spać. Może.

– Masz tu za cały zestaw – mówi Klaus, podając chłopakowi pieniądze.

– Kurde, to za dużo!

– Bierz i znikaj. Wyśpij się, bo masz wory pod oczami. Za chwilę je przydepczesz.

– Dzięki, szefie! Już mnie nie ma.

Klaus patrzy za oddalającą się sylwetką chłopca i myśli, że gówniarz, tak czy owak, źle skończy. Tylko czy to będzie jego wina? Świat nie jest sprawiedliwy.

2.

Klaus jedzie do domu, w którym wychował się jako nastolatek, z przekonaniem, że w końcu zmieni swoje życie – tak jak to sobie zaplanował wtedy, kiedy rozmawiał o tym z Mecenasem w Wertheim. Koniec z oszustwami, koniec z kłamstwami, koniec z życiem na walizkach. Ostatnia robota, którą ma do wykonania, nie jest już żadnym naciąganiem prawa. No, może odrobinę. Ale Klaus jest przekonany, że te parę milionów, które dzięki temu wpadną mu do kieszeni, skutecznie zagłuszą jego ewentualne wyrzuty sumienia. Znalezione, nie kradzione, nie?

Na spotkanie jedzie jednak z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszy się, bo zawsze, ilekroć odwiedza przyjaciółkę swojej nieżyjącej już mamy – a zarazem swój drugi dom – ma wrażenie, że w jakiejś części spotyka się również i z nią. To miłe uczucie. Z drugiej strony, cóż... czuje jakąś wewnętrzną boleść. Mówi się, że czas goi rany i w sumie nie ma w tym przesady. Jednak ta tęsknota jest jak blizna. Rana już nie krwawi, ale blizna wciąż przecież jest. Klaus nosi taką w sobie, o której przypomina sobie zawsze wtedy, gdy odwiedza Zofię Konieczną.

Obie kobiety łączyła długa i zażyła przyjaźń, Klaus wzrastał więc niemal w poczuciu posiadania dwóch mam. Gdy prawdziwa matka Klaususa zginęła przed laty w wypadku, miał on zaledwie piętnaście lat. Zofia przyjęła go pod swoje skrzydła niemal z dnia na dzień i zaopiekowała się nim niczym rodzonym synem, chociaż miała już wówczas własne dziecko, kilkuletnią córkę Klarę – jak się później okazało – cierpiącą na dosyć nietypową przypadłość. Przez blisko rok kobieta walczyła też w sądzie o adopcję Klaususa z jego ojcem, który po śmierci żony nagle przypomniał sobie, że ma syna. W pijackim amoku dobijał się do drzwi mieszkania Zofii, żądając widzenia z „ukochanym”, jak wówczas wywrzaskiwał, syneczkiem. W końcu jednak stary dał sobie spokój – najwyraźniej tym razem przypomniał sobie, że jednak nie ma syneczka, i na wiele lat słuch o nim zaginął. Nikt z tego powodu włosów sobie z głowy nie rwał, a już najmniej Klaus, któremu ojciec kojarzył się jedynie z lękiem i wódą.

Klaus wchodził więc w dorosłość i pierwsze lata samodzielności w atmosferze, jak to się pięknie mawia, rodzinnej miłości. Nie zaznał męskiej opieki, bo mąż Zofii zmarł chwilę po tym, jak na świat przyszła Klara, i Klaus ledwie go pamiętał.

Nie był łatwym nastolatkiem. Życie tej rodziny patchworkowej nie toczyło się gładko jak kulka w łożysku. Trauma po utracie matki, ojciec pijak, a zwłaszcza to, czego doświadczał, mając jeszcze rodziców przy sobie, dawały się we znaki nie tylko jemu. Szczególnie Zofii, która nieraz wychodziła ze skóry, ratując nastolatka z różnych opresji. Jego dojrzewanie było jednym wielkim buntem przeciwko światu, który (był o tym święcie przekonany) z jakiegoś powodu wziął się na niego. Czując w sobie taką mieszaną wybuchową, Klaus często więc wybuchował jak granat – kradł w szkole drobne przedmioty kolegom, potajemnie palił, próbował trawki, w końcu

pobił nauczyciela. Kraść nauczył go ojciec, kiedy Klaus skończył dziesięć lat. Stary wbił mu wtedy do głowy, że świat nie jest sprawiedliwy, więc należy sobie z tego świata trochę podbierać, gdy nadarza się okazja. Raz był to więc jakiś rower – „Patrz, Klaus! Jakby frajerowi na nim zależało, toby go pilnował, nie? Bierzemy go!” – innym razem jakaś budowlana pierdoła, albo inne drobiazgi z cudzych piwnic, nieraz paczka dobrej kawy ze sklepowego regału.

Już w dorosłym życiu Klaus niejednokrotnie zastanawiał się, co też takiego matka widziała w jego ojcu, co ją przy nim trzymało jak magnes, tak mocno, że nie potrafiła się od niego uwolnić. Przez to wszystko sama popijała z rozpaczy, aż w końcu stało się to, co stać się musiało.

Był to więc moment, w którym – gdyby nie Zofia Konieczna, druga mama – Klaus wylądowałby w pudle na nastolatków, skąd wyszedłby pewnie całkiem już zdeprawowany.

Jego przyszłość wisiała na włosku i dyndała w najlepsze. Przyjaciółka matki Klause stanęła jednak na głowie i los dał dzieciakowi drugą szansę. Nie zmarnował jej. Postanowił „wyjść na ludzi”, jak mawiała Zofia. I chyba wyszedł, tyle że za pomocą własnej, specyficznej metody. Bo to, co zasiał w nim jego ojciec, rozkwitło. Tyle że w bardziej ekskluzywny, jeśli tak można powiedzieć, sposób.

3.

Cieszy się więc na spotkanie z Zofią i siorką–potworką, jak zwykł mawiać o Klarze. Męczy go tylko myśl, że znowu będzie musiał znosić jej faceta i wysłuchiwać jego mądrości. Martin, przystojniak Klary, to prawdziwy oryginał. Programista. Na pozór miły, ale zdaniem Klause, upierdliwy do bólu, zwłaszcza kiedy zaczyna z kimś dyskutować. To typ gościa, który, gdy go zapytasz o pogodę, nie powie ci po prostu, jak normalny człowiek, że jest ładnie albo do dupy. Nie, on poda ci aktualną temperaturę, rodzaj chmur na niebie, poziom ciśnienia, a na koniec przytoczy prognozę na kilka najbliższych dni, kwitując to stwierdzeniem, że i tak nie należy jej wierzyć, bo to jak wróżenie z fusów.

Niby nieszkodliwa cecha charakteru, ale na dłuższą metę męcząca. Facet jest jak komar przy ognisku. Niestety Martin posiada też, jak sądzi Klaus, inną trudną cechę. Jest to szczerłość, ale taka szczerłość aż do bólu. Jest delikatny jak słoń w składzie porcelany. Facet dźga ludzi ostrzem słowa.

Antypatię do Martina Klaus poczuł już przy pierwszym spotkaniu z nim, jakieś pół roku temu. Dowiedział się wtedy o sobie, że jest nudziarzem, bo „co może być ekscytującego w prowadzeniu galerii sztuki?”. Niby fakt – sam nie wyobrażał sobie takiego życia na dłuższą metę. Ale rzucenie komuś przy pierwszym spotkaniu takiej opinii prosto w oczy mimo wszystko nie było fajne. Klaus zbył wówczas tę uwagę milczeniem. Nie chciał robić przykrości Klarze, widząc, jak zapatrzona jest

w swojego informatyka. Na tym jednak się nie skończyło, bo Martin – uznając najwidoczniej, że jego uwaga o nudziarstwie jest jak najbardziej na miejscu – wystrzelił z kolejną rewelacją, tym razem wobec Klary. „Twoja siostra jest cool”, stwierdził, mając na twarzy zabójczy uśmiech. „Szkoda tylko, że ma takiego zajebistego bzika na punkcie własnego zdrowia. Gdyby nie to, byłaby chodzącym ideałem, prawda kochanie?”. Klaus wtedy zamuroowało. Znał Klarę od dziecka i wiedział, że uwaga ją zabolala. Bo Klara rzeczywiście ma problem. I to duży. Powiedzieć, że jest hipochondryczką, to nic nie powiedzieć. Jest typem osoby, dla której każde, nawet najmniejsze zadrażnienie na skórze jest śmiertelną raną. Klaus szczerze współczuje jej tej obsesji, przez którą cały dom niejednokrotnie stawał na głowie. Wystarczył lekki ból brzucha, mała niestrawność, i trzeba było kilku godzin i kilku osób, aby przekonać Klarę, że to nie powód, żeby dzwonić po pogotowie. Albo wyłapywać wszystkie koty na chorwackim wybrzeżu, bo ten, który ją drasnął, na pewno był wściekły.

To już był ekstremalny przypadek. Klaus zabrał ich wtedy w okolice Dubrownika. Był sierpniowy wieczór i objadali się, siedząc przed domem pod figowym drzewem, wyśmienitą rybą z grilla. W którymś momencie obok krzesła Klary pojawił się mały kociak. Klara, niczym zawodowa kocia mamka, rozpląnęła się w zachwycie. Skubnęła nieco ryby i wyciągnęła w kierunku zwierzaka rękę. Ten chapnął przysmak, a przy okazji palec Klary, gdzie pojawiła się mikroskopijna kropla krwi. Siostrze Klausu to wystarczyło. W sekundzie zrobiła się blada i wydawało się, że zaraz padnie trupem. W końcu objawiła im z przekonaniem, że „ten mały skurwysyn jest wściekły”. W tej sytuacji będzie musiała przyjąć serię bolesnych zastrzyków, bo w przeciwnym razie umrze. Przecież to jasne jak słońce na niebie.

Oboje z Zofią starali się ją uspokoić na wszelkie sposoby. Tłumaczyli, że będzie żyła i nic jej nie grozi. Ale oczywiście takie gadanie w przypadku Klary nie miało większego sensu. Niby słuchała, kiwała głową, ale w jej oczach zęby szczyrzył strach. W końcu dała się przekonać, że do pierwszych objawów choroby mogą minąć dwa tygodnie, więc nie powinna na razie panikować.

Ostatecznie uspokoiła się jednak dopiero po miesiącu. W tym czasie zdołała wysłać tuzin wiadomości mejlowych do chorwackich służb z pytaniem, jak na wybrzeżu przedstawia się problem wściekłych kotów. Odpisano jej krótko, że nie należy się obawiać. Skwitowała to we właściwy sobie sposób: „No, pewnie wszystkim tak odpisują, bo inaczej wymiotłoby turystów”.

Klara ma więc własną obsesję, a Klaus swoją – Martina. Podświadomie czuje, że dla Klary znajomość z nim zakończy się kiedyś z hukiem. A że kocha ją jak siostrę, nie może o tym wszystkim spokojnie myśleć.

Ale są to w końcu jedynie jego odczucia. Klarze nic na ten temat nigdy nawet nie wspomniał. Dziewczyna wciąż jest w mądrali zakochana po uszy i Klaus doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jakakolwiek krytyczna wzmianka na jego temat i tak

nic nie da. Oczyma wyobraźni już widzi reakcję siostry i te jej wyrzuty: „Klaus, co ty mówisz? Nie znasz go. Ubzdurałeś coś sobie. Jesteś zazdrosny?! Nie tego się po tobie spodziewałam...”.

4.

Zofia Konieczna mieszka w pamiętającym jeszcze przedwojenne czasy małym domu z niewielkim ogrodem w bodaj najspokojniejszej dzielnicy miasta. Ludzie spoza niej nazywają to miejsce „Prykowiec” albo „Dziadowiec”, bo średnia wieku z roku na rok skacze w górę. Nie ma tu zresztą innej zabudowy niż te stare wille porośnięte często mchem od północnej strony, zarośnięte kożuchem zielska, z fantazyjnymi oknami, zdobionymi portalami i wijącym się przy framugach drzwi bluszczem. Za każdym razem, kiedy Klaus wjeżdża w dzielnicę z hałaśliwego centrum, nabzdyczonego nowoczesną, czyli nijaką architekturą, ma nieodparte wrażenie, że przenosi się w przeszłość pełną jeszcze nieodgadniętych tajemnic.

Klaus uwielbia to miejsce, zwłaszcza w takie upalne dni jak teraz. Jest tu po prostu chłodniej i ciszej, a na chodnikach nie roi się od wszystkich tych pędzących Bóg jeden wie gdzie i w jakim celu ludzi.

Jedzie więc do rodzinnego gniazda i ma jeszcze przed sobą jakieś pół godziny drogi. Szyba w jego zabytkowym mercedesie jest opuszczona, przez co gorący wiatr targa mu włosy i zagłusza dobiegającą z głośnika muzykę. Mimo to Klaus gwizdże coś pod nosem. Tę sielankę przerywa nagle telefon. Humor Klausu w jednej chwili znika. Liza jest ostatnią osobą, z którą miałby ochotę teraz rozmawiać. Wróć – pisać, bo ona uznaje tylko tę formę komunikacji. Woli klepać wyostrzonym pazurem po telefonie zamiast, jak człowiek, rozmawiać.

Mógłby ją oczywiście zignorować, olać, udać, że nic nie słyszał. Ale Klaus wie, że Liza nie odpuści i tak długo będzie się dobijać do niego, aż ten w końcu się ugnie i dla świętego spokoju odpisze. Uznaje więc, że nie ma na co czekać i gdy tylko widzi małą zatoczkę przy drodze, zatrzymuje się. Chce to mieć już z głowy.

Otwiera komunikator i czyta:

„Rany boskie, Klaus, czy ty zawsze musisz wystawiać mnie do wiatru? Nawet teraz? Cholera mnie zaraz weźmie”.

Chryste – myśli Klaus. Co tym razem?

Odpisuje:

„Jakiego wiatru, co? Znowu masz fazę?”.

Czeka na odpowiedź. Jak on tego nie cierpi! Wreszcie jest:

„Miałeś się ze mną spotkać i dać głupie klucze! Mam teraz włączyć tam przez dziurkę od klucza, czy jak?! Co ty sobie, do cholery, wyobrazasz! Przecież

zgodziłeś się, żebym sobie zabrała z domu, co chcę. A teraz mnie, cholera, unikasz. Tak dłużej być nie może! Co ty, sklerotyk już jesteś?!”.

Klaus:

„Ej, przyhamuj! Napisałem ci wcześniej, gdzie zostawiłem klucze, więc się nie wściekaj. Trzeba czytać wiadomości, no ale ty pewnie nosa z internetu nie wyściubiasz, to ci przemknęło gdzieś bokiem”.

Znowu czekanie. Klaus więc dopisuje:

„Jesteś tam? Bo nie mam czasu”.

Liza:

„A gdzie mam być?! Stoję pod drzwiami i macam wszystko wokół, bo klucza nie ma tam, gdzie napisałeś, że jest! I co, mądralo? Zostawiłeś, czy tylko tak mnie chciałeś wkurwić, co? Nie zapominaj, że zawsze mogę zapomnieć – cha, cha, cha – co ci obiecałam. Mów więc, bo wiem, gdzie będziesz przez najbliższe dni, przyjadę i wydrę ci ten pieprzony klucz z gardła!”.

Klaus:

„Liza, przeczytaj ostatniego esemesa ode mnie, zanim powiesz o jedno słowo za dużo. Ten, który pewnie wyrył ci się w głowie jest nieaktualny. Nie zostawiłem klucza pod donicą, bo wszyscy już w okolicy wiedzą, że tam go zawsze zostawialiśmy. Nie było mnie trochę czasu i nie chciałem tak ryzykować”.

Liza:

„To by było, co? Jakby okradli złodzieja! Więc, gdzie on, do diabła ciężkiego, jest?! W twojej skrytce bankowej?!”.

Klaus:

„U pani Aliny, pięćdziesiąt metrów od domu, do którego chcesz wejść przez dziurkę od klucza. Może dawniej...”.

Liza:

„Pieprz się, Klaus”.

Koniec pisania. Klaus czuje ulgę. Porządkowanie spraw porozwodowych okazuje się w przypadku ich nieudanego małżeństwa gorsze niż sam rozwód.

5.

W końcu Klaus dojeżdża na miejsce i parkuje mercedesa tuż przed wejściową bramką. Wciąż jest jeszcze pod lekkim wrażeniem pyskówki z byłą żoną. Któregoś dnia wykasuje jej numer z telefonu, albo jeszcze lepiej – doda do zablokowanych i zakończy ten cyrk na kółkach. Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem zbiera rozrzucone w nieładzie rzeczy z fotela obok, sięga na tył po niedużą walizkę i wreszcie gramoli się na zewnątrz. Mimo zmęczenia towarzyszy mu uczucie ulgi, że oto znowu jest w rodzinnym domu. Nie przeszkadza mu nawet to, że dzinsy lepią mu się do tyłka.

– Nareszcie! – Wzdycha głęboko i opiera się o maskę samochodu. Musi zapalić. Sięgając po camela, obiecuje sobie po raz chyba setny, że tym razem zacznie się ograniczać. Jednocześnie wie, że to tylko takie czcze gadanie, bo przecież nigdy z tego nic nie wyszło. Niemniej czuje się po tej deklaracji lepiej. Diabli wiedzą dlaczego.

Z przyjemnością wdycha dym, a później obserwuje niebieskawy obłok wypuszczony z ust, który powoli sunie w górę, aż rozwiewa się w nicość. Chłonie całym sobą płynący zewsząd spokój.

– No dobra, Klaus – mówi w końcu sam do siebie, gasząc papierosa. – Pora się, bracie, przywitać.

Chwyta walizkę (teraz wydaje mu się cięższa niż parę godzin wcześniej, gdy ruszał w podróż), podchodzi do furtki i naciska klamkę. Słyszając znajome skrzypienie, obiecuje sobie (znowu te głupie obietnice), że tym razem naoliwi dziadostwo. Od kiedy pamięta klamka niemiłosiernie skrzypi i za każdym razem, kiedy odwiedza Zofię, ma zamiar to zmienić. Lecz albo w końcu zapomina, albo brakuje mu czasu, albo sama druga mama na taki pomysł kręci z niezadowoleniem nosem. Jako osoba przesądna, za każdym razem tłumaczy mu, że jeśli pewnego dnia skrzypienie, nie daj Boże, zniknie, zniknąć może też wszystko inne. No i masz babo placek... Klaus, gdy słyszy te przestrogi, z reguły się uśmiecha, klamki jednak nie rusza. Może tym razem zdoła się przełamać, a kochana Zofia dzięki temu uwierzy, że gdy czarny kot przebiega człowiekowi drogę to nie dlatego, że za chwilę paść on ma trupem.

– Klaus – słyszy nagle za plecami i omal nie podskakuje jak dźgnięty nożem. Jeszcze chwilę wcześniej wokół nie było żywej duszy. Kiedy dociera do niego, czyj to głos wdarł mu się tak w mózg, cały niemal sztywnieje. W pierwszym momencie nie bardzo nawet wierzy w to, co słyszy. „To nie może być prawda”, myśli. Przez moment stoi jak kołek wbity w ziemię, mając nadzieję, że uległ jedynie złudzeniu, że to przez ten upierdliwy upał. Aż wreszcie się odwraca.

To nie jest sen ani fatamorgana. Kurwa, to jest prawda! Patrzy w oczy człowieka, którego, gdyby nie ten charakterystyczny, skrzekliwy głos, pewnie nawet nie poznałby, mijając przypadkiem na ulicy.

– Serio?! – mówi w końcu. Nic innego nie przychodzi mu do głowy.

Człowiek, który go tak zaskoczył, przestępuje tymczasem z nogi na nogę, sprawiając wrażenie, że się waha, czy w ogóle cokolwiek odpowiedzieć. Gołym okiem widać, że jest mocno wystraszony: górna warga drga mu delikatnie, ledwo łapie oddech. Cała głowa zresztą dynda dziwnie jakby była umocowana do szyi za

pomocą wiotkiego drucika. Mężczyzna w końcu spuszcza wzrok i z drzeniem w głosie, mówi:

– Przepraszam, nie chciałem cię tak zaskoczyć. Chciałem cię tylko zobaczyć... W końcu jestem... twoim ojcem...

Chociaż przychodzi mu to z wielkim trudem (całkiem jakby cię ktoś zepchnął z brzegu basenu wprost do lodowatej wody), Klaus odzyskuje jako taką równowagę emocjonalną. Czuje za to pulsowanie w skroniach, prawie jakby coś łomotnęło go w głowę, a wraz z tym upiornym uczuciem napływającą falę złości. Siłąc się na spokój, Klaus cedzi przez zęby:

– To zobaczyłeś. Coś jeszcze?

Ernest Ebeling ma sześćdziesiąt pięć lat, ale wygląda przynajmniej na dziesięć lat starszego, z tą twarzą pokrytą siatką głębokich bruzd i zmarszczek. I ten nos. Jakby ulepiony na szybko z plasteliny i byle jak doklejony. Nos alkoholika.

– Chciałem z tobą po... porozmawiać.

Klaus patrzy na niego w milczeniu i wciąż nie może uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Powinien mu odkrzyknąć, że nie ma ochoty go słuchać, a tym bardziej widzieć, pokazać mu, że jest wściekły. Zamiast tego udaje mu się jedynie pokręcić głową. Każdemu zdarzają się przecież takie chwile, że brak mu słów.

– Klaus, posłuchaj – stary Ebeling nie daje tymczasem za wygraną – jest parę rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Wiem, co zrobiłem, jaki byłem, ale teraz to nieistotne, więc...

– Istotne, do cholery! Co ty sobie myślałeś?! Zjawiasz się, kurwa, po tych wszystkich latach, wyrastasz z tego jebanego chodnika jak jakiś chwast i wydaje ci się, że jest okej?! Tak?! – milknie. A po chwili: – Nawet nie potrafię do ciebie powiedzieć ojcie. Czy to dociera do ciebie?

Po tym wybuchu odwraca się, czując, że dłużej nie może już patrzeć na stojącego przed nim człowieka, po czym wchodzi na ścieżkę prowadzącą do domu i zamyka za sobą furtkę. Pot ścieka mu z czoła, serce wali jak młotem. Nie pamięta, kiedy ostatni raz tak się wkurzył. Zatrzymuje się jednak, odwraca i wwiercając się wzrokiem w dwie czerwone źrenice starego Ebelinga, dodaje:

– Nie przychodź tu więcej, jasne? Nie mam ochoty na ciebie patrzeć. – Milknie, by po chwili dodać: – Dla mnie nie żyjesz już od wielu lat, a w duchy jakoś nie wierzę.

Ojciec Klausa kiwa głową, a może po prostu nie może jej z napięcia utrzymać na tym pomarszczonym druciku imitującym szyję i nagle doznaje ataku kaszlu. Zgina się wół, zasłania usta ręką. Klaus widzi, że na czubku głowy, zupełnie już łysym, panoszy się jakaś ciemna plama. Wygląda jak wielki kleks. Czerniak? – przychodzi mu na myśl. Nic jednak nie mówi. Stoi i obserwuje. Mija chwila, zanim stary Ebeling łapie oddech i uspokaja się. Klaus cały czas w milczeniu przygląda się mu, pragnąc, aby to, co się właśnie zdarzyło, było tylko złym snem.

– Pani Zofia... ona wie, gdzie mnie szukać, gdybyś zmienił zdanie – charczy tymczasem Ebeling.

– Nie zmienię.

6.

Po tym oschłym stwierdzeniu Klaus odwraca się do ojca plecami i rusza przed siebie, uznając, że to koniec rozmowy. W głowie huczą mu jego słowa: „Chciałem cię zobaczyć...”, „jest parę rzeczy, o których powinienes wiedzieć...”, „gdybyś zmienił zdanie”... Nigdy, kurwa! Nigdy! – myśli Klaus. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby się tak niespodziewanie po tylu latach pojawić i jak gdyby nigdy nic prosić o rozmowę? Kiedy w ogóle go ostatni raz widział? Nie, no było to tak dawno, że nawet policzyć się nie dało. Wszystkiego mógł się dzisiaj spodziewać, ale nie tego, że stary złodziej zjawi się, aby skraść mu spokój. Nagle przeszłość staje mu jak żywa przed oczami: ma może z pięć lat...

...Miał może z pięć lat. I siedział skulony w kącie; nogi podkurczone, głowa między kolanami objętymi chudymi rączkami. Ścisnął je mocno, z całych sił, jakby chciał zgnieść strach i zagłuszyć dochodzące z pokoju obok krzyki. Tak było zawsze, kiedy rodzice się kłócili. Mały Klaus nie płakał. Nie mógł, bo gdyby tata zobaczył, byłby zły. Nie mógł, ale i tak płakał. Tak jakoś. Tak, że prawie podskakiwał z każdym wdechem. Płakał wewnątrz siebie.

Drzwi pokoju nagle się otworzyły.

– Klaus – warknął jego ojciec. – Idziemy! Rusz ten mały tyłek, kocie! Raz, dwa!

W sekundzie Klaus był na nogach. Tata podszedł do niego i kucnął.

– Patrz na mnie, mały smarku, jak do ciebie mówię.

Klaus popatrzył. Oczy taty były czerwone, a kiedy mówił, Klaus czuł nieładny zapach.

– Płakałeś. Przyznaj się, kocie-srocie, no?!

– Nie tato, nie.

– Pamiętaj: nie jesteś babą. To baby płaczą. Słyszysz, jak matka płacze?

Klaus kiwnął głową.

– No! Beczy, jakby jej kto skórę zdzierał, taaak. A nic jej nie jest, cholera! Nawet krzyknąć nie można, bo zaraz te łzy na wierzchu... No dobra, idziemy!

Klaus ruszył za ojcem. Przechodząc przez pokój, w którym przed chwilą były tylko krzyki, zerknął na mamę. Siedziała przy stoliku z łokciami na blacie i podpierала głowę. Uśmiechnęła się do niego i zaraz odwróciła wzrok.

Już na podwórku Klaus zapytał tatę, gdzie idą.

– Do sklepu, kocie. Musisz się czegoś nauczyć.

– Czego, tato?

– Tego, że świat nie jest sprawiedliwy, więc trzeba sobie z niego podbierać. Bo nikt ci nic od siebie nie da. Rozumiesz, kocie?

– Nie wiem... a co to znaczy podbierać? To tak, jak zabierać?

– Tak trochę. – Ebeling się roześmiał. – Podbierać komuś. Pojmujesz, mały?

Klaus nie pojmował, ale bał się przyznać. Tata nieraz się złościł i wtedy Klaus mógł poczuć, jak twardą ma rękę. Kiwnął więc tylko głową.

– Noooo, widzę, kocie, że chociaż jesteś mały, to już cwaniaczek z ciebie, wiesz?

Tego Klaus też nie rozumiał, ale tym razem się uśmiechnął. Czuł, że tata był zadowolony z niego.

Doszli właśnie do sklepu. Ebeling się zatrzymał i pochylił nad Klausem.

– Przypatruj się, co robię i nic nie mów! To chyba rozumiesz, co nie?

– Rozumiem, tato.

– No. Jak nic nie schrzanisz, to dostaniesz później czekoladę. Chcesz?

– No pewnie! – krzyknął Klaus.

– Nie drzyj się, cholera! Dobra. Wchodzimy i gęba na kłódkę!

Klaus chciał się roześmiać, ale zacisnął dzielnie usta i tylko raz coś mu się z nich wymysknęło razem ze śliną, którą wytań szybko rękawem bluzki.

W sklepie Klaus już zupełnie zapomniał o tym, że jeszcze niedawno łkał w kącie pokoju i ścisnął głowę rękoma. Teraz wdychał ten cudowny zapach różnych słodkości i napawał oczy kolorowymi etykietkami towarów. Nagle poczuł, że tata lekko trzepnął go w ucho.

– Na co się miałeś gapić?! – nachylony ojciec szepnął mu do ucha. – Masz patrzeć, co robię, jasne?

Klaus kiwnął posłusznie głową i wystraszony patrzył. Tata wolnym krokiem szedł wzdłuż półek z jakimś towarem i co chwilę czegoś dotykał, oglądał, po czym odkładał na miejsce. Potem zerknął gdzieś w bok i wciąż tam patrząc, sięgnął po coś, co leżało na półce i schował to pod kurtkę. Zaraz też do koszyka włożył sól. Klaus wiedział, że to sól, bo kupował ją ostatnio razem z mamą. Już miał o tym powiedzieć tacie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Miał przecież kłódkę trzymać na gębę, czy jakoś tak. O rany, pomyślał, gębę! I znowu zachciało mu się śmiać.

– No jak, synek? – usłyszał nagle nad sobą. – Chcesz czekoladę?

Klaus kiwnął głową.

– To bierz, którą chcesz. – Tata pociągnął go za sobą i wskazał miejsce, gdzie równusieńko obok siebie stały czekolady. Jak czekoladowi żołnierze.

Klaus złapał pierwszą z brzegu i już miał ją wrzucić do koszyka, kiedy tata nagle chwycił go za dłoń, po czym się nachylił.

– Widzisz tu jeszcze kogoś oprócz nas samych?

Nie było nikogo, więc Klaus pokręcił głową.

– To teraz schowaj czekoladę pod koszulę, za pasem, ale tak, żeby ci przypadkiem nie wyleciała.

Klaus tak zrobił.

– Ale mama...

– Ciiiiii – Tata przyłożył palec do ust. – To jest właśnie podbieranie, kocie-srocie. Bo świat nie jest sprawiedliwy i czekolada sama ci nie wskoczy do kieszeni. Rozumiesz, kocie?

– Tak, tato, rozumiem.

– Gównu tam rozumiesz, ale w końcu załapiesz.

– Wchodzisz? – Drzwi otwierają się nagle i Klaus widzi przed sobą Zofię. – Stoisz tu jak ten słup soli!

Prawie zapomniał, gdzie szedł i po co. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że stoi wciąż przed drzwiami z ręką uniesioną do dzwonka. Opuszcza ją i się uśmiecha.

Rozdział 2

1.

Chwilę później wita się już z domownikami. Myśli o wyrodnym ojcu powoli parują mu z głowy jak wysychające błoto. Ale nie tak do końca. Są jak ta błotna kałuża – woda znika, ale brud pozostaje. Zawsze musi być coś, myśli ze smutkiem. Zawsze, kurczę, coś! Nigdy by sobie nie wymyślił, że teraz, kiedy postanowił tak radykalnie zmienić swoje życie, zmiana zacznie się od spotkania z tym starym złodziejem. Gdyby był przesądny, jak jego druga matka, musiałyby uznać, że to zła wróżba. Na szczęście nie wierzył w takie bzdury, ale... No właśnie, myśli teraz. Zawsze jest jakieś ale.

– No proszę! Wreszcie jesteś. Mój mały Klaus... – Nie kryjąc wzruszenia, Zofia Konieczna przytula go z całych sił i przerywa te smutne rozważania. Jest niewysoką, szczupłą kobietą o wesołej twarzy. Odsuwa go w końcu od siebie i mierzy krytycznym spojrzeniem. – Schudłeś coś, chłopcze.

Klaus patrzy na siebie. Może rzeczywiście. Odruchowo podciąga dżinsy.

– Oj, to z tęsknoty za tobą – śmieje się, po czym odwzajemnia uścisk. – A to tylko trzy miesiące. Nawet nie.

– O tyle za dużo! – Tym razem na szyję Klause rzuca się Klara, wysoka, zgrabna szatynka. – Aleś ty opalony, braciszku! A chudzielec byłeś zawsze. Pamiętasz, jak o tobie zawsze mówiliśmy? Gruby jak namoknięty sznurek!

Pewnie, że pamięta. Była też „nitka”, „spinacz” i najlepsze, jego zdaniem, chociaż wtedy wkurzające – „patyczak”.

Klara tymczasem kontynuuje:

– Może powinieneś się w końcu przebadać, co? W twoim wieku byłoby to już wskazane. Założę się, że brakuje ci jakichś witamin. A płuca kiedy ostatni raz prześwieciliśmy? Masz je w ogóle jeszcze? Mogę ci załatwić komplet bada...

Klaus rechocze i obsypuje ją pocałunkami, nie dając dokończyć.

– Kochana siostrzyczko – mówi – medycyna zaszła dzisiaj tak daleko w swojej technologii i możliwościach diagnozy, że, uwierz mi, nie ma już zdrowych ludzi na tym świecie.

Klaus podaje następnie dłoń mądrali Martinowi. Chłopak Klary stoi z boku i przygląda się całej scenie z nijakim wyrazem twarzy.

– No i jak tam, panie poszukiwaczu skarbów? – pyta nagle. – Słyszałem, że tropisz jakąś tajemnicę zamkową. Mówiłem, że handelek obrazkami to nudne zajęcie dla faceta. Trzeba było od razu zająć się tajemnicami. Może dzisiaj byłbyś już sławny?

Niech ktoś mu wyłączy jadaczkę! – myśli Klaus, zły na siebie, że swego czasu o historii z zamkiem Czocho i nieszczęsnej skrytce napomknął Klarze. Musiała mądralińskiemu wszystko wygadać. Ma nadzieję, że jednak nie wszystko, bo wtedy świat ich wszystkich, a zwłaszcza Zofii, stanie na głowie.

– To za dużo powiedziane. To tylko takie moje drobne hobby – odpowiada, siłąc się na obojętny ton, chociaż nie wierzy, żeby Martina to zadowolilo. Na szczęście chłopak Klary nic już nie mówi.

Jak to zwykle bywa przy tego typu okazjach, przywitanie się przeciąga. W końcu Klaus chwyta walizkę i obiecując, że zaraz wróci, taszczy ją do swojego pokoju. Za każdym razem, gdy tu wchodzi, widzi wszystko w takim stanie, w jakim pozostawił te rzeczy, gdy opuszczał dom na stałe piętnaście lat temu – dwie półki z książkami, tapczan, dębowe biurko, nawet ta sama skrzywiona lampka na nim. I nieśmiertelny plakat na ścianie z filmu *Poszukiwacze zaginionej arki*. Jedyne feler w tym wszystkim jest taki, że plakat podarował mu ojciec. Zapukał pewnego dnia wieczorem do domu Zofii, zanim jeszcze zniknął na dobre i jak zwykle bełkotał pijany pod drzwiami. Głównie o tym, że świat nie jest sprawiedliwy. Nikt mu wówczas nie otworzył. Wszyscy udawali, że nikogo nie ma w domu. Nie chcieli kolejnej awantury. Kiedy ojciec Klausu zrezygnował wreszcie i odszedł, Zofia otworzyła drzwi i okazało się, że na progu leży zwinięty w rulon plakat. Klaus w pierwszym odruchu chciał go wrzucić do pieca. Jego druga mama powstrzymała go jednak i przekonała, że to tylko kawałek zadrukowanego arkusza i nie ma co się na nim wyżywać. Niczego to przecież nie zmienia, a sam plakat jest cudowny i Klaus dawno już takiego szukał. Przyznał jej wtedy rację, ale długo jeszcze związany gumką rulon trzymał pod łóżkiem, zanim przykleił go w końcu na ścianę.

Spogląda teraz na uśmiechniętego, mocno już wyblakłego Harrisona Forda, pewnie święniętego przez starego z jakiegoś straganu, i tak jak przed laty znowu czuje pragnienie, by plakat zerwać, potargać w strzępy i wyrzucić w cholerę.

– Szlag by cię, stary sukinsynu! – rzuca w twarz gwiazdora z Hollywood.

Lituje się jednak nad plakatem, zostawia go w spokoju, rzuca walizkę na łóżko, a następnie schodzi na dół do ogrodu, gdzie wszyscy już na niego czekają. W dupie ma przeszłość. I tak jej nie zmienia.

Zacieniona altana wydaje się wyspą na oceanie spokoju. Klaus z przyjemnością mości się więc w wiklinowym fotelu, bierze głęboki wdech, a kiedy powoli wypuszcza z płuc powietrze, czuje ogarniające go zmęczenie. Chyba dopiero w tym momencie dociera do niego, ile tak naprawdę kosztowało go spotkanie z ojcem. Przyczajone gdzieś z tyłu głowy czarne myśli znowu dają znać o sobie. Czerwona lampka świecąca w jego głowie wcale nie przygasa.

– Ej, brat! Co z tobą? – Klara przerywa mu zadumę. – Tyle czasu się nie widzieliśmy, a ty zaraz zaśniesz! Nie myśl sobie, że będziesz tu tak siedział. Nie dzisiaj! Balowałeś gdzieś, czy jak?

Klaus z wysiłkiem przywołuje uśmiech na twarz, odruchowo sięga po papierosa, zerkając przy tym na Zofię, gotów w każdej chwili odeprzeć jej spodziewany, antynikotynowy atak, a kiedy nic takiego się nie dzieje, bez zmrużenia oka, kłamie:

– No wiesz, mała. Dawno mi nie było tak dobrze.

Przecież nie może im, do diabła, powiedzieć, że tuż pod ich nosem „zaatakował” go gość, któremu nagle przypomniało się, że jest jego ojcem! Nie po to tu jechał, żeby teraz opowiadać o człowieku, który wszystkim im wyrządził jedynie krzywdę. Ja piernicę, a może oni się tego spodziewali?, zadaje sobie nagle pytanie. „Nie, Klaus!” – ostrzega go jego wewnętrzny głos. „Nie ruszaj teraz tego. To nie pora i miejsce. Zagadniesz o to Zofię później. Teraz ciesz się chwilą”.

Klaus słucha głosu, rusza się w końcu w fotelu i wskazując palcem Klarę, rzuca:

– Ty! Ty mi powiedz, dlaczego za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza?

Klara się rumieni.

– Bo jestem w ciąży!

To jest jak chluśnięcie w twarz zimną wodą z wiadra. Klaus drugi raz w ciągu niespełna godziny zostaje kompletnie zaskoczony. Unosi brwi w niekłamanym zdziwieniu i spogląda na Zofię.

– Ona mówi poważnie? Mała Klara będzie mamą?! Chryste! Gratulacje! Cudownie!

– A ja tatą – odzywa się na to Martin. – Dzieci zazwyczaj mają dwójkę rodziców.

Klaus wbija w niego wzrok i przez ułamek sekundy ma ochotę powiedzieć mu, że jasne, to prawda, ale w jego przypadku dziecku należałoby tylko współczuć. Powstrzymuje się jednak. Nie chce robić przykrości Klarze i jej matce. Jeszcze będzie okazja, żeby mądrali utrzyć nosa. Zamiast tego, spokojnie wyjaśnia:

– Zazwyczaj tak, dlatego się cieszę.

– Oj, Klaus! Znowu dałeś się nabrać! – Klara aż podskakuje ze śmiechu.

Klaus patrzy na nią i widzi nastolatkę, a przecież to już dorosła kobieta. Miał nadzieję, że skończyła z wygłupami. Chociaż czuje się teraz jak idiota, nie potrafi się na Klarę gniewać. Powinien się przecież spodziewać, że znowu go w coś wkręci.

– To ci niespodzianka, co? Ale masz minę! – Klara mało nie klaszcze z zadowolenia w ręce. – Chciałbyś być wujaszkiem, przyznaj się!

Jasne, najlepiej wujaszkiem–złodziejaszkiem, myśli.

– Rzeczywiście, to dzień niespodzianek.

– To co masz taką skwaszoną minę, naprawdę myślałeś, że jestem w ciąży?

– No wiesz – Klaus kiwa głową niczym mędrzec – dlaczego nie? Wprawdzie podskakujesz, jak dzieciak, który zobaczył lizaka, ale...cóż. Bywa, że dzieci też

mają dzieci. Czemu nie?

– I znowu jesteś sobą, bracie! – Klara przybija z nim piątkę i Klaus uśmiecha się szeroko.

– Pewnie nici z pętelką z twoich poszukiwań – nie kryjąc kpiny w głosie, wtrąca naraz Martin i Klaus czuje, że dobry nastrój, który zaczął już wracać, znowu znika.

Coś ty taki ciekawski się zrobił?, zastanawia się. Rozważa też, co odpowiedzieć. Najwidoczniej chłopak Klary nie da mu dzisiaj spokoju i będzie tak mu wiercił dziurę i wiercił, aż przewierci mu brzuch na wylot.

– Nie tak do końca – mówi w końcu. – Parę rzeczy udało się ustalić.

Uznaje, że nie ma wyjścia. Będzie musiał im o tym opowiedzieć, bo mądrała się nie odczepi.

– Cały Klaus. Potrafi mówić, ale tylko zagadkami – śmieje się tymczasem Klara, ale Klausowi wydaje się, że jest to odrobinę wymuszony śmiech, tak jak wtedy, kiedy przed laty spryčiuła uświadomiła mu, że domyśla się skąd ma pieniądze...

...Domyśliła się skąd ma pieniądze. Klaus widział to po jej minie. Siedzieli na schodkach przed wejściem do domu, tych samych, na których lubił siadywać w chwilę po przebudzeniu, z kubkiem kawy z boku i petem w rękę; nikt mu wtedy nie głądził, jakie to palenie jest niezdrowe. Klara już od paru dni krążyła wokół niego jak nabuzowana osa i czuł, że w końcu go użądli.

– Klaus, byłam w twojej galerii i pogadałam trochę z tą twoją pracownicą i wiem, cholera, że jak sprzedasz dwa obrazy w miesiącu, to jest to cud – oznajmiła mu z miną zwiastującą nadchodzącą konfrontację, po czym umilkła, jakby jej ktoś przerwał połączenia między językiem a mózgiem.

Z tą galerią to była oczywiście lipa. No może nie tak do końca, bo Klaus rzeczywiście od dawna prowadził galerię z obrazami, ale przecież to nie dzięki niej upychał na różnych kontach spore kwoty, inwestował poprzez Mecenasa w obligacje i udziały w różnych spółkach. Jakąś przykrywkę wypadało jednak mieć, chociażby na użytek świata, a zwłaszcza Zofii. Przecież nie mógł jej powiedzieć, co robi naprawdę. Jasne, że nie było to w porządku wobec kobiety, która okazała mu tyle serca i miłości. Być może powinna znać o nim prawdę. Ale Klaus był zdania, że narobiłaby ona wówczas więcej szkód niż pożytku. Można więc powiedzieć, że prowadził podwójne życie. W jednym był nudnym sprzedawcą obrazów, w drugim złodziejem i oszustem.

– No i? – udał zdziwienie.

– Dobrze wiesz! O co tu chodzi? Okłamujesz nas?

Przysunął się bliżej niej, otulił ją ramieniem i zbliżając usta do jej ucha, szepnął:

– Tylko nie mówię prawdy, siostruniu.

Klara się szarpnęła.

– „Tylko nie mówisz prawdy!”. No pięknie! To powiedz teraz! Robisz coś złego?
– Oj, siostra. Nic złego nie robię, znasz mnie przecież. Muchy bym nie skrzywdził, co ci się w tej główce lęgnie?

– To skąd masz tyle gotówki, co? Myślisz, że nie wiem, że dajesz mamie pieniądze na dom, na mnie i jeszcze fundujesz nam wycieczki? – ściszyła głos i jakby nieśmiało, dodała: – Ty... znowu... no wiesz. Kradniesz, Klaus? Powiedz, że się myślę... A może nawet nigdy nie przestałeś?

Klaus dałby sobie rękę obciąć, że ostatnie zdanie Klary przeszło jej przez gardło, przy okazji wywracając do góry nogami jej wyobrażenie o cudownym bracie. W końcu ją wychował razem z Zofią. Zrobiło mu się wstyd. Chociaż wiedział, że nie powinien tego robić, nie miał zamiaru kłamać. Więc tylko kiwnął głową.

– Wiedziałaś. Wiedziałaś, że wilka ciągnie do lasu. Ale dlaczego? Przecież możesz uczyć historii sztuki, zatrudnić się w jakimś, nie wiem, muzeum, nie jesteś przecież głupi, na Boga! Po co w takim razie studiowałeś? Klaus, przecież to nieetyczne. Jak w ogóle można kogoś okradać? Na litość boską!

Co miał jej, do licha, na to odpowiedzieć? Że wszyscy się z czegoś okradają? Jedni z kasy, inni z marzeń, złudzeń...

– Co w ogóle jest na tym świecie etyczne, co? – burknął w końcu. – Nie martw się, nie okradam biedaków, tylko tych, którzy sami kradną.

– Jak to? – Oczy Klary zrobiły się wielkie.

– A tak... A z tą całą galerią, to wcale znowu tak nie jest. To trochę tak dla niepoznaki, rozumiesz? Taka przykrywka. – Zajrzał w te jej absurdalnie wielkie oczy i mało się w nich nie utopił. – I wcale nie jest tak, jak powiedziała ci to Jola. Fakt, że ostatnie dwa miesiące nie były dobre. Ale są i takie, że zarobek jest naprawdę godziwy. Więc...

– To po co kradniesz?!

Przez chwilę nie odpowiadał. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Że to tkwi w nim jak nałóg? Że wspaniale mieć pieniądze, bo im więcej się ich ma, tym człowiek czuje się pewniej w tym zaszranym życiu?

– Nie zrozumiesz tego, nie gniewaj się. – Przygniótł niedopałek papierosa.

– Serio?

– Serio.

– To co w końcu robisz? Kogo okradasz? Gangsterów? Chcesz skończyć w trumnie? Klaus...

Buchnął wtedy śmiechem.

– Jezu, mała, to nie tak. Myślałaś, że co? Zakładam kominiarkę i nocą opuszczam się na linie po jakieś klejnoty? Albo napadam na bandytów?

– No... nie wiem... Z tobą, to...

– Są inne sposoby, wierz mi – przerwał jej. – A ci, którzy tracą w ten sposób to, co sami skradli, siedzą cicho i udają, że wszystko jest ok. Na policję przecież nie

polecą. Tak więc nie martw się. Nic się nie stanie. A poza tym... cóż... chyba się już taki urodziłem i... mam to po... po nim, no wiesz. Daj spokój, jest okej. I wiesz, co? Po prostu nie mógłbym życia spędzić w galerii.

3.

Klara go wtedy przyszpiliła jak owada. Co innego wciskać kit obcym, a co innego okłamywać najbliższych. Zdarzenie z Klarą miało jednak jeden plus – Klaus po tej wpadce stał się jeszcze bardziej ostrożny i z mozołem budował pozory, aż w końcu sam niemal uwierzył, że jest porządnym obywatelem i tylko od czasu do czasu zdarza mu się coś tam skubnąć nie swojego. Coś podebrać. Bo przecież świat nie jest sprawiedliwy, co nie?

Był też, niestety, wielki jak droga z Ziemi na Księżyc minus tej konfrontacji – przez tę chęć budowania pozorów, ulepszania fałszywej tożsamości, trafił na kobietę, w której, jak sądził, zakochał się w trupa. Liza była geniuszem, jeśli chodzi o fałszowanie dokumentów. Załatwiała mu lewe papiery, w zależności od tego, kogo w danym momencie zamierzał ogołocić z kasy, a na co dzień miała zaś własną pracownię malarską. Nie wiedział tylko, że równie po mistrzowsku potrafiła fałszować okazywanie uczuć i skrywać swoje prawdziwe oblicze. Po kilkunastu miesiącach małżeństwa ich związek rozpadł się z hukiem. Nie tak do końca, co prawda, bo Liza korzystała z tego, że wie o nim wszystko i, jak się okazało, miała ochotę oskubać go do gołej skóry. Na szczęście była granica, której przekroczyć nie mogła, bo wiedziała, że wtedy on oskubie ją. Trzymali się więc w szachu, chociaż Klaus wolałby o niej zapomnieć.

– Klaus, co z tobą? Naprawdę zaraz zaśniesz. – Martin wyrywa go ze wspomnień jak ze złęgo snu, po czym wstaje, przeciąga się i pyta, kto się napije piwa.

– Prosto z lodówki – zachęca.

– Chętnie – zgadza się Klaus.

Jest nieco zdezorientowany i kiedy Martin rzuca w jego stronę lodowatą, oszronioną butelkę, ta prawie wyslizguje mu się z dłoni. Klaus uważa, że sukinkot celowo rzucił ją z taką siłą, licząc pewnie na to, że w ten sposób ośmieszy jego niezdarność wobec Klary. Kto wie co mu chodzi po tej łepetynie. Klaus bierze w usta porządny łyk i mało się nie krztusi, słysząc, co Martin do niego mówi:

– Słuchaj, przez rok uganiaś się za tym swoim skarbem, pewnie wydałeś na to fortunę i dalej nic na dobrą sprawę, jak rozumiem, nie wiesz. Bo gdyby było inaczej, już byś o tym powiedział. Po co to robisz? My tu harujemy, żeby było lepiej, a ty tropisz jakieś cienie przeszłości.

Klaus nie jest typem mężczyzny, którego łatwo wyprowadzić z równowagi i czymkolwiek naprawdę zdziwić. Przynajmniej za takiego się uważa. Ale pretensje tego gogusia wbiły go w fotel. I co niby miał mu odpowiedzieć? Że to, jak wydaje

swoją kasę, to jego sprawa? Co go to w ogóle obchodzi? Nawet nie jest jeszcze mężem Klary, ani nawet narzeczonym. Nie może jednak nic na to odpowiedzieć, bo niemal równocześnie Klara i Zofia naskakują na Martina:

– Co ty wygadujesz?! – dziwią się.

– Mów za siebie. – Klarę oblewa rumieniec wstydu.

– No dobrze już. – Klaus przerywa tę niepotrzebną, jak sądzi, pyskówkę. Nie chce, żeby się tu wszyscy pokłócili z jego powodu. – I tak miałem wam o wszystkim opowiedzieć, nie? Więc to żaden problem.

Tak mówi, ale wie, że oszukuje sam siebie. To jednak jest problem. I to spory. Sprawa zamkowej skrytki wiąże się ze znaczkami, a to ma być jego ostatni deal. I ma teraz o tym powiedzieć człowiekowi, który, co prawda, nie jest policjantem, niemniej ma z nimi kontakt na co dzień, serwisując ich komputerową sieć. To oznacza, że znowu będzie musiał kłamać. Nie czuje się z tym dobrze, ale wie, że inaczej się nie da. Trudno – myśli. – Nawarzyłeś piwa, to teraz je wypij, chłopie.

– Klaus, nie musisz – zwraca się do niego Zofia. – A ty, Martin, przestałbyś się wreszcie czepiać.

– Czepiać? Tylko się dziwię, nie mam nic do Klauska. No ale sama przyznaj, że to trochę dziwaczne, że...

– Dobra. – Klaus unosi rękę. – Dajcie już spokój, to nic takiego. Chętnie to wytłumaczę.

4.

Poprawia się w fotelu, upija nieco piwa i myśli, że z tą deklaracją chęci to przywalił jak dzik w sosnę. Nie lubi na sobie skupiać uwagi. Nawet najbliższych. Cholera! Nie lubi nawet rozmawiać! A teraz snuć ma opowieść, jak jakiś pomyłony bajkopisarz. Nawet nie wie, od czego zacząć.

W końcu mówi o tym, że kiedyś w zamku Czocha mieszkał jego dziadek od strony ojca. Zerka przy tym na Martina i dla pewności, żeby ten nie wyobrażał sobie Bóg wie czego, tłumaczy, że dziadek nie był bynajmniej właścicielem, a zaledwie parobkiem. Niemniej mieszkał w zamku przez ostatni rok wojny. To właściwie tyle, co wie o swoim przodku, czyli prawie nic. I to nie ojciec mu o tym powiedział, ale matka. Stary nawet słowem na ten temat się nie zająknął, a kiedy Klaus kiedyś próbował dowiedzieć się od niego czegoś więcej, oberwał kapciem.

Ciągnie tę opowieść, usiłując sobie przypomnieć coś więcej o ojcu swojego ojca. Ale w jego wspomnieniach była tylko biała plama. Uświadamia sobie przy tym, że równie mało wie o matce i samym ojcu. Nawet nie wie, jak się poznali. Nic nie wie!

– Tak więc, drogi Martinie, domyślasz się już chyba, że lubię ten zamek – tłumaczy tymczasem. – Jestem tam więc częstym gościem. No i jakiś rok temu w zamku było włamanie.

W tym miejscu Klaus przerywa. Wydaje mu się, że nawija już pół dnia, chociaż minęło ledwie kilka minut. Sięga po wodę. Zerka na Martina i stwierdza, że upierdliwiec najwyraźniej czeka na ciąg dalszy.

Kontynuuje więc, tłumacząc, że włamanie uświadomiło administracji zamkowej, że wciąż są tam skrytki, o których dotąd nikt nic nie wiedział. Bo włamano się właśnie do jednej z nich. Sprawcami była para turystów z Niemiec, a sama skrytka była umiejscowiona w pokoju hotelowym, który Niemcy zajmowali.

– Czekaj – przerywa Martin. – Włamano się więc do skrytki, o której nikt nie wiedział, że istnieje. Czy tak?

– Nie inaczej. – Klaus kiwa głową.

– O rany! Nic nie mówiłeś, bracie! – Klara robi wielkie oczy, czym dziwi Klause, bo przecież doskonale pamięta, że o tym akurat jej opowiadał. I nie tylko o tym. Domyśla się jednak, że takie zawołane kpiny ze strony siostry to jakaś forma kary dla niego za kłamstewka wobec niej i Zofii. Ma tylko nadzieję, że Klara nie strzeli tu nagle jakiegoś focha. Nie z uwagi na jej faceta. Klaus za nic w świecie nie chciałby skrzywdzić swojej przyszywanej mamy.

Nie zraża się jednak gadaniem Klary i mówi dalej:

– Bo wtedy, siostruniu – zagłęda w jej oczy – nie było o czym. Włamania nie są czymś nadzwyczajnym. Ktoś obrobił dotąd nieznaną nikomu skrytkę. W sumie nic dziwnego, bo w zamku trochę ich jest. Większość została już odkryta i zewidencjonowana. Tej jednak nie było na liście.

– Klaus – przerywa mu Zofia. – Może opowiedz Martinowi trochę o samym zamku, a my w tym czasie z Klarą przygotujemy kolację, dobrze? Chyba nic, biedaku, nie jadłeś przez ten czas...

– Tylko zaczekaj na nas, nie mów co odkryłeś, chyba że stanie się cud i opowiesz to dwa razy – dorzuca wesoło Klara.

Klaus oczywiście zgadza się, tym bardziej że faktycznie jest już głodny. Mniej bawi go za to perspektywa zabawiania historią zamku tego przemądrzałego programistę. Ale wycofać się już nie może.

5.

– Naprawdę ciekawi cię ta historia? – dopytuje i ma nadzieję, że mądraliński jednak nie będzie chciał jej słuchać. Przecież nie lubi nudziarzy. To nie to samo, co włamania do tajnych skrytek. Ale ma pecha, bo Martin wyraźnie jest zainteresowany.

– Jasne! – cieszy się, a Klaus zastanawia się, czy on tak naprawdę, czy tylko tak dobrze udaje. – Trochę wiedzy nigdy nie zaszkodzi. Mieliśmy zresztą niedawno jechać z Klarą do tego zamku, ale wiesz... z moją robotą nigdy nic nie wiadomo. Zawsze cię ściągną z łóżka w najmniej odpowiednim momencie – rehocze.

– Jak chcesz, tylko nie marudź później, że zanudzam.

Klaus opowiada więc o początkach zamku, o tym, że wzniesiono go za czasów Wacława I Przemyślidy w pierwszej połowie trzynastego wieku. Dodaje, że przez stulecia przechodził on różne dzieje losu, zmieniał właścicieli, więc ciągle się przeobrażał jak poczwarka.

– Czyli dzisiaj nie wygląda tak jak kiedyś? – chce się upewnić Martin.

– Tak naprawdę to większość budowanych w tamtych czasach zamków, jeśli nawet przetrwały w całości do naszych czasów, wygląda już inaczej. Pierwotnie budowano je jako gotyckie warownie, a dzisiaj są to przebudowy z czasów renesansu. No, chyba że mowa o ruinach. Tych zresztą jest w Polsce najwięcej. *À propos*, właśnie niedaleko miejsca, gdzie stoi zamek Czocha, są fajne ruiny. Ale mało kto o nich wie, więc wszyscy walą do Czocha, bo tam są skrytki i tajne przejścia. Tyle że te powstały już w dwudziestym wieku.

– Jak to?

– No tak. Największe zmiany zaszły, kiedy kupił go drezdeński przedsiębiorca, niejaki Ernst Gutschow. Gość dorobił się w Ameryce na handlu papierosami, a właściwie to cygarami. Przyjechał tu i zapragnął mieć jeszcze tytuł, bo kasy miał jak lodu. Potrzebny mu więc był na przykład zamek. No wiesz... Mieć własny zamek, to było coś. Dzisiaj zresztą, zauważ, jest tak samo. Byle prostak i cwaniak dorobi się na czymś i co najpierw robi? Stawia dupną chawirę. Bo każdy musi wiedzieć, że facet ma kasę. Dużo kasy.

Ale wracając do Gutschowa; kupił ten zamek za jakieś półtora miliona ówczesnych marek. Później dorzucił jeszcze lekką rączką kolejne cztery na remont i to właśnie wtedy w zamku powstały tajne przejścia i skrytki. Bo ten nikotynowy potentat, musisz wiedzieć, miał na ich punkcie prawdziwego fioła. Poza tym miał w nich co chować.

– Chyba nie papierosy? – parska Martin.

– No wiesz, to, co naprawdę facet posiadał, to tylko on wiedział, ale ponoć miał nawet jedną z oryginalnych ksiąg Rasputina, insygnia koronacyjne carów rosyjskich i kupę innych skarbów, które kupował właśnie w Rosji.

– Ja cię kręcę! I to wszystko sto kilometrów stąd!

– Trochę więcej, ale i tak niedaleko – wzdycha Klaus. – Tak więc przerobił zamek na skarbiec własnych trofeów, które później, już pod koniec wojny i zaraz po niej, wyparowały.

– Jak to?

– Może nie do końca, przecież dalej odkrywane są skrytki, ale część zabrał ze sobą, opuszczając zamek, a inne po prostu rozkradziono. Co nie było zresztą w tamtych czasach rzadkością, bo większość zamków czy pałaców została po wojnie ogołocona. Albo przez wojska radzieckie, albo przez miejscową ludność. Są różne hipotezy na ten temat.

– Ciekawe, nie powiem – z uznaniem stwierdza Martin. – I przyglądałeś się temu?
Klaus nie bardzo wie, o co chodzi Martinowi, ale rezygnuje z dyskusji, bo do altany z wielkimi tacami jedzenia wchodzi Klara, a za nią Zofia.

6.

– Koniec gadania, czas na jedzenie – oznajmia wesoło starsza pani. – Dokończysz, Klaus, później.

Klaus nie ma nic przeciwko temu. Jest wręcz wniebowzięty – zaschło mu w gardle, jest głodny jak wszyscy diabli i chce mu się palić. Ledwo kończy jeść, zaczyna się wiercić w fotelu. Nikotynowy głód atakuje z całą mocą. Klaus zerka na Zofię i w końcu sięga po papierosa (a miał się ograniczyć, przypomina sobie). Kobieta tylko kręci z dezaprobatą głową, ale nic nie mówi.

– Tak, wiem, wiem. Rak i te sprawy – bąka pod nosem Klaus. I szybko wstaje, żeby zdążyć wyjść, zanim Klara dołoży swoje naukowe trzy grosze. Odchodzi spory kawałek dalej, na drugą stronę domu. Przy Zofii i tak nie zamierzał palić.

Dochodzi godzina osiemnasta, mimo to wciąż czuć nieznośny upał. Powietrze jest jakieś wilgotne, liście na drzewach oklapnięte, cisza aż kłuje w uszy. Klaus spogląda w niebo, spodziewając się, że zobaczy zbierające się sine chmury zwiastujące burzę. Chciałby teraz deszczu. Takiej solidnej ulewy, żeby zmyć z siebie cały dzień. Zamiast tego w oczy poraża go błękit. Cholera – myśli – ugotujemy się żywcem.

Wraca w końcu do altany i pyta, czy ktoś ma jakieś tabletki przeciwbólowe.

– Źle się czujesz? – Zofia zagląda mu w oczy.

– Nie. Po prostu cały dzień faktycznie mało co zjadłem, ten upał, w nocy prawie nie spałem i teraz, no wiesz... zaczyna mi lekko łupać w głowie.

– I dlatego musiałeś się sztachnąć, co? – kpi Klara, po czym bez słowa wychodzi, by po chwili wrócić z lekiem w dłoni.

– To ci pomoże – mówi. – A może się położysz? Resztę możesz jutro opowiedzieć, pewnie cię to męczy – próbuje go jeszcze przekonać, chociaż Klausowi wydaje się, że ta spryciuła znowu robi sobie z niego jaja i zwyczajnie go podpuszcza. – A ty się, Klaus, szczepiłeś?

– Niby na co? Na ból głowy?

– Ale śmieszne. – Klara puka się w czoło. – Dobrze wiesz, o czym mówię. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji przechorowania COVID-a.

– Jest okej, siostra. Nie musisz się martwić. Najwyżej mgła zasnuje mi mózg i zapomnę o własnych problemach. Same plusy, nie?

– Zjedz lepiej tabletki, bo zaczynasz majaczyć.

Klaus się uśmiecha, wysupłuje z opakowania dwie pigułki i popija je wodą.

– Okej. – Na powrót mości się w fotelu. – Skończyłem na włamaniu. – Szybko spogląda na Klarę. – Po tym więc, jak dogadałem się z administracją zamku,

przejrzałem całą dostępną dokumentację. W końcu dowiedziałem się, że pod koniec wojny bibliotekarka Gutschowa, Krystyna von Saurma, która oczywiście nie była postacią anonimową, bo występuje nawet w opracowaniach historycznych dotyczących zamku, dopiero kilka lat temu zmarła w Niemczech. A nie była byle kim, bo to ona prowadziła Gutschowowi całą dokumentację i musiała wiedzieć, gdzie skubaniec poupychał te swoje cudenka – ciągnie Klaus. Na pewno będzie musiał tłumaczyć Klarze, z kim to się „dogadał”.

– A co ta kobieta miała do włamania? – dziwi się Zofia.

– Poczekaj, kochana, po kolei. Kiedy pojechałem do miasteczka, w którym przez te wszystkie lata mieszkała, dotarłem do jej krewnej, już staruszki. Ale na szczęście kobiecina ma jeszcze dobrą pamięć. Dzięki niej, bez wdawania się w szczegóły, dotarłem w końcu do listów, które, jak się okazało, Saurma za życia pisała do jednego z byłych pracowników naszego zamku.

– O! – krzyczy na to Klara. – Czytałam o niej trochę, ale tego nigdzie nie znalazłam.

– Bo też nigdy się tym nie przechwalała – tłumaczy Klaus. – Zresztą, po co miałyby to robić? Tak czy owak, odszukałem tego człowieka i przekonałem go, żeby mi te listy pokazał. I wiecie, co?

– No?! – Martin nadstawia ucha.

– W jednym z nich był opis tej feralnej skrytki... – Klaus po tym wyznaniu zawiesza na moment głos. – Sam w to nie wierzyłem, ale wszystko się zgadzało. Mało tego, Saurma opisywała w liście, co w niej było.

Klaus znowu przerywa i sięga po wodę. Zdecydowanie za dużo dzisiaj gada. Jak tak dalej pójdzie, przez następny tydzień będzie milczał jak grób.

– Jezu, Klaus! Wyduś to w końcu z siebie! – nie wytrzymuje Klara. – Znalazłeś skarb? Co tam było? Pewnie jakiś wielki pierścień cara Mikołaja.

Klaus patrzy na siostrę, lekko się uśmiecha. Przecież nawet jeśli tam było złote jajo, to i tak by nie powiedział. Wypała więc jak z armaty:

– Nic tam nie było.

7.

– Nie, no, żarty sobie robisz – jęczy Klara. – To są jakieś jaja. Nabijasz się z nas. To zemsta za moją ciążę?

Klaus chichocze. Bawi go ta reakcja siostry. Mógłby jej powiedzieć, że tak, to taki sam żart jak ta jej ciąża. Tyle, że to wcale nie jest żart.

– Poważnie! W skrytce nigdy nic nie znaleziono – zapewnia w końcu i tym razem nie kłamie. Cholera, tak właśnie było. – Tak przynajmniej twierdziła Saurma.

Klaus tłumaczy, że to możliwe, bo Gutschow – przy całej swej pazerności – był też żartownisiem. – Narobił tych skrytek od cholery, ale w większości z nich zamknął

powietrze albo jakieś głupie liściki – dodaje. – Z drugiej strony jest to dziwne, bo skoro ktoś włamał się do skrytki, to musiał mieć jednak informacje, że coś tam mogło być.

– Może wiedział tylko tyle, że ona istnieje i gdzie się znajduje, ale nie miał pojęcia, że nic w niej nie ma – głośno zastanawia się Klara.

– Może – przyznaje Klaus.

– No to kicha, panie detektyw – nie ukrywa rozczarowania Martin. – To ci włamywacze musieli mieć ciekawe miny... Chciałbym ich wtedy widzieć.

– Pewnie tak – mruczy Klaus. – No i to koniec tej wielkiej przygody.

– I warto ci było uganiać się za tym tyle czasu? Nie mówiłem, że uganasz się za cieniem?

Klaus wyraźnie słyszy satysfakcję w głosie Martina. Chętnie utarłby mu teraz nosa, mówiąc o dalszym ciągu historii. O tym, że grzebiąc w listach bibliotekarki i różnych dokumentach Niemki trafił też na informację, w której Saurma opisała inną skrytkę, gdzie według jej wiedzy znajdować się ma kilka znaczków. Małych, zadrukowanych papierków, warty, jeśli jego przyjaciel Mecenas się nie myli, kilka milionów euro. Milionów, dzięki którym, jeśli znaczki te rzeczywiście istnieją, będzie mógł zamknąć na kłódkę kolejny etap swojego życia i zrealizować prawdziwe marzenie. Cholerne znaczki śniły mu się już po nocach. Wciąż nie może się też nadziwić, że mogą być aż tyle warte. Jego wątpliwości rozwiązał jednak sam Mecenas, tłumacząc, że są to okazy z czasów wojny secesyjnej, w dodatku nie chodzi o zwykłe znaczki, a skarbowe, i że na całym świecie jest ich obecnie zaledwie kilka sztuk. Jeśli więc pokażą się kolejne, będą z pewnością sensacją na rynku. Klaus i tak nie musi się martwić o ich zbycie, bo ma już chętnych na dokonanie transakcji. Oczywiście zdaje sobie sprawę z faktu, że to dzielenie skóry na niedźwiedziu, ale jakby co, to lepiej być przygotowanym na wszystko zawczasu. Tak więc korci go jak wszyscy diabli, żeby cisnąć te informacje w twarz Martina i zetrzeć mu z ust ten kpiący uśmieszek. Ale nie jest idiotą i zamiast się odszczeknąć, sprytnie zmienia temat:

– A co piszczy w policyjnej trawce, co? Twoi koledzy dalej uganiają się za małolatami posiadającymi pół grama maryški?

Martin, jak ta głodna ryba, błyskawicznie chwyta przynętę i oburzony jawną kpina Klausa wyłuszcza mu, że on w każdym razie nie jest od politykowania, a jedynie od spraw związanych z informatyką i nie ma pojęcia o ćpunach i całym tym gównie. I przecież nie jest gliną, do cholery, więc skąd to pytanie. Ale faktem jest, przyznaje, że nieraz jemu i jego kumplom przepisy wydają się co najmniej dziwne.

Klausowi więcej nie trzeba. Przybiera ton mentora i spokojnie mówi:

– No i sam widzisz, twoja praca nie zawsze daje ci satysfakcję. A moja owszem, bo jakoś nie mam dylematów moralnych.

– A jaką możesz mieć, u licha, satysfakcję z oglądania obrazów, które mało kto kupuje? Nie bujaj!

– Cóż... Mnie tam cieszy, że w ogóle są. Nie wytłumaczę ci tego.

– Gdybyś jeszcze na tym zarabiał miliony...

– No dobra, chłopaki, dajcie już spokój tym przekomarzankom – wtrąca nagle Zofia.

Klaus korzysta z okazji i przypomina drugiej mamie, że za kilka dni jedzie z nim nie gdzie indziej, jak właśnie do zamku Czocha.

– Klaus – wzdycha Zofia. – Mówiłam ci, że nie bardzo mam...

– Tak, tak, wiem. Nie masz czasu, zdrowia i takie tam. Jedziesz ze mną, już dawno ci to obiecałem. I nie wykręcisz się tym razem. Kiedy byłaś ostatnio na zamku? Przecież ci się podobał. Nie strzelaj mi tu teraz focha, kobieto!

– Ale Klara...

– Mamo! Nie musisz mnie pilnować. Pojedziesz i tyle! Klaus na pewno będzie wniebowzięty, prawda, Klaus?

– No... jak możesz pytać? Jasne, już jestem.

8.

W tym momencie rozlega się dzwonek u drzwi wejściowych.

– A to kto znowu? – dziwi się Zofia. – Nikogo się nie spodziewam.

Klaus w sekundzie czuje napływ adrenaliny. Wyobraża sobie, że to jego cholerny ojciec postanowił jednak beczelnie wprosić się do domu. Może przypomniały mu się stare lata, kto wie? Stary cap miał zawsze nierówno pod sufitem. Tego by już nie zdzierzył. Strach, który pojawia mu się w sercu tak nagle, równie szybko znika, kiedy Martin wyjaśnia, że to chyba jego kumpel z pracy, niejaki Makary z żoną Izą.

Tego jeszcze brakowało – myśli Klaus. – Najlepiej zaproś tu całą, kurwa, komendę!

– Zapomniałem wam powiedzieć... – Martin wydaje się być autentycznie skruszony. – Wspomniałem mu, że będziemy dzisiaj siedzieć sobie przy piwku. Przepraszam!

– Martin, Jezu, o czym ty ciągle myślisz? – upomina go Klara.

– Daj mu spokój, córcia, jedzenia wystarczy dla wszystkich – mówiąc to, Zofia rusza w stronę drzwi.

Po chwili do ogrodu wchodzą goście. Krótkie, oficjalne przywitanie, wzajemna prezentacja i Klaus, korzystając z chwilowego zamieszania, znika z ogrodu niczym dyplomowany magik, by za moment odnaleźć się po drugiej stronie domu z papierosem w dłoni. Pali tym razem szybko, jeden mach za drugim, by nie przedłużać swojej nieobecności. Nie chce, aby Martin pomyślał, że być może się obraził za to najście jego kumpla z żoną. Później by mu to z pewnością wypomniał.

Wraca więc równie szybko, jak zniknął. Gdy tylko zajmuje swoje miejsce, kolega Martina wbija w niego wzrok i z uznaniem kiwa głową, wierząc się przy tym na krześle, jakby miał zvarcie w tyłku:

– Martin właśnie opowiedział nam trochę o twoich przygodach. Nie wiedziałem, że ma w rodzinie poszukiwacza skarbów!

– Serio? – Klaus udaje zdziwienie. Nie ma też pojęcia, jakim cudem Martin zdążył im tak szybko opowiedzieć tę historię. Chociaż, przy tym jego kłapaniu ozorem... – Myślałem, że jestem tylko nudnym sprzedawcą obrazów.

– Co ty mówisz? Sprzedajesz też obrazy? Prawdziwe?

Nie, kurwa, podróbki... Kurde, ale jazda, Klausowi chce się śmiać. W życiu by nie pomyślał, że jakiś nerwowy glina będzie pod wrażeniem tego, czym się zajmuje. Ciekawe – myśli – co by chłop powiedział, gdyby dowiedział się całej prawdy.

– Cóż... – wzdycha. – Na sprzedaż prawdziwych mnie nie stać. To są kopie. Ale dobre kopie. A z tym tropieniem to Martin oczywiście przesadza, to nic takiego – próbuje umniejszyć znaczenie całej historii, ale z marnym skutkiem. Widzi przecież w ślepiach faceta, że autentycznie jest pod wrażeniem. Tylko mu tego teraz trzeba, żeby cała pieprzona komenda plotkowała o Klausie, który tropi zamkowych włamywaczy. – Nie ma o czym gadać.

– Prawie jak Indiana Jones – śmieje się Martin i Klausowi znowu trudno wyczuć, czy to kpina, czy nie. Stawia jednak na to pierwsze. Zerka raz jeszcze na Makarego i dociera do niego, że facet, od kiedy się zjawił, bez przerwy dotyka swojego nosa. Jakby go swędziało. Nie może sobie podarować, i mówi do niego:

– Masz z nim jakiś problem?

– Z czym? Nie rozumiem.

– No z nosem. Jeśli coś nie tak, to Klara...

– Ach! To! – Palec Makarego znowu ląduje z boku nosa. – Nie, nic... To chyba taki odruch – śmieje się nerwowo, ale Klaus widzi w jego oczach błysk złości i myśli, że gdyby to nie był kumpel Martina, to uznałby, że ma do czynienia z jakimś typem spod ciemnej gwiazdy.

– Jego nos, jego problem – uśmiecha się tymczasem Martin. – A wracając do ciebie, Klaus, to ta histor...

Nie kończy, bo dzwoni telefon Klary.

Klaus jest wdzięczny opatrności za to zrządzenie losu. Może wreszcie odczepią się od niego.

Klara tymczasem wstaje z telefonem przy uchu i schodzi do ogrodu, gdzie spacerując w kółko, wciąż rozmawia. Jest wyraźnie zaaferowana.

– Pewnie to któryś z jej uczniów – mruczy tymczasem Martin. Widać, że nie bardzo mu się to podoba.

– O tej porze? Dzisiaj? – dziwi się jego znajomy. – Przecież są wakacje!

– Człowieku, oni potrafią ją zamęczać o północy. Co tam wakacje. To jakieś wariactwo. W normalnej szkole takie coś byłoby nie do pomyślenia. Ale ten cały Waldorf to jakaś sekta. Mówię ci, że nieraz jak słucham przez godzinę, jak wałkują jakiś temat, to zaczynam w końcu kipieć.

– Ale podobno to nauczanie alternatywne, lepsze od szkoły systemowej – wtrąca żona Makarego. – Przynajmniej nie zamęczają tam dzieciaków tysiącem wymagań.

Klaus przysłuchuje się rozmowie w milczeniu. Nie ma pojęcia, co to dokładnie jest szkoła waldorfska, ale wie, że Klara jest swoją pracą zafascynowana. I to mu wystarcza. Nie podoba się mu natomiast, że Martin tak lekceważąco się o tym wypowiada. Sam przecież mówił, że nieraz musi wychodzić z domu o różnych porach. Po co więc tak publicznie deprecjonuje pracę swojej dziewczyny? Klaus nie ma pojęcia. Utwierdza się jednak w przekonaniu, że słusznie nie przepada za tym człowiekiem.

Klara tymczasem wraca do stolika. Martin fuka na nią, że znowu przenosi pracę do domu i mówi, że to nie jest fajne. Że mogłaby wreszcie poustawić tych smarkaczy, bo w końcu wejdą jej całkiem na głowę.

Klaus nie wytrzymuje.

– Może i niefajne, ale to jej życie – wtrąca z uśmiechem na twarzy i podaje Klarze piwo. – Masz, napij się siostra i zapomnij o problemach.

Klara bierze zimną butelkę i zaraz odkłada z uśmiechem na stolik.

– A może jednak będziesz tym wujaszkiem...? – puszcza do niego oko.

– Mam nadzieję, że kiedyś tak. Ale nie wiem, czy ci wtedy uwierzę...

Spotkanie trwa może jeszcze z godzinę. Klausowi udaje się wyłączyć z rozmów i może wreszcie odsapnąć. Nie interesuje go polityka, ceny, i to, że Hindusów jest już więcej niż Chińczyków. Większość czasu do końca nasiadówki milczy, popijając zimne piwo, mieląc w głowie własne przemyślenia i ukradkiem przyglądając się znajomemu Martina. Facet nie dość, że ciągle maca własny nos, to jeszcze kilka razy zdążył się przejrzeć albo w szybie drzwi wyjściowych na ogród, albo we własnym telefonie. Klaus uważa, że większość ludzi ma jakąś obsesję. Ten tutaj najwidoczniej na punkcie własnego wyglądu. W głowie brzęczy mu też jedna namolna myśl – jak to będzie, gdy kiedyś naprawdę zostanie wujaszkiem. „A to, dziecino, twój wujek Klaus. Taki wujaszek–złodziejaszek...”.

Klaus czuje, że oblewa się zimnym potem.

Rozdział 3

1.

Jest dokładnie dwudziesta pierwsza, kiedy w pokoju Klausa rozlega się ciche pukanie.

– Mogę? – Zza drzwi słycać ściszony głos Klary.

Wujaszek–złodziejaszek, wujaszek–złodziejaszek...

Nareszcie, myśli z ulgą Klaus. Chce mieć tę rozmowę już za sobą. Nie mylił się, sądząc, że Klara przy pierwszej sposobności będzie chciała go przepytac. Zawsze była ciekawska.

– Jasne, wchodź – mówi.

Klara wchodzi i siada na brzegu łózka. Z jej twarzy bije wyraz prawdziwej troski. Patrzy na Klausa siedzącego po turecku i kiwa głową z dezaprobatą. Na razie wymownie milczy, tylko jej oczy go świdrują, aż ten czuje nieprzyjemne mrowienie. Nie odwraca jednak wzroku.

– No co? – Wzdycha w końcu. – Wykrztuś to wreszcie z siebie! Chcesz mnie znowu przeczolgać, starszego brata? – Usiłuje żartować.

– Jakie lichy cię z tym zamkiem podkusiło, co? Nie wierzę, że chodzi tylko o jakąś pustą, głupią skrytkę. Nie dokończyłeś zresztą tej historii. Najlepszego nie powiedziałaś. Pływasz w mętnej wodzie, kolego. Kto ci niby to zlecił?

Klaus prostuje ścierpnięte już nogi, wstaje z fotela, podchodzi do okna i zapala papierosa.

– Naprawdę? – pyta Klara.

– Co, naprawdę? – nie rozumie Klaus.

– Musisz teraz palić?

Klaus nie odpowiada. Ciągłe jest duszno, więc odkleja koszulę od ciała i zaciąga się głęboko. Co ma jej, do cholery, powiedziec? Że tym razem nic nie ściemnia? Że nie o wszystkim musi jej mówić?

– Możesz wierzyć albo nie, ale na tę skrytkę z włamaniem miałem legalną umowę z zamkiem – mówi w końcu i unosi brwi, jakby chciał powiedziec: „No i co? Zatkano?”. – Nieformalną, rzecz jasna, ale nie ma w tym nic nielegalnego, do cholery! I nie bądź taka podejrzliwa. Myślisz, że to włamanie było jakąś wielką tajemnicą? Pomyśl sama. Każdy na dobrą sprawę mógł się tym zainteresować. A dzięki temu, że mnie w zamku dobrze znają, dali mi po prostu wgląd w archiwalne dokumenty. I to cała tajemnica. Zadowolona?

– A znaczki? To też na legalu? Jakoś o tym nie wspomniałeś. Klaus, wiem, że moim gadaniem nie zmienię cię nagle w praworządnego obywatela, ale... zwyczajnie martwię się o ciebie. Masz pojęcie, co by się stało, gdybyś, odpukać, trafił kiedyś za kratki? Złamałbyś mamie serce! Pomyślałeś o tym?

– Klara, powiedz, że się mylę. – Klaus zagląda nagle w jej oczy. – Powiedziałas o znaczkach Martinowi.

Klara ucieka spojrzeniem w bok i nie odpowiada. I Klaus już wie.

– Niech to szlag, siostra. Przecież cię prosiłem... Ja pierniczę!

– Przecież sam mówiłeś, że to nic takiego! Że to nie jest jakieś oszustwo tylko tropienie...

– Przeszłości, to chciałaś powiedzieć? To dlatego Martin mi tak dogadał... Jezu, wypaplałaś moją największą tajemnicę dopiero co poznanemu facetowi! Znaie się zaledwie pół roku, kurczę! No tak, ale on tu już mieszka, a ty za chwilę pewnie naprawdę będziesz w ciąży...

– Nie zmieniaj tematu. Nie moja wina, że go nie lubisz. I nie mam pojęcia dlaczego? Pytałam, czy pomyślałeś o mamie? Co by się...

– Cały czas o tym myślę – bąka pod nosem Klaus. Przecież już raz o mało tak się nie stało. Wtedy, kiedy buchnął Zofii portfel z pieniędzmi. Widzi to, jak dzisiaj, gdy mama Klary wchodzi nagle do jego pokoju...

...Mama Klary weszła nagle do jego pokoju. Do tej pory nie zdarzało się, żeby wcześniej nie pukała. Ale teraz jest rozdygotana. Klaus odłożył książkę, usiadł na niezasałanym łóżku i ze zdziwieniem zaczął się wpatrywać w przyjaciółkę mamy. Mieszkał wówczas u Zofii już dobrych kilka miesięcy.

– Coś się stało? – Zapytał, chociaż dobrze wiedział, o co chodzi.

Zofia podeszła do biurka, odsunęła krzesło i usiadła. Klaus zauważył, że ma zaczerwienione oczy. Znał ten widok – jego mama często tak miała, gdy długo płakała. Nie sądził, że ta kobieta, która tak wytrwale mu matkuje, aż tak będzie to wszystko przeżywać. Zrobiło mu się jej trochę żal.

– Nie natknąłeś się może gdzieś na taki szary portfel?

– Portfel? – powtórzył.

– Tak. Szary, nieduży z zamkiem błyskawicznym u góry.

Klaus udał, że się zastanawia. Oczywiście, że się natknął na ten cholerny portfel, w dodatku wypchany pieniędzmi. Nie tyle natknął, co go, kurde, wytropił w słoiku z cukrem. Co za beznadziejne miejsce na chowanie kasy, pomyślał wtedy.

– Nie widziałem takiego – odparł spokojnym głosem. Kłamstwo w takich sytuacjach miał już od dawna opanowanie do perfekcji. Już ojciec się o to postarał. – Przecież pani ma inny portfel, taki zielonkawy. Chyba. Ale tego drugiego, nie, nie widziałem go.

Zofia potarła twarz rękami.

– No tak, ale ten... ten był... no wiesz. Miałam tam oszczędności na terapię Klary. Ma się zacząć w przyszłym tygodniu i trzeba za nią zapłacić, a teraz... Mój Boże! Był w takim słoiku, w szafce na górnej półce. Niemożliwe, żebym go gdzieś przełożyła. – Zapatrzyła się, gdzieś przed siebie i na chwilę umilkła. – A może? – Z powrotem przeniosła wzrok na Klause. – Jeśli go jakimś cudem znajdziesz, daj znać. Klara cierpi na pewne zaburzenie i musi otrzymać pomoc.

– Oczywiście, pani Zofio. Jak tylko go zauważę... Ale co jest Klarce? To coś niebezpiecznego?

– Widzisz, ona ma pewne problemy ze swoją, jak by to ująć, „wrażliwością zdrowotną”. Wystarczy, że się skaleczy i myśli, że zaraz umrze. To może śmieszyć, ale dla niej to prawdziwa męka. Sam się zresztą pewnie przekonasz.

– No tak – burknął. Widział przecież nie raz, jak mała potrafiła się drzeć wniebogłosy, gdy Klaus przez przypadek nadepnął na jej stopę.

– No dobrze. Skoro nie widziałeś, to trudno. Jakby co, to daj znać.

Klaus kiwnął głową i odprowadził mamę Klary do drzwi, aż ta za nimi zniknęła. Dopiero wtedy poczuł się nieswojo. Rąbnął więc kasę na terapię!

Ogarnęła go panika, bo chociaż pieniądze dobrze ukrył i nie zdążył wydać z nich jeszcze ani złotówki, to sam portfel wyrzucił do kubła na śmieci. Kubeł zaś stał przy bramce wejściowej, bo nad ranem przyjedzie po niego śmieciarka. Musi teraz cholerstwo wydostać z kubła, zapakować w niego pieniądze i gdzieś, kurde, podrzucić. Inaczej, nawet jak wepchnie kasę w inne miejsce, matka Klary będzie wiedziała, że to on je „podebrał”. Głupia przecież nie była. Mało tego, Klaus czuł jakoś tak podskórną, że kobieta doskonale wiedziała, że to wszystko jest jego sprawka. Przecież znała go od dzieciaka.

– Kurwa, niech by to...! – rzucił do pustego pokoju.

Wtedy ta afera skończyła się szczęśliwie. Klaus znalazł portfel, włożył do niego pieniądze i wetknął go do słoja z solą. A później tak manewrował, że Zofia sama go tam znalazła. Nigdy o tym nie wspomniała, chociaż wiedział, że ona wie. Czasem lepiej było bawić się w kotka i myszkę.

Po tym wydarzeniu Klaus się zmienił. Jakby go oświeciło; na jakiś czas przestał zaglądać do cudzych piwnic, wyciągać portfele z torebek i kraść w sklepie „U pani Narogowej”. Sam do końca nie rozumiał, co się stało, lecz nagle czuł dziwne wyrzuty sumienia. Tak samo, jak teraz, kiedy tak patrzy na Klarę. Jak on cholernie nie lubi takich rozmów. Nic nie zmieniają, za to robią z człowieka jakąś szmatę, wpychają go w czarną dziurę.

– No i co z tego, że cały czas o tym myślisz? To ja mam ci to tłumaczyć?

– Nawet nie wiesz, jakie to wkurzające. – Klaus siada obok niej i tak jak kiedyś, próbuje ją objąć. Ale Klara odsuwa się, jest wyraźnie zła, po czym energicznie wstaje.

– Mam nadzieję, że wiesz co robisz – mówi, podchodząc do drzwi.

– Nie martw się, wiem. I w sumie nie rozumiem, czemu to tak drażysz, skoro już raz ci to tłumaczyłem, wtedy, przed rokiem.

– Bo czuję, że nie mówisz wszystkiego.

– No tak, taka kobieca intuicja, co nie?

– Nazywaj sobie to jak chcesz, ale wiem, że mam rację. I wiem, że nie jedziesz tam z mamą tylko po to, by jej sprawić przyjemność.

– Jezu, Klara! Musisz być taka podejrzliwa? Jadę tam, bo jej to dawno obiecałem, a przy okazji mam się spotkać z dyrektorem. Ma prawo wiedzieć, że w tej cholерnej skrytce gównó było. I powinien to usłyszeć osobiście ode mnie. I chcę wiedzieć, tak, chcę wiedzieć, czy znaczki naprawdę istnieją. I wkurza mnie, że się o nich wygadałaś.

– Wkurza, kurde, bo chcesz je dla siebie! I boisz się, że ci to nie wypali, jak się inni dowiedzą.

– Na razie chcę je po prostu odnaleźć, a co będzie później, zobaczymy – mówi Klaus i aż sam się dziwi, jak gładko mu te kłamstwa przechodzą przez usta. Inna sprawa, że wie, iż Klara takiej gadki i tak nie łyknie. I nie myli się.

– I kogo ty, bracie, chcesz oszukać? Samego siebie? Masz te cholerne znaczki w oczach, Klaus!

– A nawet jeśli, to co? W końcu to ja na nie trafiłem, poświęciłem czas na poszukiwania, więc teraz mam je po prostu podać zamkowi na tacy, czy jak? Oni mogli ten cholerny zamek już ze dwa razy od wojny przebadać wzdłuż i wszerz. To ich problem, że tego nie zrobili, nie mój. I nic, kurde, nie kradnę! Znalezione, nie kradzione.

– Tak, Klaus. Gadkę to ty miałeś zawsze znakomitą. I jak zwykle zrobisz po swojemu. Szkoda tylko, że nie myślisz o tych, którzy się o ciebie martwią.

Klaus nie wie, co ma na to odpowiedzieć. A może wie, ale nie chce już dalej ciągnąć tej dyskusji. Widzi, że Klara zbiera się do wyjścia z pokoju, więc ją jeszcze zatrzymuje.

– Słuchaj – mówi, zaglądając w jej twarz – z tobą i Marcinem wszystko gra?

Klara znowu ucieka wzrokiem w bok.

– No tak – odpowiada. – A co?

– No wiesz... w ogrodzie jakoś nie wyglądaliście na szczęśliwą parę.

– Nie męcz mnie, Klaus. Jestem już dorosła, zapomniałeś? Potrafię sobie radzić z problemami. Powinieneś raczej myśleć o sobie. Zobaczysz, że to wszystko źle się skończy.

Wychodzi z pokoju.

Klaus ciężko wzdycha i sięga po drugiego papierosa. Czyli nie jest szczęśliwa – myśli.

Przysiada z petem w ustach na parapecie niczym wyczerpany lotem gołąb pocztowy. Ogarniają go nagle wątpliwości. Wręcz czuje, jak go oplatają, podobne do oślizgłych macek ośmiornicy. Nie rozumie, skąd te myśli się wzięły i dlaczego właśnie teraz. Nigdy nie miał problemu z tym, w jaki sposób zarabia na życie. Więc o co chodzi, cholera? W dodatku teraz, kiedy i tak, bez względu na wszystko, postanowił skończyć z oszustwami? Przez tyle lat miał spokój...

Zrezygnowany nie dopala camela do końca i dusi go w popielniczce z taką siłą, że ta nagle ześlizguje się z parapetu.

– Kurwa! – warczy do niej, wstaje, idzie do toalety, a kiedy wraca, niespodziewanie w głowie pojawia mu się wspomnienie o dniu, kiedy o mały włos nie stracił życia. Uśmiecha się na tę myśl i zastanawia, czy warto rozdrapywać stare rany. Jednak wie, że skoro przypomniał sobie o tym, to już tak łatwo nie zapomni. Może stało się tak za sprawą pojawienia się jego ojca? Sądzi, że pewnie tak właśnie jest. Stary złodziej najwidoczniej do końca życia będzie mu kradł spokój.

Klęka więc przed fotelem, na którym chwilę wcześniej wysłuchiwał kazań Klary i zagląda pod niego. Parę centymetrów od brzegu siedziska, na zszarzałym od starości płótnie, widzi zszycie. Wygląda jak blizna. Wstaje, podchodzi do regału i szuka na półce czegoś ostrego. W końcu znajduje stary, zaśniedziały pilnik do paznokci. Wraca i wymacując od spodu ścieg, rozcina go. Sięga do fotelowych wnętrzności i wyciąga z nich cienki jak liść zeszyt. Widać na nim ząb czasu, ale wygląda na to, że jest w całości. Otwiera go, siada na łóżku i zaczyna czytać.

Już przy pierwszym zdaniu chce mu się śmiać. Ile miał wówczas lat, gdy to pisał? Liczy w pamięci i wychodzi mu, że trzynaście. Można śmiało powiedzieć, że był już wtedy licencjonowanym złodziejaszkiem. Wiedzie dalej wzrokiem po koślawo stawianych literach i widzi siebie samego podchodzącego do tego samego okna, przez które teraz sączy się zduszone upalnym dniem powietrze, i słyszy – jakby działa się to teraz, w tym momencie – dziki wrzask ojca...

...Usłyszał dziki wrzask ojca i odruchowo skulił się w sobie, chociaż – był o tym przekonany – nie miał się czego obawiać, bo drzwi do pokoju, w którym się schował, były zamknięte na klucz. No cóż... Mimo swojego wrodzonego albo nabytego po ojcu cwaniactwa nie przewidział jednego – że stary może się aż tak wkurwić. Drzwi, najwidoczniej kopnięte z impetem przez Ebelinga, wyleciały nagle z futryny, a on sam wparował do pokoju niczym rozjuszony buchaj.

W innych okolicznościach Klause taki widok ojca tylko by rozśmieszył. Ale teraz aż zadrzał. Ojciec często wpadał w gniew, ale żeby aż tak?

– Ty cholerny, kurewski pomioście! – wrzasnął tymczasem Ebeling. – To tak mi się odwdzięczasz? Żmijo, gadzie jeden!

Klaus tkwił w jednym miejscu, był sparaliżowany strachem. Wiedział, co się zaraz stanie. Ojciec złoi mu skórę jak nigdy dotąd. Przymknął więc tylko oczy i czekał na pierwsze uderzenie. Na ucieczkę było za późno. Ebelingowi z wściekłości aż ślina pociekła z ust i wąską stróżką sączyła się po brodzie; zwisała teraz na dobre pół metra, nie chcąc się najwidoczniej oderwać od ciała. Mężczyzna wziął potężny zamach. Kiedy w następnym momencie wyprowadził cios, celując w głowę Klause, ten odruchowo się uchylił. Pięść ojca przeleciała mu tuż koło brody, a stary, pchany impetem uderzenia, zachwiał się i runął na podłogę jak długi. Pechowo, bo uderzając przy tym tyłem czaszki w brzeg kamiennej donicy. I przestał się ruszać. Donicę też szlag trafił.

W pokoju zapanowała cisza. Klaus ciągle stał w tym samym miejscu, zszokowany. Patrzył na ojca i zastanawiał się, czy stary wykitował.

Taaa, myśli teraz Klaus, kończąc lekturę. Gdybyś wtedy umarł, mama nadal by żyła.

A wszystko przez wypracowanie, które miał wtedy zadane. O tym, jak widzi swoją rodzinę. Więc napisał prawdę. Że ojciec pije, znęca się nad mamą, przynosi do domu kradzione rzeczy i takie tam ciekawe historie. Specjalnie zostawił wtedy zeszyt w kuchni tak, aby stary go zobaczył i przeczytał, co o nim myśli. Chciał mu dokuczyć. Odkuć się. Później, sam nie wiedząc dlaczego, zaszył zeszyt w fotelu.

Zamyka go teraz i wpycha na powrót do starego mebla z myślą o tym, że tam jest miejsce notatnika. Uważa, że wszystkie złe rzeczy z przeszłości powinny być gdzieś zamknięte, jak nie w głowie, w jakiejś tajnej szufladce, to przynajmniej w starym fotelu. Skoro i tak nie da się o nich do końca zapomnieć.

2.

Dochodzi już godzina dwudziesta trzecia. Klaus dźwiga się z łóżka z pulsującym z tyłu czaszki bólem. Gdyby teraz poszedł do Klary i poprosił o jeszcze jedną tabletkę, usłyszałby, że ma raka mózgu. Najchętniej obróciłby się więc na drugi bok i przespał resztę nocy. Ale musi jeszcze o czymś porozmawiać z Zofią.

Schodzi więc do kuchni, mając nadzieję, że ją tam zastanie. O tej zazwyczaj porze starsza kobieta parzy sobie zioła. Klaus o tym nie zapomniął i nie myli się – już z daleka wyczuwa ich paskudny aromat i odruchowo się krzywi.

– Dalej popijasz to paskudztwo? – pyta, wchodząc do kuchni. – Przynajmniej na coś pomaga?

– A myślisz, że piłabym to, gdyby było inaczej? Mam po tym dobry sen. Też mógłbyś spróbować.

– Szkoda, że Ralph z książki, którą kiedyś czytałem, nie trafił na ciebie. Może wyleczyłby się z bezsenności i nie spotkał Długoterminowych.

– O czym ty znowu...?

– Nic, nic. – Chichocze i nagle radosny uśmiech znika z jego twarzy. Podchodzi do Zofii, która stoi wciąż przy kuchennym blacie, sprawdzając, czy zioła mają już w szklance odpowiedni kolor, i bardziej stwierdza, niż pyta:

– Wiesz, że go dzisiaj spotkałem. Wygląda jak gąbka kuchenna po miesiącu używania.

Zofia odwraca się i spogląda mu głęboko w oczy. Nie rozbawiło jej to porównanie.

– Gniewasz się, że mu powiedziałam?

Klaus kręci głową, zaprzeczając. Jakże mógłby się gniewać na tego anioła w ludzkiej skórze.

Zofia tymczasem kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Przychodził tu przez miesiąc – wyjaśnia – niemal dzień w dzień. Stał bez słowa przy płocie. I nic nie mówił. Wiedział, że go widzę z okna, a mimo to nie próbował nawet machnąć ręką. Stał tylko i wpatrywał się w okno jak zahipnotyzowany.

– Chociaż trzeźwy? – Klaus nie może sobie odmówić odrobiny kpiny.

– No cóż... Będzie już chyba z pięć lat, jak nie pije. Wiem, bo chodził z mężem mojej znajomej na te, wiesz, ich spotkania anonimowych alkoholików. Chyba się zmienił... tak myślę. Nawet tacy jak on potrafią na starość zmadrzeć.

No proszę, jaki porządny tatuś i obywatel, drwiąco myśli Klaus. Jak to jest, że ludzie zawsze się nad takimi litują? Tacy mogą przez większość życia szkodzić innym, a wystarczy, że nagle się ukorzą, zrobią z siebie łagodne baranki, spokornieją i proszę. Do rany ich przyłoż. Jeszcze trochę i usłyszysz, że stary, to teraz chodząca świętość...

– Nie łudź się. – Klaus sięga do garnka z bigosem, uchyla pokrywkę i zachwycony pociąga nosem. – Że też ci się chciało... – mruczy.

– Klaus, nie zmieniaj tematu, skoro sam go zacząłeś. W końcu mu powiedziałam, kiedy przyjeżdżasz, bo po to tu sterczał przez ten cały czas i zwyczajnie zrobiło mi się go żal. Zaczęłam się obawiać, że wrośnie w końcu w chodnik... On chce ci coś ważnego wyznać.

– Wiem. – Klaus zostawia wreszcie bigos w spokoju i siada na twardym krześle przy stoliku. – Tyle że nie jestem tego ciekaw. Gównu mnie to, za przeproszeniem, obchodzi, prawdę mówiąc. Kazałem mu się tu więcej nie pokazywać.

– Jezu, dziecko! – Zofia dosiada się do stołu. – Nie możesz do końca życia hodować w sobie złości! Przecież nikt nie mówi, że masz go nagle pokochać!

Klaus opiera się na łokciach i przybliża nieco twarz do Zofii. Kocha ją jak prawdziwą matkę, ale nieraz irytuje go tą swoją dobrocią do całego świata.

– Czy ty myślisz, że ja sobie naprawdę coś hoduję?! – mówi. – Nie muszę! Ona tkwi mi tu. – Stuka się dłonią w skroń. – Tkwi tu od dwudziestu pięciu lat, jak jakiś zwinięty w kulę, cholerny, kolczasty drut! I przypomina, dlaczego zginęła mama. I jakim on był ojcem! Co ze mnie zrobił! Tego się nie da tak po prostu wymazać z pamięci. Tak trudno to zrozumieć?

– Klaus, twój ojciec spowodował ten wypadek...

– Bo był cały roztrzęsiony po tym, jak od tygodnia nie pił. Wiem. I co to, do cholery, zmienia? Że mam mu wszystko teraz wybaczyć? A to, jaki był wcześniej? I później? Zapomniałaś, jakie urządzał nam tu awantury, jak musiałaś się z nim sądzić o mnie? Ile przepłakałaś dni? Przecież nie musiałaś!

Zofia nic na to nie odpowiada. Kiwa jedynie ze smutkiem głową, sięga po kubek z naparem i delikatnie, żeby nie sparzyć ust, upija z niego małymi łydkami.

– On umiera – mówi po chwili. – Zostało mu może pół roku, może mniej. Mimo wszystko powinieneś go jednak wysłuchać. Tak dla własnego spokoju, żebyś nie musiał kiedyś pluć sobie w brodę, że tego nie zrobiłeś. Kto wie, może to, co chce ci powiedzieć, jest naprawdę ważne. Zastanów się dobrze, zanim ostatecznie go skreślisz. Tak czy inaczej, to twoja krew.

Moja krew – powtarza w myślach Klaus. – Powinienem sobie ją dawno już, kurwa, przetoczyć.

Zrezygnowany i nagle zupełnie spokojny, ciężko wzdycha:

– Nie wiem. Może i masz rację, pewnie tak. Ale teraz i tak bym nie mógł. Nic na to nie poradzę. Po prostu wiem, że nic by z tego nie wyszło, rozumiesz? – Rzuca Zofii zmęczone spojrzenie. – I mam na głowie inne sprawy, równie ważne. Może porozmawiam z nim za jakiś czas, kiedy oswoję się z myślą, że ten człowiek znowu pojawił się w moim życiu. Od małego dzieciaka wciąż mi tylko powtarzał, że można kraść, bo świat i tak nie jest sprawiedliwy. No to teraz sam się, kurde, przekonuje, że tak właśnie jest. Chce mi coś powiedzieć, to musi skraść mi czas. Niech próbuje.

Mówi to już jakby sam do siebie, wpatrzony w kuchenny kredens. Wreszcie wstaje od stołu i beznamiętnie oświadcza, że idzie już spać. Jak na jeden dzień zaznał i tak sporo atrakcji. Wychodząc już z kuchni, przystaje jeszcze na moment i, spoglądając na Zofię, zapewnia kobietę, że się na nią za nic nie gniewa.

– Śpij dobrze, dobranoc – odpowiada Zofia. – I tak zrobisz po swojemu.

– Dobranoc.

Jasne, że robi po swojemu. Zawsze tak robi i jak na razie źle na tym nie wychodzi.

3.

Wraca do swojego pokoju, po drodze mijając drzwi do części domu, którą zajmuje Klara z Martinem. Wydaje mu się, że słyszy podniesione głosy. Przez moment

w głowie świta mu myśl, by przystanąć i spróbować podsłuchać, o co się kłóć. Bo raczej się kłóć, uważa, a nie ćwierkają sobie w uszka miłosne słówka.

Nie robi tego. Nie jest przecież szpiegiem z Krainy Deszczowców, a Klara wyraźnie dała mu do zrozumienia, że potrafi radzić sobie z problemami sama. No, może z wyjątkiem obsesji, z powodu której wciąż cierpi.

Klaus w pokoju rozpakowuje wreszcie walizkę, wyciąga też z kąta wentylator i włącza go, ustawiając na pełną moc. Później siada na brzegu łóżka i delektuje się chłodnym powiewem. Spędza tak kilka bezmyślnych minut, po czym postanawia zejść jeszcze do kuchni i zaopatrzyć się w butelkę wody mineralnej – przy tej duchocie w nocy będzie mu się chciało na pewno pić.

W kuchni czeka na niego niespodzianka w postaci Martina maltretującego własny żołądek wyżerany wprost z garnka bigosem. Klaus chwilę się temu przygląda z uśmiechem, po czym chrząka, a Martin odskakuje jak oparzony.

– Rany, Klaus! Wystraszyłeś mnie.

Klaus się śmieje.

– A co? Masz coś na sumieniu?

– No wiesz... – Martin odwzajemnia uśmiech – w końcu kradłem bigos, nie? Ale nie mogłem się oprzeć.

– Jedz, mnie to nie przeszkadza, przyszedłem tylko po wodę.

– Słuchaj... – Martin zatrzymuje go w kuchni – wiem, że ty... wiesz, że ja wiem o znaczkach. Klara mi to przed chwilą powiedziała.

Klaus, z butelką w ręce, przysiada na krześle.

– No i?

– No nic, po prostu ci to mówię. Ale skoro już o tym mowa, to te całe znaczki naprawdę istnieją? Może to taka sama ściema jak z tą pustą skrytką, co?

Klaus przez chwilę wpatruje się w oszronioną butelkę i zastanawia się, co powinien powiedzieć. Bo coś musi. Wie, że najrozsądniej byłoby zbyć go jakąś bajeczką, ale wie też, że jeśli Klara przedstawiła mu historię ze znaczkami w taki sposób, jak on jej to przekazał, to wzbudzi w chłopaku tylko jeszcze większe zainteresowanie. A to nie jest mu potrzebne.

– Nie sądzę – mówi wreszcie zgodnie z prawdą. – Bibliotekarka dokładnie je opisała.

– Rany! I ty wiesz, gdzie one są! I dlatego ten wypad do zamku... Ja cię kręcę!

Klaus wstaje, zabiera butelkę z wodą i dodaje:

– Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że lepiej o tym nie rozpowiadać, co? Już i tak za dużo osób o tym wie.

– Jasne! Klaus, no co ty? Nie jestem paplą!

Może tak, a może nie, myśli Klaus. Klara też miała nie być paplą, i co?

Żegna się z mądralą, mając nadzieję, że jutro zostaną w garnku chociaż marne resztki bigosu.

4.

Trwający od trzech tygodni upał sprawił, że w kolejnych regionach kraju wprowadzane są zakazy wstępu do lasów. Ściółka, jak mówią leśnicy, jest już tak wysuszona, że może dochodzić do samozapłonów. Najgorsza sytuacja panuje na zachodzie kraju, gdzie temperatury w cieniu przekraczają każdego dnia trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Ci z was, którzy pragną wreszcie trochę chłodu i deszczu, będą zawiedzeni. Afrykański żar, według synoptyków, męczyć ma nas jeszcze blisko dwa tygodnie. Później, jeśli wierzyć meteorologom, czeka nas prawdziwe pogodowe szaleństwo – chłodniejsze masy powietrza przy zderzeniu z obecnie zalegającymi nad Polską, sprawią, że przez kraj przetoczą się burze połączone z wichurami i ulewami.

Klaus po wysłuchaniu prognozy pogody ścisza radio. Jest zawiedziony, bo przynajmniej od tygodnia ma nadzieję, że to atmosferyczne szaleństwo wreszcie się skończy. Lubi ciepło, ale nie upał. Taki żar może człowiekowi pomieszać w głowie, myśli. A noce zamienić w koszmar. Dzisiejszy ranek był podobny. Pierwsze odczucie po pobudce to złane potem ciało i sponiewierany ciężkimi jak ołów snami umysł. Musiał się z nich długo otrzepywać.

Teraz, na dwie godziny przed nadejściem południa, Klaus czuje się już nieco lepiej. Za jakiś kwadrans dotrze do swojego domu na przedmieściach, gdzie spędził trochę czasu z Lizą. Zanim oczywiście wzajemnie nie zniszczyli tego, co ich łączyło. Pożerali to uczucie po kawałku jak świąteczny tort, aż nie został nawet jeden marny okruszek...

Dzisiaj Klaus wie, że gdyby wtedy nie dał się ponieść uczuciu, temu pierwszemu wrażeniu, nie byłoby później tego całego cyrku z małżeństwem, a później rozwodem. No i tym, co jest dzisiaj. Miłość jest jednak ślepa i nie jest to tylko czcze gadanie, myśli teraz. Wtedy otrzeźwienie przyszło nagle, wręcz niespodziewanie, jakby ktoś zdarł mu zasłonę z oczu.

Klaus widzi siebie samego, jak siedzi w tamtym sądnym dniu, nachylony nad laptopem i sprawdza połączenia lotnicze do Hamburga, gdzie ma się pilnie spotkać z Mecenaselem...

...Miał się spotkać z Mecenaselem. Był skupiony nad stroną i rozdrażniony, bo nie mógł się w tych wszystkich ofertach połąpać. Nie interesowały go żadne zniżki, bonusy i tym podobne bzdury. Chciał prostej informacji o najbliższym locie, a ciągle wyskakiwały mu jakieś dodatkowe okienka. Wtedy właśnie do pokoju weszła Liza. Nawet nie zapytała, co robi, czy może na chwilę przerwać, czy aby nie przeszkadza, tylko usiadła naprzeciwko z miną, jakby miała zaraz eksplodować ze szczęścia. Odsunąwszy mu sprzed nosa laptop, położyła na jego miejscu jakiś zeszyt. Gdyby

nie czoło, brwi Klausa powędrowałyby chyba na czubek głowy – patrzył na zeszyt z twardą okładką oprawioną w skórę z wygrawerowanym złotą czcionką napisem: „Nasze życie”. Pierwsza myśl – Liza pisze pamiętnik! Druga – kompletnie jej odwalilo.

– Opisujesz to, co robimy?! Liza, na litość bos...

– Głuptasie! Otwórz i przeczytaj – przerwała mu, wierząc się, najwidoczniej z niecierpliwości.

Klaus otworzył zeszyt na pierwszej stronie i mało brakowało, a zjechałby pod stół. Do tej pory myślał, że po obsesyjnych obawach Klary o swoje życie i zdrowie nic już nie jest w stanie go zaskoczyć. Tymczasem... Przeczytał tytuł na głos, przeciągając z wrażenia każdy wyraz:

– „Liza i Klaus Ebelingowie. Plan na życie”.

Spojrzał na swoją żonę, powrócił wzrokiem na tytuł, znowu na nią spojrzał. Wyglądała normalnie, nie licząc niezdrowych rumieńców na twarzy. Jeszcze raz przeleciał tytuł wzrokiem. Ożeż kurwa! – pomyślał. Ona to naprawdę... O locie do Hamburga zupełnie zapomniał. Kurwa – pomyślał – to nie może być prawda!

– Nie rób takiej głupiej miny, tylko przeczytaj! – ofuknęła go w końcu. – Masz pojęcie, ile mnie to pracy kosztowało?

Klaus nie miał pojęcia i nagle nie chciał go mieć. Nie miał zamiaru czytać, co Liza mu zaplanowała, ale z czystej ciekawości przeleciał pierwszych parę kartek wzrokiem. Przyszło mu do głowy, że może jeszcze śpi, a to, co ma przed sobą, to tylko jakiś nad wyraz realny sen. Ale nie – Liza naprawdę siedziała przed nim, wierciła się, wbijała w niego wzrok i najwyraźniej czekała, aż on rzuci się jej z wdzięcznością na szyję i obsypie pocałunkami za to, że wybrała już imiona dla trójki ich dzieci, zaplanowała dokładnie w jakich miesiącach mają się urodzić, do jakich szkół – oczywiście tych najdroższych i prestiżowych – mają chodzić, jakie talenty w nich najlepiej będzie rozwijać – rzecz jasna te, które zapewnią jak najwięcej kasy w przyszłości – gdzie i kiedy powinni kupić dom na chorwackim wybrzeżu... Brakowało tylko daty zaplanowanego zgonu samego Klausa.

– Widzę, że trochę cię zaskoczyłam. – Teraz Liza wydawała się być zdziwiona.

– No wiesz... nie ukrywam...

– To właśnie jesteś cały ty, Klaus! Żyjesz tylko teraźniejszością. Zamiast podziękować, bo nie było to łatwe, ty zaczynasz wybrzydzać. Sam przecież, do cholery, planujesz w szczegółach swoje akcje, co nie?

– Liza, miej litość. Jest chyba różnica między planowaniem kilku dni do przodu, czy nawet tygodni, a planowaniem tego, co będzie za dwadzieścia, kurwa, lat! A co jak postawiłaś wśród tych sześćdziesięciu chyba punktów n a s z e g o życia przecinek w złym miejscu?! Albo o jakimś punkcie w ogóle zapomniałaś? Nasze życie przewróci się do góry nogami? Pogubimy się jak dzieci we mgle? I gdzie, do cholery, ja w tym wszystkim jestem? Mam coś w ogóle do powiedzenia?

Liza zrobiła się purpurowa. Zgarnęła swój plan na życie ze stołu, prawie zrzucając jego laptop na podłogę, zatrzasnęła zeszyt i stojąc już nad Klausem, syknęła:

– Zazwyczaj nie jesteś tak rozmowny. Dłub sobie dalej w tym głupim laptopie!

I wyszła.

Klaus potarł skronie. W co ja się wpakowałem? – pomyślał. Nagle zobaczył Lizę w zupełnie innym świetle. Dotarło do niego, że jednak nie są ulepieni z tej samej gliny. Bo gdyby tak było, Liza nie wstydziłaby się jeździć jego dwudziestoletnim mercedesem i nie męczyła go ciągłym narzekaniem, że „przecież stać cię na coś wystrzałowego!”. Nie wierciłaby mu dziury w brzuchu o kupno jachtu, bo „ten twój Mecenasik może mieć, a ty nie?” Musiał to przerwać, póki jeszcze nie było za późno.

Wtedy Klaus był zdruzgotany. Dzisiaj dziękuje opatrności za zeszyt z planem na życie. Bez tego być może miałyby już do rąk przyćepione sznurki, a nad sobą wielką dłoń Lizy sterującą jego każdym krokiem. Nie żałuje więc rozwodu ani tego, że za zgodę na niego stracił niemal połowę swoich uciulanych pieniędzy. A ona ciągle coś dokłada.

Tymczasem dociera na miejsce.

Chce rzucić okiem na budynek – zanim zadzwoni do agenta nieruchomości, aby potwierdzić to, co wcześniej mu zlecił – przepisanie domu na rzecz Klary. Klaus wie, że siostra nie przeprowadzi się do drugiego domu, bo nie będzie chciała zostawić mamy samej. Ale może dom wynająć. W ten sposób zapewni sobie z Martinem dodatkowe fundusze (cholera, sam ją pcha do tego małżeństwa!). A kiedy na świat przyjdzie ich dziecko, bo chyba kiedyś przyjdzie, przyda im się więcej pieniędzy. Czy Klaus robi to naprawdę z miłości do siostry, czy może w ten sposób chce zapewnić sobie spokój sumienia? On sam tego nie wie i nie chce się nad tym zastanawiać. Klara z pewnością tak właśnie pomyśli – złodziej, który chce być szlachetny. Klaus pogodził się już z tym, kim jest w oczach Klary i nie zamierza się tym aż tak przejmować. A domu i tak by się pozbył. Nie dlatego, że nie jest sentymentalny. Prawdę powiedziawszy, nigdy mu się za bardzo nie podobał.

5.

Brama wjazdowa na posesję jest otwarta. Cała Liza, myśli Klaus. Nigdy niczego nie kończy, chyba że chodzi o sfałszowanie jakichś papierów. W tym potrafi być doskonała. Reszta to dla niej jakiś niepotrzebny dodatek do życia.

Nie chodzi o to, że Klaus jest jakimś wyjątkowym pedantem, który składa bieliznę. Ale lubi mieć pewność, że jak położy coś w jednym miejscu, to później znajdzie to w tym samym, bez przewracania całego domu do góry nogami. Ta cecha charakteru

parę razy uratowała mu już tyłek. W końcu kiwanie cwaniaków w białych kołnierzykach to nie bułka z masłem. Tam, gdzie ludzie tracili setki tysięcy euro, a nieraz jeszcze więcej, litości nie ma. Jeden błąd i człowiek może pożegnać się z tym światem – bye, bye! Było fajnie, ale to koniec. A Klaus miał plany na przyszłość.

Wjeżdża teraz na mały placyk i ustawia samochód przed garażem. Na szczęście zamkniętym. Wysiada i najpierw robi obchód dookoła domu. Wygląda na to, że wszystko jest tak, jak należy. Żaden menel nie zakwaterował się w krzakach ani ogrodowej altanie. Żał mu tylko kwiatów, które zwiędły, i trawy – niepodlewana wyschła na wiór i teraz przypomina stary, zniszczony siennik.

Po tej krótkiej lustracji Klaus wchodzi do domu. Po kilku krokach, w salonie, przystaje zdumiony. Widzi, że wszystkie meble są na miejscu. A przynajmniej połowy powinno już nie być. Po to ta jęcza wydzwaniała do niego przez ostatni tydzień – chciała połowę rzeczy zabrać. Był zresztą święcie przekonany, że ona zabierze wszystko, łącznie z dziurą po kiblu. Więc co? Rozmyśliła się?

Klaus chwyta telefon. Tym razem nie ma ochoty na użeranie się z WhatsAppem, dzwoni do Lizy – musi to raz na zawsze wyjaśnić. Nie lubi, gdy mu coś zalega z tyłu głowy. A tę sprawę przede wszystkim chciałby już wykreślić z listy rzeczy do zrobienia.

Stoi z telefonem przy uchu i czeka, aż Liza łaskawie odbierze. Jeden sygnał, drugi, trzeci. W końcu ją słyszy.

– No nie! Dzwonisz do mnie! Chcesz mi powiedzieć, że tak się stęskniłeś?

– Cześć, Liza. Nie zabrałaś mebli, a wydawało mi się, że ostatnim razem zrobiłaś mi o to właśnie awanturę.

– Zaraz awanturę... Pogadaliśmy tylko jak para dobrych przyjaciół, co nie? A meble możesz sobie zostawić. Zmieniłam zdanie, kotku.

– Nie nazywaj mnie tak, wiesz, że tego nie lubię.

– Już dobrze, nie złość się. Po prostu wpadłam na inny pomysł. Może za jakąś dopłatą sprzedasz mi tę chawirkę, co? W sumie nie było mi w niej tak źle. Co ty na to?

Miał ochotę powiedzieć, żeby się pocałowała. Że nie obchodzi go, czy było jej dobrze, czy źle. Mieli jakąś umowę i on dotrzymał słowa. A ona zaczyna świrować. I to mu się wcale nie podoba. Spokojnie skłamię:

– Nic z tego, Liza. Dom jest już sprzedany. Więc jak chcesz te meble, to musisz je zabrać stąd jak najszybciej. Nowi właściciele mogą je na przykład spalić...

– Zwariowałeś? To antyki!

– No wiesz... A co mnie to może obchodzić? To jak będzie?

– Sama je spalę!

Koniec połączenia.

Przez chwilę Klaus zastanawia się, co w tej sytuacji zrobić. Podchodzi do sofy i przysiadła na oparciu. Później pisze do Lizy:

„Podaj mi adres, to zorganizuję przewóz mebli. Ale zrób to szybko, bo szkoda byłoby tych antyków. No i spalenie nie wchodzi w rachubę, bo dym z tego, to same toksyny...”.

Na odpowiedź nie musi długo czekać. Krótkie piknięcie i na wyświetlaczu smartfona pojawia się wiadomość:

„Dupek”.

Kilkanaście sekund później przychodzi od Lizy adres i lokalizacja. Klaus uśmiecha się do siebie i w ciągu kilku minut załatwia usługę firmy przewozowej, ustala datę i opłatę za przewóz mebli. Wysyła informację do Lizy.

Sprawa załatwiona. Teraz może spokojnie dzwonić do agenta od nieruchomości.

6.

Dwie godziny później Klaus obserwuje w parku młodego człowieka – ma on na sobie czarny podkoszulek z napisem „Mam cię na oku” i krótkie spodenki. Chłopak siedzi samotnie na ławce w cieniu, jaki daje wielki dąb, i czyta książkę. Klaus uważa to za dobry omen. To tak jak ludzie widzący przebiegającego przez drogę czarnego kota, którzy uważają, że będą mieli pecha, tylko że na odwrót. Człowiek z nosem w książce, nie w smartfonie, w dodatku młodzieniec, to już prawdziwa rzadkość w tych czasach, myśli Klaus. Zastanawia się, czy podejść i zapytać o tytuł książki.

Może by to zrobił, gdyby nie to, że kątem oka zauważa jakiś ruch i przenosi w jego kierunku swoje zainteresowanie. Teraz przygląda się młodej mamie. Kobieta spaceruje w parku, pchając przed sobą wózek, w drugiej ręce trzyma smycz, na końcu której hasa niczym zajęca mały pies. W tej samej ręce trzyma jeszcze telefon i idąc, wpatruje się w niego. Klaus nie widzi tej sceny dokładnie, bo kobieta jest oddalona od niego o jakieś sto metrów, ale wydaje mu się, że zupełnie nie patrzy, gdzie lezie. Nagle pies skacze w kierunku małego stadka gołębi dziobiących coś w wysuszonej trawie. Szarpie smycz, a z ręki kobiety wypada telefon. Schyla się po niego, krzyczy coś do psa, ale jednocześnie puszcza wózek. Alejka musi być nieco pochyła, bo wózek powoli odjeżdża. Klaus w jednej ręce trzyma kubek z kawą, w drugiej połowę paczka, bo resztę ma akurat w ustach. Nie może więc krzyknąć ani pobiec, bo i tak jest zbyt daleko i nie zdążyłby tam dotrzeć na czas. Stoi więc i gapi się na to, co może się za chwilę stać – wózek najedzie przednimi kołami na krawężnik i przewróci się. I rzeczywiście najedzie na łuku na krawężnik, ale szczęśliwie zatrzymuje się w miejscu. Klaus kręci z niedowierzaniem głową i myśli, że kobieta miała sporo szczęścia.

Klaus odwraca się i mały włos unika zderzenia się z jakimś przyszczatym młodzieńcem, który tak jak on obserwował całą scenę. Nie wie tego, bo nie może,

ale już niedługo spotka go raz jeszcze. Tyle że okoliczności będą mało przyjemne.

Tymczasem mówi przepraszam, wyrzuca pusty kubek do pobliskiego kosza i idzie w kierunku wyjścia z parku, skąd do dawnego domu jest raptem z dziesięć minut spacerkiem. Wpadł tu tylko na tę kawę i pączka. Tak samo, jak kiedyś, gdy mieszkał jeszcze z Liżą. Ale dzisiaj pączek już mu tak nie smakował.

7.

Po drodze do domu przygląda się otoczeniu. Nie było go w tym parku prawie od roku, ale i tak nie dostrzega, żeby cokolwiek się zmieniło. Tuż za ogrodzeniem dalej stoi stara rudera z pokruszonym gzymsem. Na elewacji widać tyle napisów wykonanych sprayem, że trudno już odczytać chociażby jedno hasło. Kiedy Klaus mieszkał tu jeszcze z Liżą, opuszczony budynek dwa razy strawił pożar. Ilekroć go wówczas mijał, spoglądał na ślady po ogniu – czarne smugi nad pustymi oknami. Przypominały mu nastroszone brwi jego ojca, kiedy ten wściekał się na niego.

Mija rudere, dochodzi do skrzyżowania i skręca w drogę prowadzącą do dawnego domu. W miarę jak się do niego zbliża, krajobraz robi się nieco bardziej przyjazny dla oka. Mniej śmieci na ulicy, chodnik nie ma już dziur, a za ogrodzeniami domów widać porządek.

Klaus idzie wolnym krokiem, zbliżając się do jakiejś przygarbionej staruszki. Kobieta dźwiga w obu dłoniach wypchane czymś reklamówki. Kiedy ją mija, proponuje pomoc. Nie zna jej, ale co to ma do rzeczy?

– Oj, bardzo mu dziękuję – odpowiada kobieta, przystając. Siatki kładzie na chodniku i ociera twarz z potu. – Przez ten upał czuję się, jakbym miała sto lat – śmieje się.

Klaus dałby jej i bez upału niewiele mniej, ale nic nie mówi, tylko schyla się po reklamówki. Ma wrażenie, że każda z nich waży przynajmniej z dziesięć kilogramów i nie może się nadziwić, jak ta kobieta doszła z nimi aż tutaj. Najbliższy sklep jest przecież blisko kilometr dalej.

– Trochę za gorąco na takie zakupy – mówi.

– Ach... Za młodu nie takie ciężary dźwigałam. No ale fakt, że na Syberii takich upałów nie było. Za to mróz, że oczy zamarzały. Całe życie jest ciężkie.

Klaus już ma dodać, że nie tylko ciężkie, ale i niesprawiedliwe, ale gryzie się w język. Chyba już do śmierci nie pozbędzie się z głowy cholernej maksy jego ojca. Nad losem kobiety się lituje, ale milczy na ten temat. Najdalej na północ był w Norwegii. I wcale nie było tak źle.

Przeszli jakieś sto metrów i staruszka staje przy bramce wejściowej do domu. Klaus usiłuje sobie skojarzyć, kto tu mieszka, ale nic mu do głowy nie przychodzi. Z Liżą znali tu tylko jedną rodzinę, tę samą, u której Klaus ostatnio zostawił klucz dla byłej żony.

– Wejdzie ze mną – słyszy tymczasem i zachciewa mu się śmiać z formy, w jakiej staruszka zwraca się do niego. – Nikogo nie ma, bo córka z dziećmi pojechały nad rzekę. Ale za parę dni mają mnie zabrać na wycieczkę w góry. Już się nie mogę doczekać.

Klaus idzie więc za kobietą i myśli, że spacer po górach dla tej kobiety w taki upał może się źle skończyć. Czekając aż staruszka otworzy drzwi i wchodzi za nią do środka.

– Niech położy to tutaj. – Kobieta wskazuje brodą długą ladę stołową w kuchni, a Klausowi przychodzi do głowy, że starsi ludzie są jednak zbyt otwarci na obcych. Mógłby przecież ją okraść, zabić, cokolwiek. Przestaje się dziwić, że co chwilę media informują o kolejnych kradzieżach pieniędzy metodą „na wnuczka”. Mówi więc, że to trochę niebezpiecznie wpuszczać tak do domu obcych.

– Aj, tam, aj tam... W kącie siedzi strażnik.

Zaskoczony Klaus spogląda w róg kuchni, w miejsce za stołem. I czuje, jak skóra mu cierpieje na karku. I na tyłku zresztą też. Widzi wielkiego jak koń psa i wierzyć mu się nie chce, że nie ma omamów. Bydło siedzi cichutko i wodzi za nim wzrokiem. Teraz Klaus boi się już nawet mrugnąć. Diabli wiedzą, myśli, co takiemu strzelić może do tego psiego łba.

– Niech się nie boi – uspokaja go tymczasem staruszka. Jej dobrotliwy uśmiech na twarzy mówi Klausowi, że chyba nie kłamie. – Piksel dobrych ludzi nie kąsa – rechocze.

Klaus jakoś w to nie wierzy. Wzdycha i czym prędzej mówi, że pora już na niego. Nie uważa się przecież za dobrego człowieka. Życzy kobiecie wszystkiego dobrego i wychodzi z powrotem na ulicę z duszą na ramieniu i nieodpartym wrażeniem, że lada moment pies skoczy mu jednak na plecy.

Pięć minut później dociera do swojego domu i rzuca się na kanapę. Musi ochłoniąć.

Rozdział 4

1.

Popołudnie tego samego dnia Klaus przeznacza na spotkanie. Jest ono dla niego tak samo ważne, jak sprawa ze znaczkami, chociaż tym razem nie chodzi o pieniądze. Ma się spotkać z Sashą. To Ukrainka, którą poznał niedługo po tym, jak rozstał się z Lizą. Zobaczył ją dwa dni po tym, jak wybuchła wojna w Ukrainie. Pchnięty wówczas tymi samymi emocjami, co setki tysięcy jego rodaków, wynajął busa i pojechał na granicę polsko-ukraińską. Miał przecież duży, pusty już dom i postanowił przyjąć do niego grupę uchodźców. Chciał wtedy naprawdę zrobić coś dobrego dla świata. I właśnie tam, na przejściu granicznym, wśród tłumu wymęczonych uchodźców, zobaczył Sashę. Niewysoka, drobna ruda kobieta z milionem piegów na nosie i policzkach bardziej przypominała Irlandkę. Do teraz nie wie, jak to było możliwe – zwłaszcza po tym, czego doświadczył z Lizą – ale pieguska z miejsca wdarła mu się w serce. Może to przez te piegi, może przez wielki kolorowy pompon na jej wełnianej czapce, a może dlatego, że tak po prostu miało być.

Sasha okazała się kobietą niezwykłą – tak przynajmniej odebrał ją wówczas Klaus. Dziewczyna uciekła z grupą sąsiadów z Kijowa, gdzie prowadziła znany w stolicy salon wizażu. Była na tyle popularna, że na zabiegi przyjeżdżały do niej żony bogatych przedsiębiorców z całej Ukrainy, a nawet Rosji. Ale wtedy, w lutym, wszystko przepadło.

Trzy miesiące później przepadła też Sasha. Pod koniec maja, zamiast niej, Klaus w pokoju zobaczył kartkę na stoliku, a na niej dwa napisane czerwonym flamastrem zdania:

„Nie szukaj mnie. PS Kocham cię!!!”.

Obok kartki leżała koperta, a w niej pieniądze. Klaus domyślił się, że w ten sposób Sasha zwracała koszty jej trzymiesięcznego utrzymania. Pieniądze rozdał jej znajomym, którzy wtedy wciąż jeszcze mieszkali w jego domu, wymyślając na poczekaniu, że to dodatkowa kwota, jaką udało mu się zdobyć dla nich z gminy.

Kartkę spalił.

Czuł się jak idiota.

2.

Teraz czuje się podobnie, dojeżdżając do małej kafejki na jednej z uliczek odchodzących od głównego rynku w mieście. Sam nie może siebie zrozumieć –

wystarczył jeden telefon Sashy z propozycją spotkania, a on pędzi na nie jak pies z wywalonym językiem. Jakby cały czas podświadomie wiedział, że ona kiedyś jednak zadzwoni.

Klaus jest na siebie zły. Powinien jej miesiąc temu, kiedy zadzwoniła, powiedzieć: „Sasha? Nie znam żadnej Sashy”, a następnie się rozłączyć. Ma teraz idiotyczne wrażenie, że jest dwóch Klausów: jeden racjonalny i słusznie się złościący, i drugi głupi i naiwny, wciąż zakochany w dziewczynie, która lubi znikać jak sen w chwilę po przebudzeniu. Tak czy siak – na odwrót jest już za późno.

Zostawia samochód kilka przecznic przed rynkiem, bo cała strefa wokół niego, w tym kafejka, do której zmierza, wyłączona jest z ruchu komunikacyjnego. Od kiedy jakiś dureń z rady miasta wydał przed laty zgodę na budowę galerii handlowej w centrum, rynek i okoliczne uliczki wyszło z ludzi. Teraz całe miejskie życie toczy się właśnie w galerii.

Wchodzi na rynek i od razu ma wrażenie, że drepcze po rozgrzanej patelni. Kiedyś były tu drzewa, w ich cieniu stały ławki, a wokół rosła trawa. Teraz zastąpiły ją wielkie kamienne płyty, na których ustawiono równie wielkie donice z krzakami.

Jego irytacja przybiera na sile.

Jeśli jeszcze teraz zza rogu wyskoczy jakiś pijaczek z prośbą o szluga albo dołożenie grosza na zimny browarek, to bez dwóch zdań zdmuchnie go z powierzchni ziemi samym wrzaskiem.

Klaus wchodzi wreszcie w wąską, zacienioną uliczkę, która z każdym krokiem ostudza jego emocje.

Dociera do kafejki. Właśnie w niej parę razy spędzał mile czas z Sashą. Czy teraz też tak będzie? Klaus w to wątpi. Chyba że Sasha ma jakąś dobrą bajeczkę na wytłumaczenie swojego zniknięcia. Jeśli będzie odpowiednia, gotów jest w nią uwierzyć. Bo w głębi duszy chciałby.

Sashę tymczasem dostrzega w ogródku po drugiej stronie kamienicy. Serce bije mu trochę szybciej, ale chce wierzyć, że to na skutek marszu w tym cholernym ukropie. Ale wie, że powód jest inny –kobieta siedzi przy stoliku w kącie, pod wielkim parasolem i... karmi piersią jakieś maleństwo. Kiedy Klaus uświadamia sobie, co to oznacza, odruchowo zwalnia kroku i przez chwilę ma ochotę zrobić w tył zwrot i zniknąć. Tak jak Sasha kiedyś.

Idzie jednak dalej.

– Cześć, Sasha – mówi, stając przed stolikiem. – Nie sądziłem, że się jeszcze zobaczymy.

– Nie stój tak, wystraszysz Boryska. – Sasha obdarza go uśmiechem, który mógłby ogrzać go przez całą zimę, a teraz sprawia, że Klaus zupełnie zapomina o swoich złościach. Kobieta odsuwa też dziecko od piersi, dyskretnie ją zakrywa i układa Boryska w nosidełku obok stolika. – Dziękuję ci, że zgodziłeś się na to spotkanie.

Klaus siada naprzeciwko i kiwa głową, zerkając na brzdąca. Nawet fajny, myśli.

– No cóż... – wzdycha. – Prawdę powiedziawszy zastanawiałem się, czy przyjść.
– Tym bardziej jestem ci wdzięczna. Czego się napijesz? – Sasha gestem przywołuje kelnera, a kiedy ten się zjawia, Klaus zamawia zimne piwo. Ma tysiąc pytań, ale nie zadaje ani jednego.

Sasha tymczasem poprawia się na krześle, odgarnia z twarzy rudy kosmyk włosów, zerka jeszcze na dziecko – najedzone śpi w najlepsze – i mówi:

– Wiem, co możesz sobie o mnie myśleć. Ja...

– Nie osądzam cię – przerywa jej. – Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy teraz.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Klaus.

– Uwierz mi, że nie jestem. Jednorazowa pomoc uchodźcom niczego nie zmienia.

Sasha kręci głową. Otwiera usta, ale zaraz je zamyka, bo do stolika podchodzi kelner. Klaus dziękuje za piwo i czeka, aż znowu będą sami.

– Więc słucham – mówi po chwili. – Bo po to chyba chciałaś się spotkać. Mam rację?

Sasha potwierdza to skinieniem głowy.

Wyjaśnienie powodów, dla których tak nagle odeszła, zajmuje jej prawie kwadrans. W tym czasie Klaus dowiaduje się, że kiedy ponad rok temu dziewczyna uciekała z innymi z bombardowanego Kijowa, już od roku była w separacji z mężem. Powodem miała być chorobliwa zazdrość Petra o żonę, czemu Klaus bynajmniej się nie dziwił, wpatrując się w zwierającą się Saszę. Petr w każdym razie przekroczył, jak stwierdziła Sasha, granicę, tracąc któregoś dnia panowanie nad sobą i przyozdabiając ją w kilka solidnej wielkości siniaków. Wojna ich rozdzieliła i Sasha była pewna, że więcej się nie spotkają. Jednak po jakichś dwóch miesiącach od momentu, kiedy wyjechała z Kijowa – była już wtedy z Klausem – Petr skontaktował się z nią i uprosił ją o spotkanie. Twierdził, że dostał kilka dni przepustki i chciałby się z nią zobaczyć, najlepiej gdzieś w pobliżu granicy z Polską. Sasha doszła do wniosku, że powinna się zgodzić. Było przecież całkiem prawdopodobne, że Petr mógł niedługo zginąć. Pojechała więc do niego. A kiedy dwa dni później wróciła, dostała telegram o jego śmierci. Zginął, trafiony przez pomyłkę kulą snajpera, ukraińskiego żołnierza.

– Może to głupio zabrzmie – mówi teraz Sasha – ale nagle się przeraziłam. W jednej chwili stałam się wojenną wdową, moi znajomi litowali się nade mną i miałam ciebie, skrytego kochanka, o którym jeszcze nikt nie wiedział. Ale była to tylko kwestia czasu, aby tajemnica wyszła na jaw.

– I uciekłaś – wzdycha Klaus.

– I uciekłam... Tak. Wtedy widziałam tylko takie wyjście.

– A Borysek, to owoc pożegnania z mężem. Cóż, tak jak powiedziałem, nie oceniam cię. Na twoim miejscu być może postąpiłbym podobnie. Nie wiem.

– Klaus, Borys... – Sasha nagle urywa, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

– Borys to najcenniejsze, co dzisiaj mam.

– To zrozumiałe. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej i na pewno jesteś dobrą mamą. Tak... A co w ogóle u ciebie słychać? Rozumiem, że zostałeś w mieście?

– A gdzie miałam jechać? Tu są ludzie, których znam, zresztą pamiętasz chyba, jak ci mówiłam, że byłam tu parę lat wcześniej.

– No tak – przyznaje Klaus. Rzeczywiście Sasha opowiadała mu o pierwszym swoim pobycie w Polsce. Mówiła mu, że już wtedy myślała o przeprowadzce na stałe. Zwlekała z tym, bo w Kijowie trzymała ją chora matka. Kiedy zmarła, poznała Petra. A gdy wybuchła wojna, najwidoczniej los dał jej znać, że to tutaj jest jej miejsce.

– Mam tu własny salon wizażu, uwierzysz? Nawet nie tak daleko stąd. Załatwiłam sobie lokal od gminy, zresztą nie było problemów, bo i tak połowa stoi pustych, i jakoś sobie radzę. Mam już nawet kolekcję ważnych osobistości!

– O! Fajnie, cieszę się.

Klaus naprawdę się cieszy, że Sashy jakoś się układa. Dziewczyna ma w sobie wolę przetrwania i potencjał. Wie, że nie zginie w tym zwariowanym świecie. Klaus, ten głupi i naiwny, chciałby iść dalej przez życie razem z nią. Jego bardziej racjonalna i już dwa razy dźgnięta prosto w serce cześć wie natomiast, że mogłoby to być ryzykowne. Poza tym podejrzewa, że taka kobieta jak ona nie jest chyba sama. Ale zapytać o to nie zamierza.

– Może kiedyś wpadnę i zobaczę – dodaje. Dopija też piwo, którego resztki są już prawie ciepłe. Powoli zaczyna się zbierać do wyjścia. Sasha chwyta go jednak za rękę i prosi, żeby jeszcze poczekał. Ona też chciałaby coś o nim usłyszeć.

– Dalej wiodę nudne życie sprzedawcy obrazów – śmieje się. – Nie ma we mnie nic ekscytującego.

– Oj, Klaus. Z ciebie naprawdę nie da się nic wyciągnąć. Wiesz, że ja w zasadzie nic o tobie nie wiem?

– No cóż – udaje zdziwienie – mam na przykład siostrę, tyle że nieprawdziwą. Ale może to nie czas i miejsce, co? Naprawdę muszę się już zbierać – kłamie.

– W takim razie może następnym razem mi opowiesz? Możemy się tu znowu spotkać, tu jest przyjemnie. Wiesz, jak za dawnych czasów.

Jasne, jak kumpel i kumpela, myśli Klaus.

– Jeśli będziesz miała ochotę?

– Super – cieszy się Sasha i też wstaje. Podaje Klausowi dłoń i jej dotyk budzi w nim uśpione emocje. Ostatni raz, kiedy ją dotykał, nie miała nic na sobie. Kochali się jak para sprinterów walczących o to, kto pierwszy dobiegnie do mety. Klaus zajął pierwsze miejsce, ale Sasha finiszowała tuż za nim. Nie mógł po tym wszystkim dojść do siebie...

Puszczając jej dłoń gwałtownie, jakby przez przypadek chwycił rozgrzany węgielek.

– W takim razie do zobaczenia. – Macha dłonią śpiącemu Borysowi i odchodzi. Jest pełen sprzecznych uczuć.

3.

Po spotkaniu z Sashą Klaus postanawia odwiedzić jeszcze swoją galerię. Tego dnia i tak nie ma nic więcej do roboty. O spotkaniu z Sashą pomyśli później, jak je przetrawi w głowie, a w galerii nie był od ponad trzech miesięcy. Wypada się więc chociaż pokazać. Jola, jego jedyna pracownica, świetnie sobie radzi i co tydzień wysyła mu na adres mejlowy raporty. Niemniej nie zaszkodzi, myśli, samemu rzucić okiem na to, co się tam dzieje.

Idzie więc z powrotem przez środek gorącego rynku, wraca w miejsce, gdzie zostawił samochód i przechodzi jeszcze kilka przecznic dalej. Wcale się nie dziwi, że jest jednym z nielicznych przechodniów, nie licząc małolátów śmigających na deskorolkach i elektrycznych hulajnogach, skoro jedyną atrakcją są tu siedziby banków, biur podróży i parę sklepów z tak niezbędnymi do codziennego użytku rzeczami jak ślubne suknie czy sztuczne futra...

W galerii tymczasem spotyka go miła niespodzianka – Jola zmieniła aranżację wnętrza. Poprzednia też nie była zła, ale Klaus jest zdania, że ta jest jakaś „cieplejsza”. Zamienia z pracownicą kilka zdań, przegląda rachunki z ostatniego miesiąca, chociaż już je raz widział, podpisuje jakieś zaległe papiery, a na koniec dowiaduje się, że od przyszłego miesiąca trzeba będzie więcej płacić za prąd.

– No i gmina podnosi nam czynsz – słyszy.

– Niech podnosi, to w końcu nikt tu oprócz nas nie zostanie – śmieje się Klaus, chociaż, oczywiście, podwyżka go nie cieszy.

– Nie myślał pan, żeby przenieść galerię w jakieś inne miejsce? Moja znajoma właśnie mi powiedziała, że w centrum handlowym zwolnił się fajny lokal. Tam przynajmniej są ludzie.

– Jolka, gdybyś mi powiedziała, że chcesz się przenieść, bo umierasz tutaj z nudów, to może bym się nad tym zastanowił. Bo nie chciałbym cię stracić. Ale zmieniać miejsce na to beznadziejne centrum, gdzie wszystko trzeszczy tandetą, to tak jakby słuchać opery w knajpie dla ćpunów.

– Skoro pan tak twierdzi... Myślałam tylko, że w ten sposób zwiększyłaby się sprzedaż.

Klaus się uśmiecha, bo na tym akurat najmniej mu zależy.

– Na razie, jak widzę, nie plajtujemy – mówi. – Poza tym galeria sztuki w tym miejscu ma swoją tradycję. Istnieje od czasów powojennych, przecież o tym wiesz. I mogę się założyć, że za jakiś czas, jak tych w ratuszu w końcu oświeci i znajdą jakiś pomysł na ożywienie tej części miasta, to i ludzie tutaj wrócą. A centra handlowe umrą, bo już mało kogo stać na czynsze w nich.

– No fakt – przyznaje pracownica Klausu. – Na piętrze, gdzie moja znajoma ma lokal, od początku roku splajtowało już chyba sześć firm.

– Sama widzisz. Nie ma się więc czym martwić na zapas. W każdym razie masz za ten miesiąc murowaną premię. Ten wystrój jest świetny. Nie chce się stąd wychodzić.

Klaus nie przesadza. Dobrze mu się siedzi w wygodnym fotelu, sącząc sok pomarańczowy z lodem, jest schładzany zimnym powiewem, rozmawia sobie z tą miłą dziewczyną. Wstaje jednak i stwierdza, że już czas na niego.

– Fajnie, że pan wpadł. Do następnego razu. I dziękuję za tę premię. Przyda się.

4.

W nocy Klaus nie może zasnąć. Wierci się z boku na bok, próbuje różnych sztuczek, ale sen wciąż nie przychodzi. Przeszkadza mu gorąc, zwinięte prześcieradło, łapie się też na tym, że rozprasza go nawet szelest liści za oknem. Wreszcie kładzie się na plecach z rękami pod głową i wpatruje w sufit. Zaczyna się zastanawiać nad spotkaniem z Sashą i to go powoli uspokaja. Chciałby wiedzieć, czy kogoś ma. Uświadamia sobie, że go to drażni. Czy dalej ją kocha? Na to pytanie nie uzyskuje już odpowiedzi. Może otrzyma ją we śnie...

Rozdział 5

1.

Następnego dnia rano Klaus budzi się w doskonałym nastroju. Owszem, znowu jest gorąco, ale tym razem mu to nie przeszkadza. Ważne, że przespał całą noc i nie musi z głowy wymiatać resztek sennych koszmarów. Leży jeszcze chwilę, delektując się ciszą, przerywaną jedynie przez przyjemny świergot ptaków. Wreszcie siada na łóżku, przeciąga się i idzie do łazienki na poranną toaletę. Kiedy wraca, planuje w głowie to, co musi zrobić w ciągu dnia – zadzwonić do Mecenasa i potwierdzić spotkanie z ekspertem od znaczków. Dojdzie do niego oczywiście tylko wtedy, gdy za dwa dni okaże się, że znaczki w ogóle istnieją. Wierzy, że tak jest. W przeciwnym razie czeka go jeszcze jedna robota z oskubaniem jakiegoś bogatego frajera, na co, szczerze mówiąc, nie ma już ochoty. Mecenas wciąż mu powtarza te swoje banały, typu: „co za dużo, to niezdrowo”, „nie należy kusić losu” czy „chytry dwa razy traci” i Klaus wie, że trochę prawdy w tym jest. Gdyby go słuchał i nie bawił się w Świętego Mikołaja, nie miałby dzisiaj takich rozterek. Ale co się stało, to się nie odstanie. Człowiek nie po to ma oczy z przodu głowy, żeby się ciągle oglądać za siebie. Mecenas i telefon do niego to więc najważniejszy punkt dzisiejszego dnia, ocenia Klaus. Mógłby też sprawdzić, czy goście z firmy przewozowej dostarczyli meble do domu Lizy. Ale też jeśli nie dowieźli, to znowu będzie musiał dzwonić do tej wariatki. Nie ma się co jednak martwić na zapas. Klaus zupełnie nie rozumie ludzi, którzy zamiast cieszyć się każdym kolejnym dniem, budują sobie w głowach wieżowce z problemów. Poza tym, Klaus, możesz się cały dzień byczyć, wmawia sobie. Nagle wpada na genialną myśl – to doskonały czas, aby poszukać sobie jakiegoś mieszkania. Przecież nie może siedzieć u Zofii w nieskończoność. No i nie ma ochoty ciągle mijać się w kuchni z facetem Klary. Poza tym byłaby to jakaś namacalna część gruntownej zmiany swojego życia.

Schodzi do kuchni i stawia czajnik na gazie. Czekając, aż woda się zagotuje, zagląda do dużego pokoju, gdzie zazwyczaj przesiaduje Zofia. Nikogo jednak nie widzi. Rzuca jeszcze okiem na ogród i altanę, ale tam też żywej duszy nie ma, nie licząc kota przybłądy wylegującego się na plamie słońca rozświetlającej środek drewnianej podłogi.

Wraca więc do kuchni, zaparza kawę i robi śniadanie. Wrzuca do tostera dwie grzanki, a kiedy wyskakują jak z procy (jedna na kuchenny blat), nakłada na nie dżem z truskawek, całość kładzie na talerzu i tak wyposażony wychodzi na zewnątrz

budynku, od strony ulicy. Tam siada później na schodkach przed domem i zaczyna pierwszy w tym dniu posiłek, gapiąc się na drzewa rosnące wzdłuż ulicy.

Kończy jeść i właśnie ma zamiar sięgnąć po papierosy, gdy słyszy jakiś rumor dobiegający z domu.

– Klara, to ty? – krzyczy zaniepokojony. – Wszystko okej?

Po chwili słyszy jej stłumiony głos, ale nie rozumie, co dziewczyna mówi. Wie tylko, że głos dobiega gdzieś z piwnicy. Wystraszony nie na żarty zbiega więc po schodkach i wchodzi do pomieszczenia, które służy za małą spiżarnię.

Klara stoi na przechylonym taborecie, który lada moment może się przewrócić, jedną ręką trzyma się górnej półki spiżarki, drugą usiłuje złapać równowagę. Na podłodze leżą tymczasem rozbite słoiki, chyba z kompotem ze śliwek. Klaus podchodzi do Klary, uważając, aby nie nadepnąć na odłamek szkła, i chwyta ją w pasie.

– A ty co? Udajesz Kobietę-Kota, czy to jakiś twój nowy żart?

– Ale śmieszne!

Klaus pomaga jej bezpiecznie stanąć na podłodze i zaczyna się śmiać.

– No i z czego rżysz? Szukałam marynowanych grzybków. Były tu, ale ktoś je zdążył zezreć, cholera! A mam na nie taką ochotę, że zaraz oszaleję, jak ich nie znajdę.

– Trzeba było mnie zawołać – mówi Klaus, rozglądając się po tym magazynie pyszności. Dawno tu nie zaglądał. Wchodzi teraz sam na taboret i szuka grzybków. – Na pewno je tu widziałaś?

– Na sto procent.

– Może to było rok temu, co?

– Klaus, kurde! Są, czy ich nie ma? Nie graj ze mną w kulki!

Klaus od razu dostrzega mały słoiczek wciśnięty w kąt, zasłonięty częściowo większym słoikiem, chyba z jakimiś konfiturami, ale postanawia podroczyć się jeszcze chwilę z Klarą.

– Chyba są – mruczy. – Ale mają jakieś kropki czy coś. Chyba nie marynowałyście muchomorów, na litość boską.

– Co ty wygadujesz?! Jakie znowu muchomory? Dawaj ten cholerny słoik!

Śmiejąc się już z całych sił, Klaus sięga do kąta i po chwili podaje Klarze marynowane grzybki. W życiu nie zjadłby ich o tej porze dnia. Klara chwyta je jednak jak najcenniejszą zdobycz i niemal wybiega ze spiżarni.

– Matko święta – wzdycha Klaus, czując, jak grzanki podchodzą mu do gardła.

2.

Wieczorem Klaus z satysfakcją uznaje, że dzień minął tak, jak sobie go zaplanował. Cieszy go zwłaszcza fakt, że ma już klucze do nowego mieszkania.

Tego akurat zupełnie się nie spodziewał. Ale poszło jak z płatka. Właściciel wybranego lokalu był pod telefonem i miał czas na spotkanie. Na miejscu okazało się, że zdjęcia mieszkania zamieszczone na portalu z nieruchomościami nie oddają faktycznego stanu, a przede wszystkim fantastycznego klimatu tego miejsca. Gustownie umeblowane trzy pokoje z dużym tarasem z widokiem na las, umieszczone w dwupiętrowym budynku. Tego Klaus oczekiwał. Trochę go tylko zaskoczyła wysokość żądanego czynszu – w ogłoszeniu był o kilkaset złotych mniejszy – ale właściciel przekonywał, że ogłoszenie jest już stare i zapomniał go zaktualizować, a „wie pan, teraz wszystko idzie w górę, no nie?”. Klusa korciło, żeby zapytać, dlaczego w takim razie mieszkanie wciąż było do wynajęcia, ale po namyśle machnął na to ręką. Dobił więc targu, podpisał umowę, wziął klucze, a na koniec wręczył solidny zadatek, resztę obiecując wpłacić przelewem na podany numer konta.

Może więc teraz spokojnie doczekać końca dnia. Jutro czeka go wyjazd do zamku Czocha, a pojutrze ma się okazać, ile prawdy jest w listach bibliotekarki Saurmy.

Klaus jest więc zadowolony.

Schodzi do kuchni i widzi, że Klara dłubie coś przy kolacji, a Zofia siedzi za stołem i układa pasjansa. Martina nie ma, bo dwie godziny wcześniej pojechał do pracy. Podobno ma w tym tygodniu nocki na policyjnych serwerach. Zanim wyszedł, Klaus musiał nasłuchać się o tym, jaka to nudna robota jest z tymi całymi zakichanymi sprawozdaniami i wypełnianiem rubryk.

– I co tam widzisz w kartach? – Klaus siada naprzeciwko Zofii. – Jest coś o kolacji? – śmieje się.

– Karty, młody człowieku, to poważna sprawa. – Zofia składa pasjansa, wyrównuje talię i ponownie rozkłada karty na stole. – A te tutaj nic dobrego, niestety, nie zapowiadają. Trzeci raz to powtarzam i za każdym razem wychodzi to samo.

– Czyli co? – chce wiedzieć Klaus.

– Że czekają nas jakieś zawirowania.

Klaus parska śmiechem.

– No jeśli Klara zaserwuje nam te swoje grzybki, to na pewno. – Spogląda na siostrę. – Może ty naprawdę jesteś w ciąży, co?

– Lepiej pomyśl o swoim potomku, bo już by ci się przydał. Będziesz tak dalej bujał się samotnie z miejsca na miejsce? Masz w ogóle pojęcie, jak negatywnie samotność wpływa na człowieka? I nie tylko na jego psychikę. Na cały stan jego zdrowia. Tak, Klaus. Ciebie to pewnie śmieszy, ale taka jest prawda.

– Wielkie dzięki za tę lekcję, ale skąd możesz wiedzieć, czy kogoś nie mam?

– A masz? – Klara przerywa szatkowanie zielonego ogórka i spogląda wyczekująco na Klusa.

– Może mam, sam jeszcze nie wiem. Szczerze mówiąc, to trochę skomplikowane.

– No nie! I nic nie mówisz!

– Przecież właśnie to robię, co mam jeszcze mówić?

– Kim ona jest, frajerze? – rechocze Klara. – Kim jest ta nieszczęsna kobieta?

Klaus kręci z uśmiechem głową i łapie się na tym, że chętnie powiedziała by Klarze o Sashy. Ale nie chce zapeszać. Jeszcze nie dzisiaj. Mówi więc, że jak będzie pewny, to Klara pierwsza się o tym dowie.

Klara kiwa głową z miną, która mówi: „akurat!” i wraca do znęcania się nad ogórkiem. Zofia tymczasem sięga do szafki po talerze i podaje je Klausowi. Prosi, żeby zaniósł je do altany.

– Trzeba korzystać z pogody, póki czas, bo zapowiadają, że za kilka dni pogoda ma się zmienić – tłumaczy.

Klaus ma wrażenie, że w ogrodzie jest cieplej niż w domu. Rozkłada talerze na stole, a później z ciekawości sprawdza temperaturę na wielkim, staromodnym termometrze przyczepionym do belki w altanie. I prawie oczom nie wierzy – dwadzieścia siedem stopni Celsjusza!

– On nie jest przypadkiem zepsuty? – pyta z niedowierzaniem. – Jest gorąco, ale żeby aż tak? O tej porze? To nie Chorwacja.

– To najlepszy termometr świata – zapewnia Zofia. – Zawsze pokazuje dwadzieścia siedem stopni – uśmiecha się przekornie.

– Jezus, kupię ci nowy, co? – Proponuje Klaus.

– Ani się waż, mama nie da ci go ściągnąć, no wiesz... coś się może wtedy stać...

– Sięgając po półmisek z sałatką grecką, Klara mruga porozumiewawczo do Klaus.

– Śmieście się, śmieście, ale pamiętacie, co było, jak wyrzuciliśmy tę starą rogówkę? Zaraz następnego dnia zaczął przeciekać dach. Zawsze, jak coś przestawię, co stało w jednym miejscu przez lata, albo to wyrzucę, dzieją się dziwne rzeczy. Termometr nikomu nie przeszkadza. I tak nikt, z wyjątkiem ciebie, Klaus, na niego nie spogląda.

– Cóż... – wzdycha Klaus i nakłada sobie sporą porcję wędzonego kurczaka. – Właśnie miałem powiedzieć, że mógłbym ci kupić trochę nowych mebli, ale wtedy stare musiałabyś wyrzucić. Tylko że wtedy to już cały dom pewnie by się zawalił, co nie, Klara? – śmieje się.

– Wariat.

Przez kolejnych kilka minut w ogrodzie słychać jedynie szcęk sztućców i zgrzytanie noża po talerzu. To ostatnie w wykonaniu Klaus. Przy którymś z kolei Klara rzuca mu kąśliwy uśmiech i mówi:

– Nie trudź się tak, już mnie to nie rusza, cha, cha!

Klaus kończy jeść, odsuwa talerz i opiera się łokciami o stół.

– Muszę wam coś powiedzieć.

Obie kobiety przerywają jedzenie i spoglądają na niego z zaciekawieniem. Klara wyraża przypuszczenie, że Klaus znowu gdzieś chce ponieść w świat.

– Przyznaj się – mówi.

– Czy ja wiem, czy w świat? Właśnie wynająłem mieszkanie, nawet nie tak daleko stąd i...

– Klaus! – przerywa mu Zofia. – Przecież masz tu miejsce! Po co...

Klaus nachyla się do niej i kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Wiem – mówi. – I wiesz, jak sobie to cenię. Ale muszę w końcu gdzieś osiąść na dłużej, coś zmienić. Tak na sto procent.

– Po co ci mieszkanie, jak masz własny dom? – Klara jest autentycznie zdziwiona.

– Nie szkoda ci pieniędzy? Nie rozumiem cię.

W tym miejscu Klaus robi tajemniczą minę, potem się uśmiecha, czeka jeszcze chwilę i w końcu oznajmia, że dom przepisał właśnie na Klarę.

– Nawet jak w nim nie zamieszkas, to możesz go wynająć – tłumaczy. – Trochę kasy przyda się wam, a ja nigdy tego miejsca nie lubiłem.

– Ale Klaus... – Klara nie może uwierzyć. – Jak to... tak... po prostu przepisałeś? Przecież on jest wart fortunę!

– Nie martw się, poradzę sobie bez niego, zresztą klamka już zapadła i nie masz nic do gadania, cha, cha!

Zofia dyskretnie ociera oczy. Jest wyraźnie wzruszona.

– Dobry z ciebie chłopak – szepcze.

Klaus nie wie, co ma odpowiedzieć, więc wzrusza jedynie ramionami. Uważa, że gdyby Zofia wiedziała, jaki jest naprawdę, nie powiedziała by tego. Może by nawet zabroniła Klarze przyjmować taki prezent. Czuje się idiotycznie z tą przypisaną mu dobrocią. Ma tylko nadzieję, że Klara nie zacznie teraz kręcić nosem. Patrzy na nią i widzi, że dziewczyna bije się chyba z myślami. Nie chcąc przedłużyć tej niezręcznej chwili, wstaje i mówi, że wychodzi na papierosa.

Tak jak przypuszczał, ucieczka na schodki przed domem nic nie daje. Nie mija nawet pięć minut, a obok dosiada się Klara.

– Czemu to zrobiłeś? – z miejsca pyta.

– Co? – Klaus udaje, że nie wie, o co jej chodzi.

– Psińco, cholera! Dobrze wiesz co. Dom to nie rękawiczki na zimę. Poza tym... Co Liza na to powie?

Klaus wzdycha. Nawet ona musi mu o niej przypominać?

– A co ta wariatka ma z tym wspólnego? – dziwi się. – To mój dom. Ona dostała już tyle, że do końca życia nie musi pracować. Miałem jeszcze dom jej podarować? O czym ty, kurde, mówisz, Klara?

– Pal licho Lizę, ale ja... no nie wiem, czy mogłabym w takim domu mieszkać, albo nawet czerpać z tego jakieś inne korzyści... Klaus, przecież ty go kupiłeś... no wiesz za co.

– Chodzi ci o to, że nie z legalnie zarobionej kasy, tak? – Klaus zmienia nieco pozycję w ten sposób, by móc patrzeć na Klarę. – Jeśli tak myślisz, to się mylisz.

– Co ty powiesz? – Teraz Klara robi oczy jak spodki. – Przecież na obrazach takich pieniędzy nie zarobiłaś.

– Może wziąłem kredyt. Przyszło ci to do głowy?

– Akurat. – Klara parska śmiechem. – Ty i kredyt. Już w to wierzę.

– No dobra, to nie kredyt. Wyłumaczę ci to, bo inaczej nie zaśniesz do końca życia, jak cię znam. – Klaus zapala papierosa i wyjaśnia wszystko w prosty sposób, mówiąc, że pieniądze z pierwszych kilku oszustw, dzięki pewnemu przyjacielowi biegłemu w sprawach finansowych, zainwestował w różnych miejscach i od tej pory zbiera tego efekty.

– Pieniądz robi pieniądz, rozumiesz? To są od dawna legalne pieniądze.

Klara kiwa głową.

– Rozumiem – twierdzi – że po prostu wypraliście kasę. Tak się mówi?

– Ja cię kręcę, Klara! Masz mnie za jakiegoś mafiosa? Tłumaczyłem ci już to wszystko, a ty gadasz tak, jakbym handlował prochami albo, kurde, co najmniej broń sprzedawał. Dlaczego wszystko musisz komplikować?

– Co ja komplikuję? Ja tylko chcę być spokojna o mamę, siebie i ciebie. Czego nie rozumiesz?

Klaus gasi peta i pociera dłońmi skronie. Wszystko, do cholery, rozumie. Nagle czuje jakieś zniechęcenie. Zawsze, gdy chce dobrze, wychodzi na odwrót. Zmiana stylu życia okazuje się nie taka łatwa.

– Dom jest twój, czy tego chcesz, czy nie – mówi wreszcie. – Sprzedaj go więc, a pieniądze – nie wiem, rozdaj, zanieś do kościoła albo zbuduj przytułek dla wiewiórek, nie mam pojęcia.

Klara nagle szturcha go w ramię.

– Głupek z ciebie, wiesz? – Po czym wstaje i wchodzi do domu.

Pewnie tak jest – myśli Klaus.

3.

Jadąc przez miasto, Klaus myśli o tym, że stare dobre przysłowia mają jednak swój głębszy sens. „Nie chwal dnia przed zachodem słońca” – w jego przypadku jest to jak najbardziej słuszne stwierdzenie. Jest parę minut po dwudziestej trzeciej. Pomyśleć, że jeszcze pół godziny wcześniej leżał na sfatygowanej, starej kanapie, ustawionej na drewnianym podeście przed ogrodem i rozczytywał się w kolejnej hipotezie grupy fizyków mówiącej o tym, że być może powrót do życia po śmierci jest jednak możliwy. Nie jest człowiekiem wierzącym, ale też nie zaprzecza istnieniu Boga. Jest zdania, że człowiek tak mało wie o istocie wszechświata i życiu, że zamiast próbować to zrozumieć, powinien raczej skupiać się na tym, aby do końca nie rozwalić planety, na której żyje.

Kontrowersyjną lekturę przerwał mu telefon od Lizy. I już sam fakt, że dzwoniła, a nie pisała, był mocno zastanawiający. Klaus odebrał więc połączenie bez większych ceregieli. Liza roztrzęsionym głosem oznajmiła mu, że ktoś wrzucił do jej pokoju kamień z przywiązaną wiadomością. I rozbił „tę cholerną, pieprzoną szybę, wyobrażasz sobie?!”. Przez pierwsze minuty Liziego krzyku Klaus nie mógł się zorientować, o co tak naprawdę jej chodzi. Jaki kamień, u licha? Co za wiadomość? I dlaczego tak, do diabła, panikuje? Klaus wie, że Liza jest zazwyczaj opanowana w trudnych sytuacjach, a przynajmniej była, i byle co jej nie wystraszy.

– To wiadomość do ciebie, Klaus – usłyszał w końcu. – Od „*Monsieur*”... Co to wszystko, kurwa, znaczy, co?! Dlaczego mi to wrzucili?! Musisz tu przyjechać, bo oni chcą mi coś zrobić!

Klaus nie pytał już o nic więcej. Czyżby dopadła go zemsta urażonego żabojada? Ale jakim cudem? Wydawało mu się, że nie popełnił żadnego błędu i skutecznie zatarł za sobą wszelkie ślady, a mimo to... Można powiedzieć, że był nawet pod lekkim wrażeniem. Był to pierwszy raz, kiedy komuś udało się wpaść na jego trop. No cóż. Płakać z tego powodu nie zamierzał. Takie rzeczy były wkalkulowane w ryzyko życia, jakie prowadził. Niemniej nie podobał mu się sposób, w jaki Francuz zadziałał. Cholerny sukinsynie, myśli teraz. Mogłeś uderzyć bezpośrednio we mnie, ale wolisz się posłużyć kobietą. Taki z ciebie francuzik–łobuzik. No i kamień? Wyglądało mu to na jakiś absurd.

4.

Liza mieszka w centrum miasta, w kamienicy. Klaus jest tu po raz pierwszy. Nawet nie wie, na którym piętrze jest mieszkanie jego byłej żony. Ale wyobraża sobie, że musi to być ten wysoki parter, bo wyżej nikt by celnie nie dorzucił kamieniem. A z procy, do cholery, chyba nie strzelali... Naciąga na głowę kaptur i przypatruje się oknom w budynku. Wszystkie są całe. Najwidoczniej, myśli, ktoś czaił się od tyłu budynku. Nie idzie tam, bo też niczego by tam już pewnie nie znalazł, zwłaszcza że – jak dostrzega – podwórko jest słabo oświetlone. Kieruje się wprost do klatki schodowej, gdzie dzwoni do Lizy i mówi, żeby uchyliła drzwi. Po chwili słyszy ciche skrzypnięcie.

– Co tak długo?! Mogli mnie tu ze trzy razy już zabić!

Klaus ma ochotę powiedzieć, że pierwszy raz w życiu słyszy zmię gadającą ludzkim głosem, ale powstrzymuje się. Zamiast tego, mówi:

– Od kiedy jesteś taka strachliwa, co?

– Żartuj sobie, a ja mało trupem nie padłam, jak ten cholerny kamor wpadł mi do pokoju.

Liza zamyka dokładnie drzwi, a potem pokazuje mu niechcianego lokatora.

Klaus waży kamień w ręce i myśli, że gdyby tak trafił ją w głowę, mógłby poważnie zranić. Nie było więc w tym nic śmiesznego.

– A to ta kartka – dodaje Liza. – Widzisz?

Rozkłada ją. I czyta: „Pozdrowienia dla Klause od *Monsieur*... I żadnych głupot, bo cię obserwujemy. PS Znaczki przyniesiesz mi w zębach”.

– No i? – chce wiedzieć Liza. – Co to znaczy, Klaus? Dlaczego mi wrzucili ten pieprzony kamień, a nie tobie, co? Co ja mam z tym wspólnego, cholera? *Monsieur* to ten gość, którego obrobiłeś, ale o co chodzi z tymi znaczkami?

– Nieważne. – Klaus dalej przygląda się kartce.

– Nieważne?! Kurwa, ktoś mi wrzucił kamień do mieszkania, mało nim nie oberwałam, a ty mówisz, że to nie jest ważne?!

– Zastanawiam się, jakim cudem Francuz wpadł na mój ślad. – Klaus przenosi wzrok na Lizę. – Nie wymyśliło ci się coś na ten temat?

– Wymyśliło?! Jezu, człowieku, czy ja na targowisku miejskim pracuję?

– No wiesz... Nie mówię, że specjalnie, ale tylko ty i Mecenaz wiedzieliście o Francuzie. Nikt inny.

Mówi to, chociaż coraz bardziej jest przekonany, że to jednak Liza musiała komuś coś chlapanąć. Jeśli nie celowo, żeby się na nim zemścić, to przez przypadek. Usiłuje sobie tylko przypomnieć, czy o znaczkach też jej wspominał. Dochodzi do wniosku, że mogło tak być. Jeśli tak, to sama sobie teraz jest winna. Ale nie zamierza jej o tym mówić. Nie chce kolejnych awantur.

– No to może ten twój księgowy dał dupy, ja na pewno nie! Powiedz lepiej, co dalej? Mam tu czekać, aż mi ktoś granat wrzuci?!

– Pojęcia nie mam. – Klaus ostrożnie kładzie kamień na stoliku ze szklanym blatem i przechodzi do drugiego pokoju, prosząc o to samo Lizę. Nie ma zamiaru niczego jej tłumaczyć. Mówi jej jedynie to, co jest konieczne.

– No dobrze, posłuchaj. – Siada na wielkiej pufie. Jednej z dwóch w pokoju. Czuje, jak się zapada, a kolana wędrują mu pod brodę i zastanawia się, kto wymyśla takie gówna do siedzenia. – Widocznie jakimś cudem wpadł na mój ślad i przy okazji na twój. I postanowił się zemścić na mnie, pokazując, że może dobrać ci się na przykład do tyłka. Pewnie nie wie, że jesteśmy po rozwodzie.

– Klaus, kurde... Mówiliśmy ci wtedy z Mecenasem, żebyś sobie z tym gnojem dał spokój. Ale ty musiałeś zrobić to, co akurat sobie zaplanowałeś. To teraz masz! A właściwie to ja mam, kurde balans!

– Facet mieszka w Paryżu, więc najpewniej wynajął tu na miejscu jakichś oprychów i mówi im, co mają robić. To jakieś głupie typy. Podwórkowa banda. Nie przejmuj się...

– „Nie przejmuj się”, „nie przejmuj się”! Łatwo ci mówić, bo to nie tobie koło nosa to cholera przefrunęło... I co teraz?

Klaus ma ochotę powiedzieć jej, żeby napisała skargę do *Monsieur*. Ale, oczywiście, nie mówi tego. Ma jednak plan, więc pyta Lizę, czy ma w szafie jakieś spodnie podobne do tych, w których on teraz jest.

– A co, zsikałeś się ze strachu?!

– Ty musisz się przebrać – wyjaśnia. – Za mnie.

Liza robi wielkie oczy, ale zaraz chwytą, co Klaus ma na myśli. Wygrzebuje więc z szafy spodnie dżinsowe o podobnym, jak Klaus, odcieniu. Klaus podaje jej też swoją bluzę i kluczyki do mercedesa.

– Stoi niedaleko bramy, więc musisz chociaż chwilę postać w miejscu, nie wiem, może wrócić, że niby coś zapomniałaś, rozumiesz? Żeby cię zobaczyli.

– A może nikt mnie nie obserwuje i cała ta szopka jest niepotrzebna?

– A może wręcz przeciwnie? – ucina Klaus. – Przez takie drobiazgi niejeden plan wziął w łeb. Nie zapominaj.

– Klaus, ale gdzie ja mam pojechać? Do hotelu?

Klaus wstaje i robi parę kroków po pokoju. Dłużej na tym cholerstwie nie wysiedzi. Później wyciąga klucze i mówi:

– Dzisiaj wynająłem mieszkanie. Jedź tam i zadekuj się na parę dni, aż coś wymyślę. Tylko nie parkuj na placu przed budynkiem, wjedź do garażu i nie zapomnij go zamknąć. Pilot jest w schowku.

Liza jest oburzona i mówi, że nigdy nie zapomina o takich rzeczach, jak zamknięcie cholernego garażu.

– Jasne – zgadza się Klaus. – To tylko ja miewam halucynacje.

Prosi też Lizę o jej telefon i zapisuje w nim adres z lokalizacją, pod którą ma się udać.

– To jakieś zadupie!

– No i co z tego? Parę dni bez łożenia po centrum wytrzymasz. Wolisz, żeby ci ktoś worek foliowy na głowę założył?

Patrzy na Lizę i widzi, że zbiera się jej na płacz. Podchodzi i ją przytula. Tak jakoś odruchowo. Jakby to nie była kobieta, która pożarła mu rok życia.

– Nie martw się, będzie dobrze – mówi łagodnym już głosem.

Liza ociera oczy, odsuwa się, po czym nagle zmienia temat:

– Wiesz – wzdycha – nasze małżeństwo było z góry skazane na porażkę.

– Było, minęło i nie ma do czego wracać. – Klaus nie ma ochoty rozkminiać niuansów przeszłości i dziwi się, dlaczego akurat teraz Liza o tym mówi.

– A wiesz dlaczego?

– Liza, to nie jest najlepszy moment. Co cię napadło? – Klaus nie chce niczego wiedzieć, guzik go to obchodzi.

Ale ona i tak mu to mówi:

– Bo twoją jedyną miłością w życiu jest Klara.

Klaus z wrażenia zastyga w miejscu. Nie wie, co ma powiedzieć. Przez chwilę stoi jak posąg. Brakuje tylko, żeby mu szczęka opadła. Gapi się na Lizę, aż ta wzrusza ramionami i mówi:

– No co? Nie jest tak? Nie mam racji? Pewnie sam przed sobą się do tego nie przyznajesz... No, rozumiem cię, ale, no wiesz... nawet ci współczuję, to musi być...

– Dosyć! – warczy Klaus. – Całkiem odjechałaś. Naćpałaś się, czy jak? Ogarnij się, zbierz swoje rzeczy i wrzuć do mojego plecaka – opróżnia go i podaje Lizie. – I jedź już. To najlepsze, co możesz teraz zrobić.

5.

Lizy nie ma już dobry kwadrans. Klaus na powrót siedzi zapadnięty w pufie i powoli dochodzi do siebie. Wciąż nie może do końca ochłonąć po tym, co usłyszał. Miałby kochać Klarę, jak facet kobietę? I nie zdawać sobie z tego sprawy? To jakiś obłąd, myśli. Faktem jest, że jeszcze będąc z Lizą, wielokrotnie porównywał ją do Klary, często o niej też opowiadał. Liza raz nawet zrobiła mu dowcip, ubierając się dokładnie tak, jak Klara, i on dał się na to złapać. Były zresztą podobne do siebie i to też był fakt. No i nie cierpiał Martina. Ale czy to miało znaczyć, że... Nie, Klaus nie dopuszcza tej myśli. Trze twarz, wzdycha i sięga po telefon. Uważa, że jego była żona jest zwyczajnie świrnięta. Może oberwała jednak tym kamerdolcem.

Klaus zamawia Ubera i cierpliwie czeka. Nie myśli już o niczym z wyjątkiem tego, że jutro, a właściwie już dzisiaj – kilka minut temu minęła północ – jedzie w końcu do zamku, sprawdzi tę diabelską skrytkę, a później wyjedzie gdzieś w cholerę.

6.

Taksówka podjeżdża pod kamienicę dwadzieścia minut po północy. Klaus zbiera w pośpiechu swoje rzeczy i przechodzi jeszcze do pokoju, do którego wpadł kamień. Gasi światło i przesuwając szafę, zasłaniając w ten sposób okno z rozbitą szybą. Dopiero wtedy zapala małą lampkę i wychodzi z mieszkania. Nie kryje się, bo jest mu obojętne, czy ktoś go rozpozna, czy nie. Jeśli ktoś rzeczywiście obserwuje mieszkanie, a ich małe oszustwo się udało, to i tak nie ma to teraz większego znaczenia. Ważne, że Liza jest bezpieczna.

W samochodzie rozgląda się dla pewności po zaparkowanych wzdłuż ulicy pojazdach, ale nikogo nie dostrzega. Podaje więc kierowcy adres, opiera się wygodnie o siedzenie i przymyka oczy. Chociaż tego nie chce, myśli same prowadzą go do Klary. Klaus czuje, że jego życie zaczyna przewracać się do góry nogami. Jeśli tak ma wyglądać zmiana, o której marzył, to on dziękuje bardzo.

7.

Przed snem w głowie płaczą mu się dziesiątki myśli i pytań. Na żadne nie potrafi znaleźć racjonalnej odpowiedzi i to go męczy. Jedyne, czego jest pewien, to że kocha Klarę jak brat siostrę. Nigdy nie myślał o niej inaczej. Nigdy nie patrzył na nią tak, jak kiedyś na Lizę, a później Sashę. I co z tego, że to nie ta sama krew? Uważa, że Liza zwyczajnie pierdoli głupoty, bo inaczej nie byłaby sobą. To taka sama bzdura, jak ta z jej absurdalnym planem na życie. Myśl ta sprawia, że Klaus uśmiecha się sam do siebie. Zanim zaśnie, dopada go jeszcze przykra refleksja, że podróż do zamku Czocho będzie musiał odbyć starym rękem Zofii. W tym upale...

Rozdział 6

1.

Początek następnego dnia przynosi Klausowi pewność, że wczorajsze gadanie Lizy o jego zakochaniu się we własnej siostrze to zwyczajny stek bzdur. Jak w ogóle mogłem się tym przejąć? – zastanawia się teraz, leżąc jeszcze w łóżku i czytając wiadomość od Sashy:

„Cześć, Klaus! Jeśli masz dzisiaj wolne przed południem i ochotę, to spotkajmy się w tym samym miejscu, powiedzmy o 10:00. Co ty na to? Sasha”.

Nawet nie myśląc, czy dobrze robi, odpisał krótko:

„Jasne. Będę”.

I świat wydał mu się z miejsca jakiś lepszy.

Może to jest właśnie początek prawdziwych zmian w jego życiu? Może nie należy się nad wszystkim wечно zastanawiać, analizować za i przeciw, tylko dać się od czasu do czasu ponieść fali, popłynąć z nurtem? Wyłączyć cholerny mózg?

Klaus właśnie zamierza wstać, gdy słyszy pukanie do drzwi i dobiegający zza nich głos Klary:

– Mogę?

– Wchodź – mówi.

Drzwi się otwierają i Klara staje w progu. Kiedy Klaus spogląda na jej śmiertelnie poważną minę z miejsca wie, że siostra zaraz zastrzeli go jakąś rewelacją.

– Tylko mi nie mów, że wbiłaś sobie w tyłek drzazgę – próbuje zażartować, ale widzi, że Klara nie zmienia wyrazu twarzy, jakby w ogóle nie słyszała, co do niej powiedział.

Oznajmia, że nikt nie może pić wody ani się w niej kąpać.

– Że co?

– Woda jest skażona. Nie czytasz komunikatów? Przed chwilą podali na fejsie. Jakaś straszna awaria magistrali wodnej.

– Od kiedy? – Klaus siada na łóżku, całkowicie już rozbudzony.

– Od wczorajszego popołudnia podobno. Tak ludzie piszą. Że z kranów leci żółta, cuchnąca woda. A ja wczoraj tyle herbat piłam... – Teraz Klara przysiadła na brzegu łóżka, wyraźnie już wystraszona.

– Czekaj, masz ten komunikat?

Klara podaje mu smartfon i mówi, żeby sobie sam zobaczył.

– Myślisz, że panikuję, co? – Usiłuje się zaśmiać, ale nie bardzo jej to wychodzi. – To jakaś zaraza jest, rano już czułam, że mi jest niedobrze. Klaus, ja...

– Zaraz, czekaj. Czytam.

Klaus dobiega wzrokiem do końca komunikatu.

– A tę dołączoną mapkę sprawdziłaś? – Podtyka jej telefon pod nos. – Widzisz? Tu jest wyraźnie zaznaczone, że przy naszej ulicy jest okej. A niedobrze ci było, bo jesteś, kurde, w ciąży. Co nie? To wcale nie był żart, no przyznaj się.

Klara wrywa mu telefon z ręki.

– Jakiś ty naiwny! Ludzie piszą, że w całym mieście nie można z tej wody korzystać. To jakaś żywica podobno płynie w rurach. Sprawdziłam i grozi to poważnymi konsekwencjami. Można dostać raka i marskości wątroby. Rany boskie, Klaus, ja to piłam... I co ci strzela do głowy z tą cholerną ciążą?

Klaus pociera czoło i bierze głębszy wdech. Nie ma zamiaru ujmować powagi sytuacji, bo wygląda na to, że to poważna sprawa. Tyle że nie u nich w kranie, do cholery. Nie wytłumaczy tego jednak Klarze, o tym wie doskonale, bo przecież ją zna. Może tylko próbować ją jakoś uspokoić. Wstaje więc, idzie do łazienki, odkręca wodę i nalewa ją do kubka. Woda jest czysta i niczym nie śmierdzi. Pokazuje ją Klarze.

– Widzisz tu jakąś żywicę albo inne dziadostwo? Nasza woda nie jest skażona. Nie musisz się niczego obawiać.

– No i co z tego, mądralo? Może ten syf dopiero się przedostaje do naszych rur? Na pewno tak jest.

– Więc nie pij i nie kąp się, okej?

– Żebyś wiedział! I tobie radzę to samo. – Klara wstaje.

– Jasne, bo mi pióra na tyłku wyrosną.

Klara wychodzi, a Klaus myśli, że pierwszy raz, odkąd przyjechał, cieszy się, że niedługo wyjdzie z domu i pojedzie na parę dni do zamku. Kocha siostrę, ale kiedy wpada w tę swoją obsesję, jest nie do zniesienia. A on ma dzisiaj zbyt dobry humor, żeby go sobie psuć przez wybujałą wyobraźnię Klary.

2.

Sasha czeka na niego przed wejściem do kawiarni.

– Zamknięte – tłumaczy. – Z powodu tej awarii. Słyszałeś o niej?

– Taaa... Jakaś żywica w rurach, które wcześniej modernizowali, czy coś takiego. Akurat teraz, w taki upał. Trochę pechowo...

– To może chodźmy nad rzekę, co?

Klaus nie ma nic przeciwko temu. Jest mu obojętne, gdzie pójda, cieszy się z samej obecności Sashy. Jest podekscytowany, jakby to była ich pierwsza randka. Zerka na

nią i stwierdza, że teraz, w obstrzępionych szortach, zwykłych trampkach i kolorowej koszulce na ramiączkach podoba się mu jeszcze bardziej.

Przenosi spojrzenie na wózek i Boryska. Mały śpi w najlepsze osłonięty baldachimem. Klaus myśli, że dzieciak wygląda jak kilka małych kiełbasek ściśniętych sznurkiem w paru miejscach.

– Dobrze wygląda – mówi.

Sasha się śmieje i tłumaczy, że mały wcina za dwóch, ale to nie problem, bo większość małych dzieci wygląda jak parówki.

Klaus kiwa głową, że niby rozumie, ale i tak nie ma o tym pojęcia. Chce za to wiedzieć, czy u Sashy woda w kranie też jest skażona.

– Na szczęście nie. I modłę się, żeby tak zostało. Pojęcia nie masz, ile wody schodzi z takim małym brzdącem.

Fakt. Skąd miałyby to wiedzieć? Klara dopiero będzie miała swoje dziecko. Chyba, myśli. Może wtedy będzie mądrzejszy. Klaus zaczyna się czuć niekomfortowo w tym temacie. Proponuje, żeby już ruszyli nad rzekę.

– Tutaj za chwilę się żywcem upieczemy – tłumaczy.

Idą i przez jakiś czas nic nie mówią. Później Sasha prosi go, żeby przez chwilę trzymał wózek, bo ona musi sprawdzić w plecaku, czy wzięła zapasowe pieluchy. Klaus chwyta nagrzaną rączkę wózka i rusza. Mimo że chodnikiem idą tylko oni, doznaje nieprzyjemnego wrażenia, że gapi się na niego całe miasto. Odruchowo się rozgląda i prawie potyka o własne nogi. Wie, że to absurd, ale nad niektórymi odruchami trudno zapanować.

– Daj już ten wehikuł, bo idziesz, jak na szczydłach – śmieje się Sasha i przejmuje wózek.

– Przesadzasz, ja... kurczę, to tak jakbym włożył nagle garnitur, w którym nigdy nie chodzę.

Sasha robi tajemniczą minę i mówi:

– No wiesz, do wszystkiego można się przyzwycząić.

– Masz na myśli garnitur?

– Też.

Klaus nic na to nie odpowiada. Sasha wyraźnie daje mu coś do zrozumienia i on już wie, co to takiego. Tylko czy jest na tę relację gotów? Jeśli tak, to musiałby jej powiedzieć prawdę o sobie. W tym momencie Klaus nie wie, czy tego chce – chyba tak. To właśnie oznacza dać się ponieść z prądem rzeki, o czym niedawno myślał. Ale prawda o nim może być jak głaz, na którym dziewczyna się rozbija. A tego by nie chciał. Ostatecznie uznaje więc, że ma jeszcze czas, a teraz powinien cieszyć się chwilą.

– W takim razie – mówi – być może zacznę go zakładać częściej.

– Fajnie – krótko kwituje Sasha.

Po spacerze wąską i niemal bezludną uliczką, wejście w zatłoczoną część miasta nie jest zbyt przyjemne. Klaus przyspiesza nieco kroku, ale zaraz zwalnia, widząc, że Sasha nie nadąża. Pcha przecież wózek. Proponuje, że może on teraz zabawi się w woźnicę.

– Szybko ćwiczysz z tym garniturem – zauważa Sasha.

Śmieją się. Kobieta po chwili dodaje:

– Zaraz minimy sklep, muszę wejść i coś kupić. Poczekasz?

Zatrzymują się przed minimarketem i Sasha znika w środku. Klaus zostaje ze śpiącym w wózku Borysem. Przesuwa się jak najbliżej ściany sklepu w obawie, że jakiś zapatrzonej w telefon przechodzień wpadnie na wózek. Sięga do kieszeni, bo chce mu się palić. Zaraz jednak cofa rękę. Nie będzie przecież palił przy małym dziecku, jeszcze nie zgłupiał do reszty. Ludzie mijają go, jakby nie istniał. Ślizga się po nich wzrokiem, ale nikt spojrzenia nie odwzajemnia. Czyli wcale nie jest jak mikrob pod lupą. I dobrze, przecież wcale mu na tym nie zależy.

Nagle w uliczny hałas wdziera się klakson samochodu. Jest na tyle głośny, że budzi Borysa, a Klausowi podnosi ciśnienie. Mały z miejsca zaczyna się drzeć wniebogłose, macha rączkami i wierzga nóżkami. Klaus nie wie, co robić. Jest wściekły na trąbiącego idiotę, rozgląda się bezradnie w nadziei, że Sasha usłyszy ten wrzask i wybiegnie ze sklepu. Ale nic takiego się nie dzieje. Zaczyna więc potrząsać wózkiem – maluch jeszcze głośniej krzyczy. Chryste, myśli, jak głośno taki mikrus może się drzeć?!

W końcu nachyla się nad wózkiem i usiłuje zrobić jakąś głupią minę w nadziei, że może to smarkacza uspokoi. Gdzie tam. Borys drze się o poziom wyżej. Na litość boską! Klaus czuje, że oblewa go zimny pot. Nagle ktoś trąca go w ramię. Ogląda się gotów warknąć na intruza.

– No weźże pan w końcu dzieciaka na ręce! – tłumaczy jakaś kobieta. – Z księżyca żeś się pan urwał, czy co?

Klaus słucha polecenia jak automat. Zdjąłby nawet gacie, gdyby mu ktoś teraz kazał. Zrobiłby wszystko, byle tylko uciszyć tę wrzeszczącą wniebogłose parówkę. Szarpie się z paskami, chwytą małego pod pachy i wreszcie ma go przy sobie.

Borys milknie.

Co za ulga, cieszy się Klaus i niemal czuje, jak z serca spada mu kamień. Nie wie tylko, co dalej. Ma go przytulić, pohańcać? A jak się wyślizgnie?

– Klaus – słyszy nagle za sobą głos Sashy. – To nie mina przeciwczołgowa, możesz go przytulić. Chyba cię lubi.

– Myślisz? Bo przed chwilą miałem wrażenie, że w wózku leży syrena alarmowa.

– Ale, jak widzę, poradziłeś sobie. Przepraszam cię, ale była kolejka do kasy.

Klaus tylko się uśmiecha. Przytula dziecko, a kiedy Sasha wyciąga po niego rękę, mężczyzna mówi:

– Weź wózek, a ja go poniosę, szybciej stąd wyjdziemy. Trochę pokrzyczał, ale dałem sobie radę. Prawda, koleżko? – Zagląda w oczy dziecka. – Jasne, że tak.

– Nawet ci pasuje, wiesz?

Klaus chce wierzyć, że tak właśnie jest. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby taka była prawda.

Nad rzeką, dokąd docierają po około kwadransie, spędzają blisko godzinę. Borys znowu śpi, a oni głównie milczą. Ale jest to ten rodzaj milczenia, kiedy dwoje ludzi nie musi używać słów, by się rozumieć. Klaus dochodzi do wniosku, że takie życie bardzo by mu odpowiadało.

3.

Jest czwarta po południu. W czasie upałów to paskudna pora, bo ziemia zaczyna wtedy oddawać zgromadzony od rana gorąc. Lipiec bije w tym roku kolejne rekordy pod względem temperatur, teraz więc ma się wrażenie, że świat skwierczy jak na patelni. Klaus i Zofia zaledwie pół godziny wcześniej wysiedli z samochodu. I chociaż spędzili w nim raptem półtorej godziny, przez zepsutą klimatyzację oboje czują się tak, jakby czas ten spędzili w foliowym worku na zwłoki. Nic dziwnego, że w głowie Klausa huczy, a w żołądku lęgnie się bestia głodu. I to irytujące przekonanie graniczące z pewnością, że lada moment od strony potylicy wpełźnie mu do głowy fala bólu niosąca ze sobą uczucie mdłości. Klaus żałuje teraz, że nie zjadł na jakiejś stacji benzynowej byle hot doga. Wystarczyłby nawet mały baton...

– Klaus, co z tobą? – słyszy i powraca myślami do rzeczywistości. – Jakiś błąd się zrobiłeś. Dobrze się czujesz? Może to przez tę wodę?

Zofia przygląda mu się badawczo, trochę zalęknionym wzrokiem, za czym Klaus nie za bardzo przepada.

– Szczerze? Jak schodzony pantofel – mruczy. A po chwili dodaje: – I nie przez żadną wodę, daj spokój. Przecież wiesz, że u nas leci czysta. Jestem zły na siebie, bo tu zawsze czeka się na wolny stolik, mogliśmy jednak coś zjeść po drodze. Albo pojechać kawałek dalej. Przy drodze jest super miejsce z polową grochową. Głupek ze mnie. Miałaś rację.

– No cóż... – wzdycha Zofia. – Odkąd cię znam, drogi chłopcze, zawsze stawiasz na swoim.

W holu zamku Czocha, gdzie stoją już od dobrych kilkunastu minut, roi się od ludzi. Klaus ma wrażenie, że oddycha już nie powietrzem, a zduszoną mieszanką ludzkiego potu i dobiegających z zaplecza hotelowej restauracji zapachów kuchennych. Jedni wchodzą, drudzy wychodzą, inni stoją w miejscu i się wiercą, jeszcze inni wciskają się do małego sklepika z pamiątkami. Wszyscy dyszą, sapiają, ocierają się... Jest jak w tramwaju w godzinach szczytu.

Klaus i Zofia czekają jednak, aż w restauracji zwolni się stolik. Są już pierwsi w kolejce, co jest wielkim szczęściem, a zarazem męką. Myśl o tym, że lada chwila będą mogli wreszcie usiąść, napić się przyzwoitej kawy i zjeść, ale jeszcze nie w tym konkretnym momencie, tylko potęguje irytację Klause.

– Z Martinem wszystko okej? – nagle chce wiedzieć, głównie po to, żeby zabić to cholerne oczekiwanie, po trosze jednak i dlatego, że chłopak Klary wydawał mu się rano jakiś nerwowy, nieswój. Jakby coś dupka kłuło w tyłek.

– No wiesz... miewa czasem swoje humory. – Zofia marszczy czoło. – Taki typ – uśmiecha się.

– No popatrz, a to Klara mówiła, że jest w ciąży. Może nakarmiła go tymi swoimi grzybkami?

– Żarty ci tylko w głowie, Klaus, a on rzeczywiście ma chyba jakiś problem, pewnie w tej swojej robocie. Nic tylko z ćpunami się zadaje. A wiesz... kto z kim przestaje...

– Z ćpunami to on ma raczej niewiele wspólnego jako informatyk. Jak tak pomyśleć, to praktycznie nic o nim nie wiemy. Przynajmniej ja. No co? – Patrzy na Zofię, która kręci z dezaprobatą głową, i za chwilę dodaje: – Jakoś szybko im poszło.

– Co masz na myśli?

– No to, że mieszkają już razem. Wystarczyło niecałe pół roku. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się takiego tempa.

Zofia wydaje się zdziwiona.

– Klaus, jakie pół roku? Znają się dwa razy dłużej. Jak zwykle nic nie wiesz. Klara poznała go na tych swoich przebieżkach w parku. Chyba się z miejsca w niej zakochał, bo już na drugi dzień przyszedł do nas z kwiatami, później codziennie ją gdzieś zapraszał, a wiesz jaka Klara jest nieufna. Co ja ci mam zresztą tłumaczyć. Za tą swoją Lizą też biegałeś jak pies z ubitą nogą.

No, fakt – myśli Klaus. Szkoda, że sobie wtedy drugiej nie ubił...

Znowu ta Klara. Od wczorajszej rozmowy z Lizą wciąż mu się gdzieś płacze po głowie. Jak fragment zasłyszanej melodii, od której nie da się uwolnić.

– Klaus, ty naprawdę źle wyglądasz. – Zofia znowu lustruje go wzrokiem.

Klaus nie lubi takiego „skanowania”, nawet w wykonaniu drugiej matki. Ma wrażenie, jakby czytała w jego myślach. Tak jak wtedy, kiedy rąbnął jej ten nieszczęsny portfel z kasą.

– Nic mi nie jest, naprawdę – przekonuje. – To tylko z głodu i zmęczenia. Mam już po dziurki w nosie tego upału. Nie masz się czym martwić.

– Niby nie, ale dzisiaj już młodszy od ciebie umierają na zawał, więc chyba powinieneś się jednak bardziej oszczędzać. Na przykład jeść coś w ciągu dnia, a nie czekać, aż ci cukier spadnie do zera.

Klaus zerka na nią i musi przyznać, że Zofia nie wygląda na swoje lata. Gołym okiem widać, że nawet jeśli wzbraniała się przed przyjazdem tutaj, to teraz jest szczęśliwa. Nawet jazda w tym cholernym piekarniku za bardzo się na niej nie odbiła, myśli z podziwem. Żeby jeszcze nie widziała w nim, tak jak Klara, wszystkich chorób świata i nie świdrowała go tak wzrokiem...

– Za to ty wyglądasz świeżo jak bułka wyjęta z pieca – mówi, trochę na odczepnego.

Zofię to rozśmiesza.

– Chyba raczej spieczona od słońca. Praży już drugi miesiąc. W Niemczech było chyba jeszcze cieplej, co?

Klaus potwierdza skinieniem głowy. Chyba zbyt gwałtownym, bo znowu czuje, że jeśli zaraz czegoś nie zje, ból jednak go dopadnie.

Zły jak osa przypomina sobie, że chociaż nie ma na to ochoty, dobrze byłoby zadzwonić do Lizy i sprawdzić, co się z nią dzieje. Przeprasza Zofię, odchodzi na bok. Dowiaduje się, że jego była żona plądruje właśnie regały w Biedronce, bo – jak twierdzi – na samej kawie i tostach długo nie pożyje. No coś takiego, myśli Klaus. Ja jakoś wciąż żyję. Na koniec przypomina jej, żeby się nigdzie więcej na razie nie ruszała i zanim Liza zdąży cokolwiek odpowiedzieć, rozłącza się.

Rozmowa przywołała mu też najważniejsze pytanie: co przez wrzucenie nieszczęsnego kamienia do pokoju Lizy gnojek z Paryża chciał właściwie osiągnąć? Przestraszyć go? Dać mu do zrozumienia, że wziął go na widelec? Co sukinkot planuje dalej? Sądzi, że Klaus odda mu znaczki? Jeśli tak, to sukinsyn może o tym zapomnieć.

4.

Ledwo kończy te rozważania, a kelnerka daje im znać, że mogą zająć stolik. Klaus ociera pot z czoła i wlecze się niczym skazaniec we wskazane miejsce. Z każdym krokiem czuje, że gromadzone od rana napięcie się ulatnia. Nareszcie, bo dłużej by tego nie wytrzymał.

Zanim dane jest im usiąść, dzwoni jego komórka. Klaus niechętnie, ale odbiera. Po chwili kiwa głową i kończy rozmowę, mówiąc uprzejmym tonem, że jest im bardzo miło i oczywiście skorzystają z zaproszenia.

Siadając przy stoliku, spogląda na Zofię i wyjaśnia, że dzwonił dyrektor zamku i właśnie był łaskaw zaprosić ich na obiad.

– Nieźle, co? – dodaje.

Trochę jest tym aktem uprzejmości zaskoczony, bo co prawda wcześniej umawiał się na spotkanie – musi przecież dyrektorowi powiedzieć o pustej skrytce – ale dopiero na jutro. Narzekać jednak z tego powodu nie zamierza. Cieszy się, że przynajmniej zjedzą obiad bez tłumu ludzi na karku.

– No nie! Sam dyrektor! Ty to masz chody, Klaus. Szkoda, że nie zadzwonił wcześniej. Ale wiesz co? Skoro już się tu dostaliśmy, zamówmy chociaż kawę, nie oddamy chyba teraz tego miejsca bez walki.

Klaus rechocze.

– Nigdy bez walki, tak jest!

Kawa pojawia się w ciągu kilku minut. Chwyta filiżankę, jakby to była dłoń ukochanej kobiety, unosi ją nieco, delectuje się bijącym z niej aromatem i w tym samym momencie odczuwa nagłe uderzenie w łokieć. Kawa, co by nie mówić, zgrabnie wystrzela z filiżanki i omijając o włos Zofię, ląduje z pluśnięciem na podłodze.

Klaus jest tak zaskoczony, że dopiero po chwili odzyskuje mowę.

– Skurczybyk nawet się nie obejrzał. Widziałaś? Co za burak...

Sprawca tymczasem jest już na drugim końcu sali i nachylony nad stolikiem wykrzykuje coś do jakiegoś człowieka. Macha przy tym rękami. Z daleka wygląda to tak, jakby żądliły go osy. Klaus nie skupia się nad szczegółami tej awantury, wciąż nie mogąc ochłonąć ze zdumienia. Ma wrażenie, jakby ten nieokrzesany i narwany idiota odebrał mu najcenniejszą rzecz pod słońcem. W końcu spogląda jednak w kierunku stolika, gdzie trwa nadal, tym razem już znacznie ciszej, ostra – sądząc z gestykulacji obu mężczyzn – wymiana zdań. Nie on jeden zresztą się przysłuchuje, bo nagle na sali robi się cicho. Ciekawość to jednak wrodzona cecha naszego gatunku – myśli Klaus. – Nic tak człowieka nie podnosi ponoć na duchu, jak świadomość tego, że to, co złe, przytrafia się wszystkim, tylko nie nam. Brawo dla tego pana!

– Chodźmy jednak do naszego dyrektorka – decyduje nagle i z nieukrywanym wysiłkiem podnosi się z krzesła. Czuje się jak staruszek.

5.

W gabinecie Franciszka Maya, pierwszego VIP-a zamku, w niewielkiej klitce zastawionej starymi meblami pełnymi równie starych ksiąg, panuje przyjemny chłód. Na kawę nie muszą już na szczęście czekać, bo stoi na stole wciśniętym pod okno, roztaczając przyjemny aromat. Dyrektor wita ich, jakby byli gośćmi z Emiratów Arabskich. Jego wylewność drażni nieco Klause. Nie przepada za ludźmi, którzy aż tak manifestują swoją grzeczność. Zawsze przy takich okazjach ma wrażenie, że trąci to nieco fałszem. Dyrektor rozpląwa się tymczasem w achach i ochach i Klaus czeka cierpliwie, aż ta zamkowa szycha w końcu wyczerpie swój powitalny repertuar. Po kilku minutach nadchodzi ten moment i oboje z Zofią mogą wreszcie klapnąć przy stole.

– Dobrze was widzieć. – Szczerzy tymczasem zęby May. – Ale pani Zosi to już lata u nas nie było. To miło, że postanowiła nas pani znowu odwiedzić. Trochę się tu

u nas zmieniło od tego czasu.

– Na szczęście nie przebudował pan zamku – żartuje Zofia.

– Zamku nie, ale cały czas coś tu robimy. Takie czasy, że siedzieć beczynnie się nie da.

– Chce pan już teraz porozmawiać o naszych sprawach? – pyta Klaus, kiedy już niemal do końca opróżnił filiżankę z kawy i o dziwo, nic mu jej nie wytrąciło z rąk.

– Nie, nie! – May unosi ręce, jakby bronił się przed atakiem. – Broń Boże! Tak, jak się umówiliśmy, zostawiamy to na jutro, jak już się zrobi spokojniej. Czekałem rok, to mogę jeszcze trochę. – Milknie, ale nie na długo, bo zaraz dodaje radośnie:

– A teraz, moi drodzy, co zjecie? Po podróży...

Klaus jest tak głodny, że zjadłby nawet stary but, byle tylko był odpowiednio doprawiony. Zamawia jednak sprawdzone w zamku danie – pierogi z mięsem. Zofia nie wybrzydza i prosi o to samo, tyle że pół porcji, co zdumiewa Maya.

– Co tak skromnie, Pani Zofio? – Dyrektor wydaje się zawiedziony. – O sylwetkę to pani się obawiać raczej nie musi.

Zofia tłumaczy, że to taki babski trick, najlepsza dieta pod słońcem – jeść zawsze połowę tego, co człowiek mógłby zjeść.

– No proszę! Kobiety mają swoje sposoby. Może też spróbuję. – May zerka na swój mocno wypukły już brzuch, a później na Klause, i zadowolony, dodaje: – A pan to chyba na co dzień zjada połowę z połówki, co? – Rechocze w najlepsze.

Klaus wzrusza jedynie ramionami, chociaż korci go, aby powiedzieć z całkiem poważną miną, że niestety, ale ma robaki w brzuchu, więc nigdy nie będzie miał takiego jak on, żeby sprawdzać przed lustrem co ma pod spodem. Chciałby wtedy widzieć minę mądrali.

May składa tymczasem telefonicznie zamówienie, przeprosza ich, że dopiero teraz się odezwał, ale – jak wyjaśnia – jest zarobiony po pachy w związku z festiwalem magii, jaki się właśnie w zamku odbywa, zabawia też rozmową Zofię.

Klaus słucha tego gładzenia jednym uchem. Myślni jest raz z Sashą nad rzeką, raz z Lizą w pokoju z rozbitą szybą, to znowu z wyrodnym ojcem. Przychodzi mu do głowy, że jak na te parę dni, to całkiem sporo zdążyło się już wydarzyć. Ale najważniejsze i tak nastąpi dopiero jutro, kiedy zajrzy wreszcie do skrytki w zamku. Nie może tego zrobić wcześniej, chociażby jeszcze dzisiaj, bo dopiero od jutra część zamku, w której znajduje się schowek Gutschowa, zostanie na nowo udostępniona do zwiedzania. Klaus mógłby oczywiście dostać się tam i teraz. Ale po co ma ryzykować, że się na kogoś natknie? Myśli więc o znaczkach, o tym, co zrobi dalej ze swoim życiem, kiedy nagle dociera do niego to, co mówi właśnie May:

– ...esz, Klaus, że znowu trafiliśmy na parę ciekawych miejsc?

– Tak? – W jednej chwili Klaus wraca do „tu i teraz”. Ma nadzieję, że ten dowcipniś nie mówi mu o jakichś nowych schowkach na przykład. To byłoby jak pieprzona maksyma jego ojca złodzieja. – Jakieś skarby? – Próbuje się uśmiechnąć.

– E, żadne tam cuda, jak na razie. To dwie puste komnaty i nic więcej. Kustosz zna szczegóły, jakbyś był zainteresowany.

Klaus niemal słyszy huk spadającego mu z serca kamienia. Znaczkę są ukryte w miejscu, gdzie zaglądać mają turyści, więc nie o nie, na szczęście, chodzi. Dyrektorowi mówi tymczasem, że oczywiście zapyta pana Henryka o konkrety, dodaje też, że co do jego poszukiwań związanych ze skrytką, do której się włamano, to na pewno finał jest ciekawy.

– Pewnie będę zaskoczony – przypuszcza May.

Mam nadzieję, myśli Klaus.

Kolejne minuty to już tylko dźwięki, jakie wydają talerze, kiedy zmiata się z nich jedzenie. Chwilę później Klause ogarnia błogie uczucie sytości i czuje, że mógłby zasnąć. Powieki same mu opadają i walka z nimi staje się coraz trudniejsza.

Z opresji wybawia go Zofia, wstając nagle od stołu ze słowami podziękowania.

– Chyba już pójdziemy do hotelu – oznajmia, rzucając przy tym ukradkowe spojrzenie w kierunku Klause. – Było miło i jeszcze raz dziękujemy za poczęstunek.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Zosiu – zapewnia uprzejmie dyrektor. – Proszę mnie jeszcze odwiedzić. No i strasznie jestem ciekaw, co w końcu wyniuchałeś, Klaus. Taaak... same tajemnice mnie tu otaczają.

Nie jesteś w tym osamotniony, niestety – w myślach dodaje Klaus.

6.

W pokoju hotelowym Klaus z miejsca bierze szybki prysznic, po którym czuje się o niebo lepiej. Później rozpakowuje walizkę i zawartość upycha na jednej półce. Korci go, aby rzucić się na łóżko i mimo wszystko zdrzemnąć z godzinę. Postanawia jednak zajrzeć najpierw do Zofii. Chce wiedzieć, czy niczego jej nie brakuje. Ich pokoje znajdują się obok siebie w części zamku, która mieści się tuż przed wejściem głównym do zamkowego holu. Są tu jeszcze dwa inne pomieszczenia mieszkalne i wyraźnie słychać, że są również zajęte. Zza jednych drzwi dochodzą głosy bawiących się dzieciaków, w drugim pokoju pewnie jakiś domorośły czarodziej powtarza zaklęcia. Co za cyrk, przemyka Klausowi przez głowę. Żeby w takim zamku urządzać festiwal magii.

Wychodząc, zamyka dla pewności drzwi na klucz, po czym puka delikatnie w te obok.

– Wejdz, właśnie robiłam porządki w moich rzeczach – słyszy wraz z uchylającymi się drzwiami.

– To niemożliwe, żebyś miała bałagan – śmieje się Klaus.

– Nie o to chodzi. Nie miałam bałaganu, a teraz jest. – Zofia przerywa układanie tego, co na kupie leży obok walizki i ze strachem spogląda na Klause. – Nie uwierzysz, ale nie ma moich kart do pasjansów. Dałabym głowę, że je zabrałam.

– Nooo, to poważna sprawa – kpi Klaus. – Bez tego może nie być przyszłości!
– Żarty sobie stroisz, a ja jestem pewna, że je pakowałam do walizki. Może ktoś je zabrał.

– No wiesz, w sumie to chyba dzięki temu zacznę wierzyć w te twoje pasjanse.
Zofia przerywa szperanie w walizce, unosi brwi i patrzy wyczekująco na Klause.
– No tak. Przecież ostatnio wyszło ci w kartach, że czeka nas jakaś kosmiczna katastrofa, nie pamiętasz?

– Klaus! Zawsze musisz kpić? Nie śmiej się z tego, bo będzie jeszcze gorzej.
Klaus kiwa głową i siada na oparciu fotela.
– Daj spokój, kupimy inne. Karty to karty. Na pewno są w tutejszym sklepiku.
– Ale co się stało z moimi? Mówię ci, że je wkładałam do walizki. O tutaj. – Zofia wskazuje palcem brzeg kufra. – I nie ma ich. Może ktoś tu był?
– Po co ktoś miałby ci tu robić przeszukanie? Dla talii kart?!
– Ty mi powiedz. Skąd ja to mam wiedzieć?! Jakiś zboczeniec, czy co?
– No wiesz... – waha się Klaus. – Różni są ludzie. Ale... – na chwilę milknie – ... coś mi się wydaje, że ten ktoś być może pomylił pokoje, hmm... Może chodziło mu o mnie.

Zofia na dobre przerywa układanie ubrań i siada na łóżku.
– Myślisz? Ale dlaczego, na litość boską?
– Nie wiem. Może chodzi o tę cholerną skrytkę. Już w Niemczech miałem wrażenie, że ktoś się koło mnie kręci.
– Żartujesz! I co teraz? Mam zadzwonić na policję?
– A coś ci skradziono oprócz kart? Jeśli w ogóle skradziono?
– Nie, chyba nie. Nic tu zresztą cennego nie mam. Ale te karty...
– To na razie to zostawmy. A karty na pewno się znajdują. Jak nie tutaj, to w domu. Nikt by nie kradł starych kart.

– Skoro tak mówisz... Klaus, czy to wszystko jest bezpieczne? Nic ci się nie stanie?

Klaus przywołuje swobodny uśmiech na twarz, chociaż do śmiechu wcale mu nie jest. Najpierw Liza, teraz być może jakieś włamanie dla postrachu... Raczej w to nie wierzy, ale tak czy inaczej Francuz wyraźnie z nim pogrywa.

Spogląda na Zofię i widzi jej zmartwioną minę, a jeszcze chwilę temu na jej twarzy malowało się szczęście. I to go wkurza.

Tymczasem uspokaja Zofię:
– Oj, nie martw się na zapas – prosi. – To nie afera szpiegowska. Zresztą mógł to być zwykły przypadek, no wiesz... jakiś włamywacz po prostu. Wszedł, poszperał, nic ciekawego nie znalazł, zobaczył karty, może coś mu się w nich spodobało i poszedł sobie. I pewnie tak było. Nic nadzwyczajnego w sumie.

– No dobrze – wzdycha Zofia. – Niech tak będzie.

Klaus odczuwa ulgę i żeby uciąć już do końca wątek włamania, zmienia temat. Prosi Zofię, żeby mu opowiedziała o jego rodzinie. Sam nie wie, skąd mu przyszedł do głowy akurat ten pomysł, ale przyszedł. Może to pokłosie spotkania z ojcem?

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – tłumaczy.

– Bo nigdy o to nie pytałeś... A sama jakoś nie miałam odwagi zaczynać... – Milknie, a później dodaje: – Co chciałbyś wiedzieć?

– Sam nie wiem. – Klaus wzrusza ramionami. – Może to, czy ojciec zawsze pił? Kiedy poznałaś moją mamę? Jaka była? No wiesz... Wiem tylko to, co mi powiedziała o dziadku, nic więcej nie pamiętam.

7.

Godzinę później Klaus leży w łóżku i żałuje, że zadał Zofii to cholerne pytanie. Co go podkusiło? Przez tyle lat nie interesowało go, co było kiedyś. I jakoś z tym żył. Teraz dochodzi do wniosku, że niektórych prawd lepiej nie poznać. Że jest z nimi tak, jak z nieznanymi potrawami. Dopóki nie wiesz, że istnieją, nie znasz ich smaku, niczego nie żałujesz. Żyjesz sobie w błogiej nieświadomości. Ale wystarczy raz posmakować i myśl o nich będzie się za tobą snuła niczym nić z poprutego swetra.

Od Zofii dowiedział się, że w jego rodzinie wszystko zaczęło się psuć niedługo po tym, jak Klaus się urodził. To wtedy jego ojciec zaczął pić, wkrótce stracił pracę, wpadł w złe towarzystwo – jak tłumaczyła to Zofii matka Klause, żeby chociaż trochę usprawiedliwić męża – w końcu zaczął kraść.

– Trochę to wyglądało, Klaus, tak jakby twój ojciec winił cię za swoją nieudolność, za wszystkie niepowodzenia – tłumaczyła mu Zofia. – Dlatego był dla ciebie taki... no sam zresztą wiesz jaki. Jak nie ojciec. Przynajmniej ja tak to odbierałam. Twoja mama też się zmieniła. Już nie spotykała się ze mną tak często i przekonywała, że ma coraz więcej pracy, bo Ernest jej już w domu nie pomaga. Ale ja czułam, że coś ją w środku gryzie. Nigdy mi nie powiedziała, czy tak było naprawdę. A może po prostu nie zdążyła...

Zofia wyprowadziła go też z błędu, bo do tej pory był przekonany, że znały się z jego mamą od dziecka. Okazało się, że jego matka znała się najpierw z mężem Zofii i to on poznał ją z mamą Klause. Niczego to, rzecz jasna, nie zmieniało, jednak Klaus uświadomił sobie dzięki temu, jak wiele jeszcze rozmów musi odbyć z Zofią, żeby wypełnić luki z przeszłości. Nie wie tylko, czy naprawdę tego chce.

Tymczasem gasi nocną lampkę i obraca się na lewy bok. Na lewy, bo ciągle gdzieś czyta, że to najzdrowsza pozycja do spania. Podobno kiszki nie stają wtedy na głowie. Kij z nimi, myśli po chwili i przekręca się jednak na prawą stronę. Tak jest mu jakoś wygodniej. Ma nadzieję, że szybko zaśnie i przestanie myśleć o tym, że pojawiając się na świecie, namieszał staremu we łbie. Pewnie biedaczek wpadł w depresję, kpi w myślach

Usiłuje zasnąć, chociaż wie, że to dopiero dwudziesta pierwsza. Nigdy tak wcześniej się nie kładzie, ale dzisiaj czuje się jak wymłócony kijem. Chce się porządnie wyspać. Ale rozpraszają go myśli o Sashy, matce, Klarze, Lizie i tysiącach innych spraw. Są jak namolne muchy. Zamyka oczy i skupia się na dźwięku, jaki wydają liście muskane delikatnym powiewem wiatru. Cichy szum dobiegający zza otwartego okna w końcu go usypia.

8.

Budzi się nagle z uczuciem wewnętrznego lęku i przez dobre kilkanaście sekund usiłuje przypomnieć sobie, gdzie jest. Ledwo to sobie uświadamia, czuje, że coś go kłuje w piersiach. „Młodszy od ciebie, Klaus, miewają zawały” – w głowie odzywa się mu głos Zofii, a wraz nim napływa fala strachu. Na moment ogarnia go panika. Szybko jednak odpycha od siebie to uczucie, wie, że jeśli się mu podda, rozleje mu się po całym ciele. Bierze głęboki wdech, jeden, drugi, trzeci i nareszcie się uspokaja. Chce wierzyć, że to wina jakiegoś sennego koszmaru. Zerka na telefon i ze zdziwieniem stwierdza, że jest trzecia nad ranem. Obudził się w środku nocy, w dodatku wyspany. Teraz nawet smęcenie samego premiera nie ukołysałoby go do snu. Tylko o co chodzi z tym cholernym ukłuciem? – zastanawia się i uznaje, że na pewno był to jakiś rodzaj nerwobólu. Podświadomie wie jednak, że być może nie jest tak do końca, że może faktycznie coś mu się szykuje z sercem, ale – oczywiście – z miejsca wypiera czarne myśli, bo uważa się za okaz zdrowia. Klara na jego miejscu pewnie czekałaby już w kolejce do przeszczepu serca. Nie ma więc zamiaru być jak ona. Na dobrą sprawę nigdy jeszcze w całym swoim dorosłym życiu nie miał nawet podwyższonej temperatury ciała. Szlag go więc tak szybko nie trafi.

– Sranie w banie – chichocze na te myśli do pustego pokoju.

Leży jednak nadal w ciemnościach na plecach i mimo wszystko usiłuje ponownie zasnąć. Nie bardzo mu to wychodzi, bo wciąż odbija jak rakieta tenisową dziesiątki różnych myśli, które pojawiają się nagle znikąd, jedne do drugich pasujące jak pięść do nosa. Wkurzony, po jakichś dziesięciu minutach postanawia wstać. Na sen i tak już nie ma szans.

Człapie więc najpierw do toalety i łazienki, później zmienia ubranie i stojąc pośrodku pokoju zastanawia się, co z sobą zrobić. Zahacza wzrokiem o telewizor i postanawia sprawdzić, co o tej porze serwuje się nocnym markom.

Trafia na jakiś teleturniej. Widzi upstrzoną kolorowymi światłami scenę, a na niej dwie siedzące naprzeciwko siebie młode kobiety. Obie dosyć atrakcyjne, gdyby nie usta podobne do żabich. Panie kłócą się zawzięcie o to, która bardziej kocha, jak sądzi Klaus, jakiegoś tajemniczego faceta. Po dziesięciu minutach wsłuchiwanie się w argumenty kobiet, Klaus dochodzi do wniosku, że jedna z nich musi być albo żoną tego gościa, może stałą partnerką, a druga chyba jego kochanką. Po każdym wątku

sprzeczki prowadzący program rejestruje natężenie oklasków publiczności i przydziela punkt tej kobiecie, która zdobyła największy aplauz. Klaus domyśla się, że w całym tym programie chodzi o to, która z kobiet o żabich ustach będzie mogła zostać z partnerem. Czy widział kiedykolwiek coś bardziej głupiego? W dodatku w środku nocy? Nie przypomina sobie. Ciekawsza już byłaby reklama proszku do prania.

Wyłącza telewizor przekonany, że jeszcze pięć minut łykania tego gówna i nie zaśnie przez najbliższy tydzień.

Postanawia wyjść. Sprawdza czy ma w kieszeni papierosy i opuszcza pokój.

9.

Na zewnątrz cisza kłuje w uszy. Klaus przystaje na kamiennym moście wiodącym do głównego wejścia do zamku, zapala papierosa i spogląda w niebo. Miliardy gwiazd mrugają do niego filuternie, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że życie to w istocie jedna wielka farsa, w której ludzie, czy chcą, czy nie, pełnią rolę aktorów. Przychodzi mu to na myśl, bo wchodząc w tę bezwietrzną, duszną noc, znowu pomyślał o swoim ojcu. Czy on też gra tylko jakąś rolę, czy naprawdę chce się z nim spotkać z potrzeby serca? Klaus nie ma pojęcia. Przez moment rozważa za to myśl, aby wycofać się już teraz. Dać sobie spokój ze znaczkami i całą resztą. Po chwili sam się z tego śmieje – nie jest aż takim frajerem, żeby rezygnować z kilku milionów euro. Nic by mu to zresztą nie dało, bo ci, którzy postanowili go wytropić i zemścić się, i tak by nie przestali działać.

Kończy palić, przydeptyje niedopałek i wolno rusza przed siebie. Przychodzi mu ochota zajrzeć nad małą zatoczkę tuż przy zamku – jest tam stara, zdezelowana ławka, dziurawa łódź odwrócona dnem do góry i nic więcej. Fajne miejsce na oczekiwanie na wschód słońca i zabicie resztek nocy bezmyślnym gapieniem się przed siebie.

Wydostaje się na zewnątrz zamkowego terenu i skręcając dwa razy w prawo, maszeruje wolno alejką wzdłuż muru. Od zawsze lubi to miejsce, bo dopiero tutaj, zerkając na kilkumetrowej wysokości mury, dociera do człowieka, jak potężny był zamek Czocho. Ile kunsztu i pracy musiano włożyć w budowę tej warowni. Ciekawe, myśli, co za kilkaset lat pozostanie po nas? Wirtualne chmury w komputerowych serwerach?

Rozmyślając o problemach natury egzystencjalnej, Klaus mija w końcu niepostrzeżenie zejście nad zatoczkę i nagle znajduje się na tyłach zamku pod czymś, co do złudzenia przypomina basztę. Zaczyna się powoli rozwidniać, chociaż słońce wciąż jeszcze skryte jest za horyzontem. W tej magicznej chwili, kiedy noc jeszcze jest ważniejsza od dnia, ale ten uparcie spycha ją na drugą stronę kuli ziemskiej, Klaus omiata wzrokiem jakiś przedmiot leżący kilka metrów przed nim. Wygląda na

płaski głaz, a może to zwykła gra światła i cienia. Zaintrygowany podchodzi bliżej i nagle staje jak wryty w ziemię – patrzy na leżące, nieruchome ciało. Nie ma żadnych wątpliwości, że to martwe ciało. Kilka trupów w życiu zdarzyło mu się już widzieć z bliska. Ciemna plama krwi otacza głowę i spływa cienką strużką na krawędź niedalekiego urwiska.

– Ja pierniczę! To jakieś jebane fatum! – wyrywa się mu.

Zadziera głowę w górę i widzi uchylone okno. Znowu spogląda na ciało. Myśli, że nieboszczyk albo spadł, albo ktoś mu zdrowo przyłożył w czaszkę. Albo ktoś go wypchnął i kazał frunąć w pizdu. Myśli też, że musiało się to stać całkiem niedawno i że ma kurewskiego pecha, że akurat teraz zachciało mu się nocnych spacerów. Szczęście tylko w tym, że nie przylazł tu wcześniej, bo równie dobrze mógłby teraz leżeć pod tym gościem rozplaszczony jak żaba.

Przez chwilę Klaus sprawia wrażenie zahipnotyzowanego. Wygląda jak odlany z brązu. W rzeczywistości rozsądza, czy powinien odejść i pozwolić, aby ktoś inny odkrył ciało, czy też od razu powiadomić policję. W końcu decyduje się na drugie rozwiązanie. Co prawda nie zna denata, ale jego twarz nie jest mu obca.

Rozdział 7

1.

Dochodzi siódma rano, kiedy dojeżdża do siedziby komisariatu w Leśnej. Mimo tak wczesnej pory słońce zdążyło już podnieść temperaturę do blisko dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Zapowiada się kolejny upalny dzień. Jeszcze nie ma duchoty, ale kiedy Klaus uświadamia sobie, że za parę godzin powietrze będzie jak mokra szmata, aż wzdycha z rozpaczy. W takim klimacie nie da się normalnie myśleć. A myśleć musi, i to intensywnie. Nie obawia się, rzecz jasna, wizyty w komisariacie, bo ma to być rutynowe składanie zeznań w charakterze świadka. Klaus nie ma tu nic do ukrycia. Nie bardzo wierzy, że ktoś może go wypytywać o jakieś inne jego sprawy. Osobiście nie jest jednak przekonany, że – tak jak sugerowano to na miejscu zdarzenia, kiedy przyjechał pierwszy policyjny patrol – był to nieszczęśliwy wypadek. To na denata naskoczył przecież ten idiota, który który przy okazji potrafił go i wylał mu kawę z kubka. To dlatego skojarzył sobie jego twarz. Klaus jest poza tym wszystkim, ale wie, że w takiej sytuacji i tak musi zachować ostrożność. Diabli wiedzą – myśli – co się może zdarzyć.

– No dobra, zobaczymy – mruczy sam do siebie i parkuje naprzeciwko budynku komisariatu.

Wysiada z samochodu i sięga po papierosa. Jest umówiony na kwadrans po siódmej, ma więc jeszcze pięć minut. Pałac, chłonie spokój poranka, nieświadom tego, że już niedługo świat zwali mu się na głowę.

2.

Komisariat policji mieści się w starej, być może już zabytkowej kamienicy i gdyby nie czerwona tabliczka z godłem państwowym na frontowej ścianie, można by pomyśleć, że to kolejny na tej ulicy budynek mieszkalny. Z zewnątrz robi nawet przyjemne wrażenie, chociaż ząb czasu odcisnął już na nim w widoczny sposób swoje piętno. W środku jest już mniej przyjemnie i Klaus zaczyna się czuć nieswojo. Wcale go to nie dziwi – nawet człowiek czysty jak łaźnia świętego, zaczepiony na ulicy przez policję, z miejsca czuje się jak przyłapany na gorącym uczynku. Co dopiero Klaus... Zresztą – jaki komisariat policji może budzić przyjemne skojarzenia?

Klaus chce jak najszybciej zrobić swoje i wrócić do hotelu w zamku, gdzie na wieści o tym, co się zdarzyło, niecierpliwie czeka Zofia. Nie budził jej, wysłał tylko zdawkowo brzmiącego esemesa o tym, co się stało i dlaczego musiał na chwilę

wyjechać. Domyśla się, że teraz Zofia czeka na niego, przebijając z niecierpliwości nogami.

Niespodziewany dźwięk dzwonka w jego telefonie sprawia, że staje w miejscu, tuż przed drzwiami policyjnego gabinetu, w którym ma się zameldować. Nie patrzy nawet na wyświetlacz komórki i szybko odbiera.

– Klaus Ebeling? – Głos brzmi dziwnie tubalnie i Klaus z miejsca wie dlaczego. Ktoś przetwarza go za pomocą syntezy mowy. Wie o tym, bo sam parę razy korzystał z takiego urządzenia. Nastawia więc uszu pewien, że to ciąg dalszy akcji „rzut kamieniem”...

– Tak, z kim rozmawiam? – pyta. – Nie za bardzo mam te...

– Syn Ernesta?

– Może się pan przedstawić i powiedzieć, o co chodzi? I skąd pan ma mój numer telefonu?

– No wie pan, w dzisiejszych czasach cyfrowej technologii, mając nazwisko delikwenta, nie jest to trudne. A dzwonię z firmy windykacyjnej „Nie zwlekaj” i muszę potwierdzić najpierw, że pan to pan.

– To ja, delikwent we własnej osobie. – Klaus przewraca oczami i mało nie parska śmiechem. Jeśli to naprawdę jakiś odłam grupy bojowej „kamerdolców”, to cała sprawa zaczyna wyglądać na jakiś kabaret i nie ma się czym martwić. Co nie oznacza, że zaraz zadzwoni do Lizy i odwoła alarm. Trochę strachu jej nie zaszkodzi. – Teraz mogę się już dowiedzieć, o co chodzi? Bo się śpieszę.

– No tak, ale muszę jeszcze zapytać o panińskie nazwisko pana matki.

– Szymańska – Klaus rzuca pierwsze lepsze nazwisko, które przychodzi mu do głowy. – Numer buta też panu podać?

– Nie – głos w słuchawce brzmi całkiem poważnie. Klause naprawdę zaczyna bawić ta rozmowa i czeka na ciąg dalszy.

– Jest pan tam? – słyszy.

– A jak pan sądzi, panie „Nie zwlekaj”?

– Tak, no dobrze. Więc nie zapłacił pan w terminie mandatu i teraz, razem z kosztami, musi pan uiścić osiemset czterdzieści pięć złotych i dwanaście groszy na dzień dzisiejszy. Gdzie pan pracuje i jakie ma pan dochody?

A może jutro jutrzejsze... – myśli Klaus i odpowiada:

– Jestem zapyłaczem.

– Nie rozumiem, kim?

– Zapyłaczem. Zapyłam w robocie jak pszczołka. – Klaus czeka na reakcję, a kiedy widzi uchylające się drzwi i wychylającego się z nich mężczyznę, który stuka niecierpliwie palcem w zegarek, dodaje: – Proszę wysłać mi wezwanie do zapłaty na adres domowy.

– A jaki to adres?

– No wie pan, w dzisiejszych czasach, mając nazwisko, nie jest to trudne. I niech pan popracuje nad głosem. Żegnam.

Klaus przerywa połączenie i kręci z niedowierzaniem głową. To naprawdę kolejna odsłona aktu zemsty Francuza? Serio? Nie chce mu się w to wierzyć. Żabojad był zbyt wyrafinowany na takie szkolne zagrywki. Prędzej wynająłby cyngla i kazał Klausowi odstrzelić jak zająca na polowaniu. Tymczasem kamienie, telefony... Brakuje tylko pierdzących balonów, myśli. Jest tym coraz bardziej zdziwiony.

Tymczasem stoi wciąż w tym samym miejscu, słyszy, że telefon znowu dzwoni, wyjmuje go więc z kieszeni i uruchamia wyciszenie. Nawet nie zauważa, że w dłoni trzyma papierosa. Chowa go z powrotem do paczki i puka do drzwi.

W pokoju czeka policjant w cywilnym ubraniu. Klaus wie, że słyszał on jego rozmowę, dlatego nie dziwi go głupkowaty uśmiešek na twarzy gliniarza.

Witają się, Klaus pokazuje dowód tożsamości, po czym słyszy, że przesłuchujący go mężczyzna to komisarz Marian Więcek z komendy wojewódzkiej. Czyli pies rasy ekskluzywnej – myśli Klaus i od razu robi się bardziej czujny.

– Dziękuję, że pan przyjechał – mówi tymczasem komisarz i gestem wskazuje krzesło. – Proszę spocząć. No tak, wiem, że już raz pan o tym opowiadał mojej koleżance na miejscu, ale rozumie pan, takie mamy procedury, więc proszę jeszcze raz dokładnie opisać, co się działo aż do momentu przyjazdu policjantów.

Klaus zna te wszystkie procedury na pamięć, nie pierwszy raz jest przesłuchiwany, raz nawet jako podejrzany o kradzież obrazu, bo dał się dziecinnie wręcz wrobić w aferę, którą badał. Nie mówiąc już o czasach nastoletnich. Kiwa więc ze zrozumieniem głową, ale zanim zaczyna się spowiadać, prosi o mocną kawę. Akurat teraz, kiedy opadły mu już pierwsze emocje, na ich miejscu pojawiły się pierwsze oznaki sennałości.

Pięć minut później Klaus sięga po świeżo zaparzoną kawę i ma ochotę wlać ją sobie prosto w oczy. Upija kilka łyków i przez kolejny kwadrans opisuje ze szczegółami, co robił od momentu, w którym obudził się niemal w środku nocy, do chwili, gdy zrozumiał, że gapi się na umarlaka. Pomija jedynie swoje rozważania o gwiazdach i życiu. To akurat gliniarza nie musi interesować.

– Okej – mruczy po tych zwierzeniach komisarz i przez chwilę wklepuje ostatnie zdanie do komputera. Kiedy kończy, opiera się wygodnie na krześle i lustruje Klauza wzrokiem. – No dobrze... Ale właściwie, co pan tam robił o tej porze? Nie dziwi mnie, że miał pan ochotę wyjść na zewnątrz zapalić, sam jestem palaczem i nieraz, kiedy się w nocy przebudzę i nie mogę zasnąć, ja też podreptałbym gdzieś z petem w rękę. Po co pan jednak wychodził poza teren zamku? Wewnątrz jest sporo miejsca do spacerów. Chyba sam pan przyzna?

Klaus lekko unosi brwi i uśmiecha się kącikiem ust. Ma mu jednak powiedzieć, że musiał pomyśleć o życiu? Uznałby go za stukniętego.

– Wie pan – odpowiada po chwili – zawsze, kiedy jestem w tym zamku, a bywam tam od lat, spaceruję wzdłuż tego muru. I to o różnych porach. Bo mnie... cóż, fascynuje. Nie ma w tym nic tajemniczego.

– O tej porze większość ludzi jednak śpi.

– Być może. Ma pan w związku ze mną jakąś hipotezę?

Policjant poprawia się na krześle.

– Panie Ebeling... – Głos komisarza robi się o ton ostrzejszy. – Domyśla się pan, że zdążyłem do tej pory sprawdzić, czym na co dzień się pan zajmuje.

Klaus nic nie odpowiada. Wzrusza jedynie ramionami, po czym dopija kawę. Czeka, co będzie dalej. Teraz zaczyna się już na poważnie zastanawiać, po co właściwie kazano mu przyjechać. Procedury procedurami, ale skoro miało to być samobójstwo czy wypadek, to równie dobrze gliniarze mogli wziąć od niego oficjalne zeznanie na miejscu. I nie przysyłano by tu jakiegoś ważniaka. Czyżby go o coś podejrzewano?

Komisarz chwytając tymczasem leżący przed nim na biurku długopis i zaczyna go odruchowo obracać w palcach. Wydaje się podenerwowany spokojem Klausa.

– Tak więc wiem – mówi z lekkim przekąsem – że pana dziedzina to dzieła sztuki. Czy się mylę? – Robi przy tym minę, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

– Nie, dlaczego? To żadna tajemnica, że prowadzę małą galerię sztuki. I co z tego, panie komisarzu? Zginął człowiek, a nie obraz. Płacę podatki, czynsz, pensję pracownicy... Jaki to ma związek z tym nieszczęśnikiem? Nie rozumiem.

– A taki – triumf w oczach komisarza jest tak wyraźny, że Klaus aż chce się roześmiać – że gość, który wyrznął głowę w kamieniu z dziesięciu metrów, to znany policji złodziej, między innymi właśnie dzieł sztuki. Wiedział pan?

– Nie miałem pojęcia. – Klaus nie kłamie. – To rzeczywiście ciekawe. Złodziej dzieł sztuki, no, no. Kto by pomyślał, że akurat w zamku postanowił ze sobą skończyć?

– Sądzę, panie dowcipny, że to – komisarz wskazuje na Klausa palcem – nie przypadek, że obaj związani byliście z dziełami sztuki.

– Zaistniał zatem dość ciekawy, przyznaję, zbieg okoliczności. Ale w dalszym ciągu nie wiem, co miałbym mieć z tym wspólnego. Jestem o coś podejrzany?

Komisarz Więcek zrywa się nagle z krzesła, opiera rękoma o biurko i prawie krzyczy:

– Niech pan, do diabła, przestanie się wygłupiać! I powie, co ma z tym wspólnego! Ten człowiek nie zginął przypadkiem! Ktoś go wypchnął z tej cholernej baszty! I to chwilę przed tym, jak pan „przez przypadek” znalazł się obok muru!

Klaus zdaje sobie sprawę, że najrozsądniej byłoby się po prostu zatkać. Udać może oburzenie zachowaniem gliniarza, zrobić oczy jak sowa albo minę durnia z reklamy pasty do zębów. Ale ostatecznie nie może sobie odmówić małej złośliwości i z wyraźnym kpiącym uśmiechem na twarzy, mówi:

– Całe szczęście, że chwilę przedtem, a nie później, bo spadłby mi na głowę. Miałby pan teraz dwa trupy. I wie pan, co? – Opiera się łokciami o biurko i chwilę oczekuje. – Chyba pan nie czytał dokładnie raportu swojej koleżanki z miejsca zdarzenia.

– Bo? – Komisarz wraca na krzesło.

– Bo doczytałby pan, że zmarły dzień wcześniej, po południu, miał dosyć ostrą sprzeczkę z jakimś typem w hotelowej knajpie, który, nawiasem mówiąc, tak był nakręcony, że pędząc do niego przez całą salę, wytrącił mi kawę z ręki. Może to jest jakiś trop, co? Chyba że pan uzna, że to była moja zemsta za wylaną kawę.

– Może tak jest, a może nie. I tak będę miał pana na oku.

A miej sobie – myśli Klaus i wstaje. Pyta, czy komisarz ma jeszcze jakieś pytania. Bo chyba rozumie, że jest zmęczony i chciałby wrócić do hotelu, a w całej tej sprawie nie ma nic więcej do powiedzenia. Prosi też o kawałek kartki i długopis. Zapisuje na niej swój numer telefonu, zostawia na biurku i obiecuje, że w razie czego jest do dyspozycji.

– No ja myślę – burczy komisarz. – A pan niech pomyśli o tym, że zatajanie przed policją informacji jest karalne. Mam nadzieję, że pan to rozumie. I w razie czego proszę dzwonić – podaje mu wizytówkę.

Klaus kiwa tylko głową, chowa wizytówkę do kieszeni i wygłasza pożegnalną formułkę, po czym opuszcza w końcu duszny i zagracony pokój. I dochodzi do wniosku, że znowu ma pecha, bo zbieżność jego zainteresowań i denata jest faktycznie zastanawiająca. A gliniarz wygląda na dociekliwego karierowicza.

3.

Minutę później stoi w bramie komisariatu, patrzy na swój samochód, nadal jedyny na parkingu, i przychodzi mu na myśl, że życie naprawdę potrafi zaskakiwać. Mógł się wszystkiego spodziewać, nawet tego, że z komisariatu wyskoczy nagle narwany, podejrzliwy gliniarz i założy mu kajdanki. Że na parkingu zobaczy *Monsieur* we własnej osobie z paroma typkami spod budki z piwem, trzymających w rękach kamienie. Ale tego, że na kole rzęcha Zofii zobaczy założoną blokadę...

– Kurwa, mogliście go jeszcze zholować – mówi sam do siebie. – Albo wysadzić w powietrze.

Na strażników miejskich musi czekać bite dwadzieścia minut. Stoi obok starego grata Zofii i praży się na słońcu, klnąc na czym świat stoi. Okolica nadal świeci pustką, nie licząc jakiegoś starego psiaka, który leży obok wejścia do bramy sąsiedniej kamienicy i najwidoczniej odpoczywa w porannych promieniach słońca. Klaus odbiera też telefon od Zofii, zaniepokojonej jego przedłużającą się nieobecnością. Stara się ją uspokoić, tłumacząc, że jest już po rozmowie, nie ma z trupem nic wspólnego i niebawem zjawi się w zamku. Zofia chyba tego nie kupuje,

bo przypomina: „a mówiłam, że karty coś widzą?”. Klaus nie znajduje na to odpowiedzi. Jeszcze raz mówi, że wszystko jest okej i się rozłącza.

Wentyluje też płuca sporą dawką dymu z camela. To go trochę rozluźnia, chociaż nadal jest nieco skołowany. Ale kładzie to na karb pobudki w środku nocy.

W końcu widzi podjeżdżający samochód strażników.

– No, panie kierowco, tutaj jest wyraźny znak, który informuje, kto może zaparkować w miejscu, w którym pan to zrobił – słyszy zanim jeszcze strażnik do niego podchodzi. – Znaki są po to, aby się do nich stosować. Stoi pan na kopercie!

Gówno prawda, myśli Klaus. Koperta to może była tu kiedyś. Teraz to kilka startych kleksów na asfalcie. Nie mówi tego jednak, bo nie chce się wdawać w niepotrzebne dyskusje. Strażnik jest jak woźny z kluczem. Zacziesz się z nim kłócić, to ci nie otworzy.

– Więc niech pan wypisze mandat i zdejmie z koła to cholerstwo. Śpieszę się – mówi.

– No nie... – Strażnik robi wielkie oczy i drapie się za uchem, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby kierowca nie narzekał i nie próbował się mądrzyć i udowadniać, że to on ma rację. Coś takiego!

– Naprawdę się śpieszę – coraz bardziej niecierpliwi się Klaus. Do zmęczenia wynikającego z upału i pragnienia chwili spokoju dołącza teraz ssanie w żołądku.

– No a co właśnie robie? Trochę cierpliwości!

Klaus odchodzi parę metrów dalej i znowu sięga po papierosy, kiedy strażnik woła, że blokada jest już zdjęta. Klaus podchodzi do niego i pyta, ile płaci.

– Tym razem nic. – mundurowy się uśmiecha. – Na przyszłość proszę jednak czytać, co jest napisane na znakach drogowych. To pomaga uniknąć problemów.

Klaus rzuca coś pod nosem w odpowiedzi i wchodzi do grata. Słyszy jeszcze, że strażnik życzy mu miłego dnia. Unosi więc kciuk do góry, wykrzywia usta w fałszywym uśmiechu, bo tak w końcu wypada, i wkłada kluczyk do stacyjki. Teraz, myśli, brakuje jeszcze tylko tego, żeby rzęch się zepsuł.

4.

Ale silnik odpala od razu. Klaus czuje ulgę, chociaż wie, że taki pech to byłaby już przesada. Wierci się jeszcze na rozgrzanym fotelu w poszukiwaniu jakiegoś chłodniejszego punktu dla swojego tyłka i kiedy już zamierza wrzucić pierwszy bieg, słyszy, że dzwoni jego telefon.

– Chryste! – mruczy sam do siebie, sięgając po smartfon. – Jeśli to znowu ten upierdliwy windykator...

Dzwoni Martin.

– No co tam, chłopaku od zer i jedynek? Właśnie miałem odpalić petardę Zofii.

– Nie ma Klary.

W pierwszym momencie sens tego lakonicznie brzmiącego zdania zupełnie do niego nie dociera. Jakby usłyszał, że nie ma wody, prądu albo mleka w lodówce. Dopiero po chwili czuje szybsze bicie serca.

– Jak to nie ma? Wyszła gdzieś? Martin, co się stało?

Po drugiej stronie słyszy przyspieszony oddech.

– Nie mam pojęcia, Jezu... Wróciłem chwilę temu z nocki do domu i Klary w nim nie było.

– Pewnie poszła do sklepu, nie panikuj!

– Klaus, ona owszem, poszła do sklepu, ale wczoraj po dziesiątej w nocy! Rozumiesz? Po dziesiątej! I nie wróciła.

Klausowi na moment odbiera mowę. Uchyła drzwi i zapala papierosa.

– Jesteś tam, Klaus!

– Jestem, jestem... Jak to po dziesiątej? Skąd wiesz? Mówiła ci?

– Napisała mi esemesa, ale ja zapomniałem wziąć z domu komórki, zawsze jej, kurwa, zapominam, i teraz to czytam. No i nie ma jej. Łóżko jest zasłane. Jej telefon leżał obok mojego. Klaus, co się mogło stać? To taka spokojna okolica!

– Jesteś w domu, tak? – chce się upewnić Klaus.

– No tak, a gdzie mam być? Co się z nią stało?!

– Jadę po mamę i zaraz jedziemy do ciebie, okej? Nie martw się, na pewno nic jej nie jest.

– Klaus... Mam złe przeczucia.

– Na razie, Martin. Jakby co, informuj mnie, cześć! I dzięki, że zadzwoniłeś.

Klaus rzuca niedopalonego papierosa, rozgniała go butem i wsiada do samochodu. Odpala go i z piskiem opon rusza, ale zaraz się zatrzymuje. Najpierw musi spokojnie pomyśleć, w przeciwnym razie komuś wjedzie w dupsko.

Jeszcze przed chwilą zastanawiał się, jak skutecznie uspokoić Zofię z tym trupem pod basztą, a teraz zagryza wargi, bo Klara jest przecież oczkiem w głowie swojej mamy. Boi się, że to ją przygniecie jak betonowy słup. Jak ma jej, na litość boską, o tym powiedzieć?

– Kurwa jego mać! – krzyczy do przedniej szyby. Nie tak wyobrażał sobie zmiany w swoim życiu.

Odchyła się na fotelu i bierze głęboki wdech, po czym wypuszcza powoli powietrze z płuc. Musi być spokojny, jak zawsze, kiedy dzieje się coś nie po jego myśli. Klara nie wyparowała ot tak. Nie chce przyjąć tej myśli do siebie, ale rozsądek mu podpowiada, że to kolejny akt przedstawienia reżyserowanego przez elegancika z Paryża. Dochodzi do wniosku, że Liza była tylko zmyłką. Przystawką do głównego dania, cholera. Podobnie jak cały ten zasrany windyktor. Prawdziwym celem okazała się Klara. To po prostu nie mógł być przypadek, że zniknęła właśnie teraz.

Klaus kolejny raz wychodzi z samochodu. Pot kapie mu z czoła, dzinsy lepią się do nóg. Robi parę kroków, ociera wierzchem nadgarstka czoło i sięga po telefon do kieszeni. Ale mały, śliski sukinsyn wyślizguje mu się ze spoczonej dłoni i prawie spada na bruk. „Kurwa, kurwa, kurwa!”, Klaus pociera dłoń o nogawkę i dopiero wtedy udaje mu się pewnie chwycić smartfon. Dzwoni do Lizy. Słyszy jeden sygnał, drugi, trzeci i po raz kolejny w tym dniu czuje napływ adrenaliny.

– Odbierz, chole...

– Klaus? – Kamień spada mu z serca, gdy to słyszy, ale prawdą jest też, że przez głowę przeleciała mu myśl, dlaczego to jej nie porwali zamiast Klary. – Litości! Co znowu?

– Chciałem tylko sprawdzić, czy jesteś w domu – mówi.

– No, a gdzie mam być? Przecież mnie tu uwięził. Stało się coś? Masz taki dziwny głos.

– Nic takiego, śpij dalej i nie ruszaj się nigdzie, odezwę się później.

Przerywa połączenie zanim Liza zdąży cokolwiek odpowiedzieć. Nie chowa jeszcze telefonu. Teraz kolej na Sashę. Wie, że to prawie niemożliwe, żeby ktoś o nich wiedział, ale skoro są na świecie ludzie wierzący, że Ziemia jest płaska, to wszystko jest możliwe.

Sasha odbiera, jakby dawno już wstała i tylko czekała na jego telefon. Jest zdziwiona, ale i ucieszona. Pyta, czy coś się stało, a Klaus odpowiada, że chciał ją tylko usłyszeć i powiedzieć, że spacer nad rzekę był naprawdę fajny. Mówiąc to, czuje się trochę idiotycznie, ale nic innego do głowy mu nie przychodzi.

– To miłe – mówi Sasha. – Fajnie, że mi o tym mówisz.

– Przepraszam, że o tak wczesnej...

– I tak nie spałam przez tego małego bandytę. – Klaus słyszy jej śmiech i robi mu się trochę lżej na duszy.

– Okej, uściskaj go ode mnie – prosi. – To na razie. Zadzwoń później.

– Pa!

Po tych sprawdzających telefonach czuje się odrobinę lepiej. Wyszukuje jeszcze w liście kontaktów numer do Mecenasa. Jego na pewno nie obudzi, bo to ranny ptaszek. O tej porze zajada pewnie śniadanie.

Dzwoni i się nie myli. Mecenas odbiera już po pierwszym sygnale.

– Klaus, miło cię słyszeć! Nie możesz spać?

– Hej! Nie śpię już od paru godzin, ale mniejsza z tym. Dzwonię w pilnej sprawie. Możesz rozmawiać?

– Mów.

Klaus krótko relacjonuje wydarzenia ostatniej doby i pyta, czy pamięta ich rozmowę w Wertheim.

– No wiesz, wtedy, gdy miałem spotkanie z Francuzem – dodaje.

Mecenas twierdzi, że z grubsza tak, przynajmniej, jeśli chodzi o kwestie zasadnicze.

– Zapytałeś mnie wtedy, czy ostatnio byłem w Hamburgu, pamiętasz?

– Tak, faktycznie. Ktoś tam o ciebie wypytywał, ale nie przejąłeś się tym. Mówiłeś, że to nie ma związku z twoją robotą.

– Właśnie. Mógłbyś dowiedzieć się jednak czegoś więcej? Wiem, że już trochę czasu minęło, ale... Ten paryski gnojek musiał tu chyba wynająć kogoś na miejscu. Muszę się dowiedzieć kogo. Może to ktoś stąd o mnie wypytywał. Dasz radę?

– Przecież wiesz.

– Dzięki, przyjacielu. Jak tylko się czegoś dowiesz, daj od razu znać. O każdej porze.

– Jasne – zapewnia Mecenas i milknie, by po chwili dodać: – Klaus?

– Tak?

– Uważaj na siebie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Nie zawaha się przed niczym. Szkoda, że sobie go wtedy nie podarowałeś.

– Teraz już za późno. Ale będę uważał.

Koniec rozmowy.

Klaus odruchowo sięga po papierosa, ale zaraz go odkłada z powrotem. Jest już tak głodny, że mógłby go przez przypadek zjeść.

Przed sobą widzi tymczasem małą cukiernię. Wchodzi do środka, gdzie kupuje drożdżówkę z serem. Pyta też o kawę, chociaż nigdzie nie widzi ekspresu. Ma jednak szczęście. W tej cukierni jest i kawa, tyle że parzą ją na zapleczu. Płaci, drożdżówkę zjada zanim opuszcza cukiernię, a na zewnątrz niemal z miejsca wypija kubek gorącej kawy. Dopiero teraz decyduje się na kolejnego papierosa. Czuje też, że wracają mu siły.

To jednak nie będzie miły dzień, myśli.

Rozdział 8

1.

Droga z Leśnej do domu Zofii ciągnie się w nieskończoność. O tej porze w powszedni dzień trasa jest zatłoczona i ze wzniesień Klaus widzi przed sobą niekończący się sznur samochodów. Wszyscy jadą w porywach niecałe pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Na dodatek słońce cały czas praży i Klaus ma wrażenie, że lada moment mózg zamieni się mu w jajecznicę. Gdzie ta cholerna burza? – zastanawia się, zły na cały świat, i z ukosa zerka na Zofię. Chciałby jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że Klarze nic nie jest, że przecież ludzie nieraz wychodzą i wracają po kilku godzinach, bo w życiu wiadomo, różnie bywa. „Może została u jakiejś koleżanki, którą spotkała po drodze. Do południa będzie na pewno z powrotem w domu”. Mógłby jej to powiedzieć, ale nie robi tego. Od kiedy wsiedli pod zamkiem do samochodu milczą jak zakłęci, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

Dla Klause ostatnie godziny były chyba najgorsze w życiu, nie licząc tych, kiedy dowiedział się, że jego mama nie żyje. Zofia powiedziała mu o tym, kiedy od paru godzin siedział u niej w domu i czekał na rodziców, aż wrócą z zakupów. Pamięta ten moment, kiedy do pokoju, w którym siedział, oglądając jakiś film, wchodzi przyjaciółka jego mamy...

...Do pokoju, w którym siedział, weszła przyjaciółka jego mamy. Klaus miał już na końcu języka złośliwą uwagę, że nie musi go co chwilę sprawdzać. Nie zamierza przecież nigdzie uciekać i nie jest już cholernym dzieciakiem, żeby go trzymać pod lupą jak jakiegoś mikroba. Było to chwilę po tym, gdy znowu narozrabiał w szkole i matka dała mu całkowity szlaban na wyjścia z domu. Gdy sama musiała załatwić coś w mieście, przyprowadzała go właśnie do Zofii. Klaus uznał, że dla świętego spokoju wytrzyma parę dni w roli psiaka na smyczy, jeśli to ma matkę uspokoić. Coraz bardziej było mu jej żal. Może nie aż tak bardzo, żeby przestać rozrabiać i kraść, ale trochę tak. Nie był przecież ślepy i widział, co przechodzi z jego ojcem. Stary od miesiąca nie tknął wódki. Jeśli wcześniej był nerwowy, to teraz był jak nerw w zepsutym zębie. Klaus i tak nie wierzył w tę cudowną przemianę starego, bo do tej pory nigdy nie widział go w innej roli niż złodzieja i pijaka. Dałby sobie rękę obciąć, że to tylko kwestia czasu, aż stary Ebeling wróci któregoś dnia z warsztatu samochodowego (podobno znalazł tam pracę, ale Klaus był święcie przekonany, że

tylko po to, aby cichcem wynosić co lepsze części do samochodów) narąbany jak świnia i cały cyrk zacznie się od nowa.

Tak czy inaczej, nawet jeśli lubił przyjaciółkę swojej matki, prawie wymusnęło mu się coś złośliwego. Ale tak się nie stało, bo kiedy ją zobaczył...

Zofia usiadła obok niego na starej wersalce i jakoś tak dziwnie na niego popatrzyła. A później objęła go ramieniem, przytuliła i chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko załkała. To Klause przerażyło. Czuł, że musiało się stać coś złego. Nigdy nie widział pani Zosi, żeby zbierało się jej na płacz. Zawsze była uśmiechnięta i nawet jak się o coś wkurzała, nie dawała tego po sobie poznać. A teraz... Pomyślał, że może chodzi o małą Klarę. Tak, musi chodzić o Klarę. Coś się jej niedobrego stało...

O nic jednak nie pytał. Nie miał odwagi. Czekał, aż Zofia się uspokoi i sama mu powie.

Czekał, czekał i czekał. Aż wreszcie usłyszał: „Klaus... rodzice... rodzice mieli wypadek... mama...”. Wtedy Zofię zalały łzy. Całe morze łez, a on wiedział już, że stało się coś najgorszego.

Przypomniał sobie to wszystko, kiedy zaledwie dwie godziny wcześniej mówił Zofii, że Klara zniknęła. Znowu było najpierw to przerażające łkanie, a później morze łez.

2.

Dojeżdżają wreszcie pod dom. Klaus rozpiną pasy, odwraca się w stronę Zofii i mówi, że wszystko będzie dobrze. Chce w to wierzyć i wierzy. Robi się mu jednak głupio, kiedy uświadamia sobie, jak banalnie to brzmi. Ale co miałby powiedzieć innego? Przecież musi być dobrze, nie? Klara nie wyparowała. Dodaje jeszcze, że nie ma jej w szpitalach, a policja nie ma żadnych zgłoszeń, bo to już Martin zdążył sprawdzić. Musi więc gdzieś być, bo człowiek to nie cholerna igła w stogu siana. Tyle że takie nadzieje mają wszyscy, którym znikają nagle bliskie osoby. Tego jednak już nie mówi.

– Znajdziemy ją, obiecuję ci – zapewnia na koniec i wierzy, że tak właśnie będzie. Znajdzie ją choćby miał wszystko poświęcić.

Zofia tylko kiwa głową i w milczeniu wysiada z samochodu.

Klaus dostrzega parę metrów dalej starego Ebelinga. To jest jakiś pierdolony koszmar – myśli.

Stary stoi tymczasem pod płotem, opiera się o niego i widząc, że Klaus go zauważa, próbuje się uśmiechnąć.

W pierwszym odruchu Klaus ma zamiar zignorować starego. Niech stoi w cholerę – myśli. Jest ostatnią osobą na świecie, którą chciałby teraz widzieć. Jednak podchodzi do niego. Jest tak skołowany, że nie czuje nawet złości. Ma teraz w sobie jakąś dziwną obojętność.

– Jeśli odejdziesz teraz stąd bez słowa, obiecuję, że cię znajdę i wysłucham, co mi masz do powiedzenia – nieoczekiwanie dla samego siebie zapewnia ojca. – Ale teraz odejść. Po prostu odejść bez słowa.

Z twarzy Ebelinga powoli znika ten poddańczy uśmiech, który tak wkurza Klause, a na jego miejscu pojawia się zdziwienie. Otwiera usta, zamyka je, znowu otwiera i wreszcie pyta, czy się coś stało. Dopiero wtedy Klause ogarnia irytacja. Ebeling milczy, a Klaus nie chce teraz kłótni. Powinien teraz skupić się na Zofii. Bo to ona przeżywa najgorsze chwile w swoim życiu. Powtarza więc prośbę, aby Ebeling odszedł i czeka, aż się to stanie. Może jest to cud, a może stary coś wyczuwa, bo nagle kiwa głową, chyba na znak, że rozumie, odwraca się i naprawdę odchodzi. Klaus patrzy jeszcze chwilę na jego zgarbione plecy i chwiejny krok, po czym kieruje się w stronę domu.

3.

Klaus ledwo zamyka za sobą drzwi, a już dopada go Martin. Nie jest tym zdziwiony. Tego się spodziewał. Ale przeraża go to, że chłopak Klary miota się po przedpokoju jak mysz w pułapce i zasypuje go setką pytań, na które on nie ma odpowiedzi. Przez moment ma nawet wrażenie, że widzi dwóch Martinów. Słucha jego słowotoku w milczeniu i z kamienną twarzą. Wie, że chłopak musi wyrzucić z siebie emocje, tysiąc różnych wątpliwości i domniemywań, co mogło się z nią stać. Ale w końcu ma już tego dosyć, chwytając jakimś cudem Martina za ramiona, osadza go na miejscu i mówi, że z samego gadania nic nie wyniknie, że trzeba działać.

– Od tego jest chyba policja – słyszy z ust chłopaka. – Zgłosiłem zaginięcie, na pewno potraktują to priorytetowo. Ja tylko...

– I bardzo dobrze zrobiłeś. – Klaus klepie go po plecach. – Ale teraz musisz trochę odpuścić. Nic nie wymyślisz więcej.

Martin nagle flaczeje, kiwa głową i wlecze się do pokoju. Klaus ostrożnie idzie za nim.

Kolejne chwile są ciężkie jak z ołowiu. Milczy Martin, milczy Zofia, Klaus też nie wie, co miałby jeszcze mówić. W głowie ma karuzelę myśli.

Siedzą w dużym pokoju przy stole służącym zazwyczaj do wspólnych posiłków. Klaus ukradkiem obserwuje Zofię. Boi się o nią, bo odkąd powiedział jej, co się stało, nie odezwała się ani słowem, nie licząc cichego jęku i przerażonego „nie!”. Teraz też siedzi ze wzrokiem utkwionym gdzieś w ścianie naprzeciwko i tylko od czasu do czasu słyhać jej głośniejsze westchnienia. Pies

Nagle jednak wstaje od stołu i wchodzi na piętro. Może też nie lubi, gdy ktoś się jej tak natarczywie przygląda, zastanawia się Klaus.

Zofia jest już u góry schodów, kiedy Martin ją pyta, czy się źle czuje.

– A jak myślisz? Idę się położyć.

Gdy Zofia znika już na górze, Martin chce wiedzieć, czy matka Klary brała coś na uspokojenie.

– Te swoje zioła – niechętnie odpowiada Klaus, po czym odsuwa się z krzesłem i też wstaje. Tłumaczy, że musi się przejść, bo dłużej nie jest w stanie tak beczynnie siedzieć. I nie kłamie. Może gryzie go cholerne sumienie, które nie pozwala mu teraz siedzieć spokojnie obok faceta Klary. Zdaje sobie przecież sprawę z tego, że kto jak kto, ale Martin powinien wiedzieć, co Klaus podejrzewa. Powinien mu o tym powiedzieć, ale boi się, że chłopak zrobi coś głupiego. Poza tym wciąż tak naprawdę nie wiadomo, co przytrafiło się Klarze. Może to jednak nie ludzie Francuza stoją za zniknięciem. Może te dwie sprawy – Lizy i Klary – nic nie łączy. Klaus w taką zbieżność, co prawda, nie wierzy, ale zostawia sobie margines błędu.

Jest też zły na samego siebie. Jeśli jest tak, jak myśli, to Klara zniknęła przez niego. I to też powinien powiedzieć Martinowi. Czy w ogóle brał kiedykolwiek pod uwagę, że to, co robi poza galerią sztuki, może się w jakikolwiek sposób odbić kiedyś na jego najbliższych? Pewnie, że nie. Był zbyt pewny siebie, aby przyszło mu to do głowy. Zapomniał, że takie przekonanie o własnej nieomyślności niejednego już zgubiło.

Martin kiwa tymczasem ze zrozumieniem głową i podpowiada, żeby Klaus, skoro i tak musi wyjść, przeszedł się raz jeszcze po sąsiadach.

– Ja niczego się od nich nie dowiedziałem, ale wiesz jacy są ci starsi ludzie, może ktoś sobie coś przypomniał – mówi, a potem prawie krzyczy: – To niemożliwe, żeby ona tak zniknęła!

Klaus patrzy na niego ze współczuciem i powoli zaczyna do niego docierać, że może się jednak co do niego mylił. Może i jest zarozumiały, ale Klarę na pewno kocha. To mu wystarcza.

– Popytam – zgadza się – a ty kimnij się po tej nocce, bo mi tu w końcu padniesz.

4.

Wychodzi z domu, przystaje jeszcze przed bramką i myśli, że w takie dni jak ten, kiedy gorąc wyciska z człowieka ostatnie poty, niebo ma barwę błękitnego oceanu, a liście drzew nie drgną nawet o milimetr, świat wygląda, jakby zatrzymał się w miejscu. Może po to, aby miał czas na odnalezienie Klary. Może? „Nie bądź durniem, Klaus, słyszy we własnej głowie. Świat nie jest sprawiedliwy, zapomniałeś? Nic dla ciebie nie robi, ofiaro”.

Skrzypienie klamki w bramce przywołuje go do rzeczywistości. Zatrząskuje ją za sobą ze złością i wbrew zdrowemu rozsądkowi rozgląda się na boki w poszukiwaniu ojca. Ulica jest pusta. Chce mu się śmiać z własnej głupoty. Przecież nie muszę tu być, myśli. Wystarczy, że załagł mi się w głowie jak pasożyt.

Przekonanie, że za wszystkim stoi zemsta żabojada jest w nim coraz silniejsze. Klaus wierzy we własną teorię, bo jest logiczną konsekwencją jego działań. W jakimś sensie gwarantuje też, że Klarze nie stanie się większa krzywda – jeśli Francuz będzie rzeczywiście chciał w zamian za nią nieszczęsne znaczki. Bo gdyby *Monsieur* porwał Klarę tylko po to, aby się na nim zemścić... Tylko po co wspominałby wówczas o znaczkach? Gorzej byłoby też, gdyby ktoś ją napadł, uprowadził jakiś zboczeniec, czy wreszcie, gdyby ona sama postanowiła zniknąć. Ludzie przecież wychodzą po zapalki do kiosku i ślad po nich zanika. Niektórzy odnajdują się później po latach w innym życiu, innej rzeczywistości, chociaż w tej poprzedniej, wydawałoby się, czuli się dobrze. W ten akurat wariant Klaus zupełnie nie wierzy. Klara nigdy nie zostawiłaby matki.

Tak więc jedynym, najbardziej prawdopodobnym powodem zniknięcia mógł być tylko on – Klaus. Złodziej i oszust. Bo chyba nie chodzi o sprawy, którymi zajmuje się Martin. Kto mógłby się mścić na programiście pracującym na zlecenie dla gliniarzy? A może jednak?

Zapala papierosa, ale po dwóch machach wyrzuca go w cholerę. Jest już na chodniku i postanawia pójść w kierunku jedyne sklepu, do którego pójść mogła Klara. Jeśli, rozważa, nie zmieniła w ostatniej chwili zdania. A może miała zupełnie inny powód wyjścia, a Martinowi tylko napisała, że idzie do sklepu? Zadaje sobie te pytania setny już chyba raz i czuje jakby złościły mu one w mózgu wielką dziurę. Nie potrafi też znieść myśli o tym, co może czuć teraz dziewczyna, dla której zwykłe pieczenie oka było powodem do strachu, że oślepie...

– Ja piernicę – mruczy w powietrze.

Pokonanie fragmentu ulicy do skrzyżowania, gdzie aby dojść do „Żabki” trzeba skręcić w prawo, zajmuje mu zwykłym spacerowym krokiem około dziesięciu minut. W tym czasie właśnie musiało zdarzyć się coś, co sprawiło, że Klara nie wróciła do domu. Policja – tak przekazał mu wcześniej Martin – zdążyła już potwierdzić, że Klara nie dotarła do sklepu. Czy doszła jednak chociażby do skrzyżowania? Tego, jak na razie, nie udało się ustalić. To, co do tej pory było szczęściem ulicy, przy której mieszkali – absolutny spokój i brak najmniejszych chociażby oznak chuligaństwa, teraz okazało się ich przekleństwem. Bo dzięki temu, że była to bezpieczna dzielnica, nie zamontowano tu nawet jednej kamery monitoringu miejskiego. Najbliższa znajdowała się właśnie w pobliżu sklepu, bo tam, często po godzinie dwudziestej, schodziło się już mniej spokojne towarzystwo.

Aby przejść na drugą stronę ulicy, trzeba dymać dobre trzydzieści metrów w jedną albo w drugą stronę. Klaus zastanawia się, gdzie dokładnie Klara zniknęła. Skąd ją te

skurwiele Francuza porwały?

Jeśli Klara poszła w lewo, musiałyby iść wzdłuż starego, wykruszonego miejscami muru przez jakieś sto metrów. Ale wówczas uchwyciłaby ją kamera należąca do wydziału ruchu drogowego. Koledzy Martina i to sprawdzili – nikt tamtędy nie przechodził między dwudziestą drugą a północą. Nie poszła też w przeciwnym kierunku, bo po dwudziestu metrach droga kończyła się zabudowaną posesją należąca do ich sąsiadów, którzy nic nie widzieli i nic nie słyszeli, siedzieli przed telewizorem i oglądali *Świat według Kiepskich*. Pozostawała zatem jedyna rozsądna możliwość – Klarę zwinięto z ich ulicy. Tak ponoć tu, kurwa, bezpiecznie – myśli Klaus – że możesz się tu człowieku położyć w nocy na chodniku, to cię jeszcze nakryją kocem, a do kieszeni włożą parę złotych na browara z samego rana.

– A gówna prawda – kwituje na głos.

5.

Klaus wraca w kierunku domu. Nic więcej nie wymyśli, a wróżką z zamku Czocha nie jest. Przechodzi jakieś pięćdziesiąt metrów po tej najspokojniejszej ulicy na świecie i skręca w ścieżkę prowadzącą do pierwszego od tej strony budynku. Mieszka w nim sympatyczna starsza kobieta, Maria Staszek. Kiedy Klaus trafił na stałe do domu Zofii, raz na jakiś czas zachodził do niej zdejmować albo zawieszać firanki. Za każdym razem był zafascynowany kolekcją starych porcelanowych lalek, które pani Maria zbierała przez całe swoje życie, ale głównie interesowały go obrazy. Były wszędzie – na ścianach, na sztalugach. Jeden wisiał nawet w kuchni nad stołem. Był chyba największy ze wszystkich i szczególnie przypadł młodemu Klausowi do gustu, bo przedstawiał kompozycje owoców – gruszek, śliwek i jabłek ułożonych pozornie niedbale w porcelanowej misie. Ilekroć Klaus miał okazję rzucić okiem na ten obraz, z miejsca ciekła mu ślinka. No i nieraz korciło go, żeby go nocą zajmować.

Sąsiadka Zofii opowiadała mu o obrazach, o tym, jak je maluje, o sobie – zazwyczaj wtedy, kiedy tkwił na stołku ustawionym na stole, z uniesionymi i mdlejącymi już z wysiłku rękoma, usiłując złapać złośliwymi żabkami rąbek pachnącej jeszcze praniem firanki. Już później dowiedział się, że Maria Staszek była znaną artystką malarką i jej obrazy często wystawiane były w różnych europejskich galeriach sztuki. To zresztą dzięki niej zainteresował się później i malarstwem, i samymi dziełami sztuki, a w konsekwencji – mając w sobie złodziejski gen ojca – wymyślił swój sposób na życie. Wyszedł więc na ludzi? No wyszedł. Po swojemu.

Naciska teraz dzwonek i cierpliwie czeka, aż szacowna artystka doczłapie do drzwi. O dziwo, otwierają się niemal natychmiast, jakby kobieta stała pod nimi i tylko czekała na wizytę.

– Klaus! – krzyczy ucieszona jego widokiem. – Tak myślałam, że do mnie zajrzysz. Co za nieszczęście, moje dziecko... Pan Martin mi powiedział, że Klarunia przepadła gdzieś... Co to się porobiło na tym świecie... Ale żeby tutaj, na naszej ulicy? Wierzyć się nie chce... Wejdz, wejdz. Zaraz zrobię coś do picia.

Klaus przyjmuje zaproszenie i wchodzi do środka. Przechodzi do znanego sobie pokoju, po drodze czując pokusę zerknięcia do kuchni i sprawdzenia, czy jego ulubiony obraz nadal wisi na ścianie, ale ostatecznie nie robi tego. W pokoju stwierdza, że nic się w nim przez te lata nie zmieniło. Ten sam półmrok, te same, jak mu się zdaje, firany w oknach, ten sam zapach świeżości. I ściany z obrazami. Siada przy stole nakrytym białym obrusem i cierpliwie czeka, aż w pokoju pojawi się z tacą właścicielka.

– Wiem, że Martin już o to pytał, ale muszę panią jeszcze raz zapytać: nic więcej pani sobie nie przypomniała?

Starsza pani kręci przecząco głową.

– Mój Boże, tak bym chciała jakoś pomóc... – wzdycha. – Wiesz, jak bardzo lubię Klarę, Zosię, was wszystkich. Kiedy podeszłam do okna, żeby zasunąć zasłony, zobaczyłam Klarę, jak idzie. I nic więcej nie dostrzegłam. Zniknęła jak powiew wiatru... A dalej na ulicy nic nie widać, bo drzewo zasłania mi widok, no sam wiesz przecież. Już dawno prosiłam w energetyce, żeby je trochę przycięli, bo zahacza o druty. Ale wiesz, jak to jest, możesz tylko czekać i czekać. Pewnie pojawią się, jak w końcu jakaś gałąź zerwie te druty. Wtedy to będą w mig.

Klaus kiwa ze zrozumieniem głową i sięga po szklankę z kompotem.

– Poczęstuj się też ciasteczkami, co prawda ze sklepu, ja już nie mam tyle sił, żeby stać w taki upał w kuchni, ale dobre są, nie pożałujesz – zachęca kobieta. – Coś mizernie wyglądasz, chłopcze.

I Klaus sięga po małe kwadratowe ciastko. Jeszcze go do końca nie zjada i nagle czuje, jak jest wściekle głodny. Nic przecież dzisiaj jeszcze nie jadł oprócz porannej drożdżówki z serem. Aż dziwne, myśli, że to małe migrenowe cholerstwo z tyłu głowy jeszcze nie dało mu znać o sobie. Zjada więc następne i jeszcze jedno.

– Mówiłam, że dobre – cieszy się Maria Staszek, ale dobrotliwy uśmiech znika błyskawicznie z jej twarzy.

– Przykro mi, że nie mogę wię... Chociaż... – zawiesza głos, co sprawia, że Klaus niczym rasowy wilczur nastawia uszu. – Może to nic takiego, pewnie nie, ale właśnie mi się przypomniało, że poszłam jeszcze wrzucić worek ze śmieciami do kubła.

– No i? – niecierpliw się Klaus. Ma nadzieję, że znajoma Zofii coś jednak widziała. Że nie bajdurzy, byle tylko cokolwiek powiedzieć. Niektórzy tak mają. Klaus chciałby jednak usłyszeć chociaż najdrobniejszy szczegół.

– No i kiedy wyszłam z domu, to usłyszałam, wyobraź sobie, taki dziwny dźwięk, jakby szuranie... nie wiem, chyba taki właśnie...

– Szuranie? A może taki jak przy zamykaniu drzwi samochodu?

Kobieta kręci głową, wyraźnie zawiedziona.

– Nie, to nie to, to coś jakby... O, rany, nie gniewaj się, już sama nie wiem.

– Może jednak? Na pewno z niczym się to pani nie kojarzy?

– Teraz, to już nawet nie jestem pewna, czy w ogóle to słyszałam...

Klaus wstaje. Nie może tu dłużej siedzieć i słuchać o jakimś szuraniu, którego nie było. Musi wrócić do domu i zjeść coś porządnego. Raczej nie wierzy już w ten jakiś dźwięk. Pewnie się staruszce coś pomyliło – myśli. – Szkoda.

6.

Jajecznicza z czterech jaj na boczku sprawia, że Klaus znowu czuje się jak człowiek. Najchętniej padłby teraz na łóżko z myślą o tym, że jak się obudzi, to cała ta sytuacja okaże się jedynie złym snem – Klara będzie się krzątać po domu, Zofia w swoim ulubionym fotelu dziergać będzie coś na drutach. Nie przeszkadzałby mu nawet wszystkowiedzący programista.

Ale wie, że nie może sobie na to pozwolić i że tak się nie stanie.

Opowiedział więc Martinowi o tym, co słyszała sąsiadka Zofii.

– Mówiłem ci. To ślepy zaułek. Gdy cię nie było, dałem w necie ogłoszenie i zdjęcie Klary – podsuwa Klausowi pod nos laptop. – Widzisz? Może zdarzy się cud i ktoś się z czymś zgłosi. Sam już nie wiem. – Zakrywa twarz dłońmi i trwa tak przez dłuższą chwilę.

Klaus już ma na końcu języka, że cholerne cuda się nie zdarzają, ale się powstrzymuje. Nie chce gasić zapału i nadziei chłopaka. Kiwa więc tylko głową i wzdycha. Myśli też o tym, że widzi teraz Martina w zupełnie innym świetle, że trzeba było wstrząsu, żeby mógł dostrzec w nim normalnego, kochającego kobietę faceta. No cóż, Klaus. Nie zawsze, chłopie, musisz mieć rację, myśli.

W końcu się odzywa:

– Słuchaj, stary. Cały czas o tym myślę i widzę tylko dwie możliwości. Skoro Klara nie doszła do skrzyżowania, bo gdyby tak było, uchwyciłaby ją jedna z kamer, to musiała zniknąć na naszej ulicy. Zgadzasz się ze mną?

– Skoro tak mówisz... Tylko w jaki sposób zniknęła? Przecież nie wpadła do dziury!

– Otóż to.

Po tym krótkim stwierdzeniu Klaus zbiera się w sobie, bo uważa, że to dobry moment, aby powiedzieć Martinowi o swoich podejrzeniach. Wie, że ryzykuje, ale nic na to nie może poradzić. Tak mu każe sumienie. W sumie fajnie, cieszy się, że jeszcze jakieś ma.

Najpierw zbiera jednak puste talerze ze stołu i wkłada je do zmywarki.

– Chodźmy na zewnątrz – proponuje. – Muszę zapalić i chcę ci coś ważnego powiedzieć. O tej dziurze, do której wpadła...

7.

Na dworze bucha w mężczyzn gorące powietrze. Klaus przestawia w altanie fotel w zacienione miejsce, wyjmuje papierosa, zapala go i zaciąga się dymem. Czeką, aż chłopak usadowi się na swoim miejscu i bez owijania w bawełnę mówi mu o Francuzie. Przedstawia to tak, że właściciel paryskiej galerii dzieł sztuki mści się na nim, bo uważa, że został przez Klause kiedyś oszukany. Jest przygotowany na to, że kiedy skończy swój monolog, Martin może mu nawet skoczyć do gardła. Całkiem możliwe, że na jego miejscu Klaus tak właśnie by zrobił. Ale kiedy pada ostatnie słowo i Klaus wyczekująco milczy, czekając na reakcję chłopaka, Martin spokojnie wstaje z fotela, robi parę kroków po altanie, podchodzi do Klause i prosi o papierosa. Klaus kolejny raz łapie się na tym, jak bardzo mylił się w ocenie tego człowieka.

Podaje mu camela. Martin przypala go i opiera się o barierkę altany.

– Rzeczywiście go oszukałeś? – pyta, wydmuchując dym.

– Cóż... – wzdycha Klaus. – To kwestia interpretacji. Wykorzystałem jedynie fakt, że chciał coś ukryć.

– O jaką kwotę chodzi, Klaus? To chyba możesz powiedzieć, co?

– Pół miliona. Euro.

Martin kiwa głową. Klaus nie wie, czy ze zdumienia, czy może z dezaprobaty. W każdym razie nie wydaje się zdziwiony. Tak czy inaczej, Klaus czuje ulgę. Chce powiedzieć, że zaczął już dociekać, jak mogło do tego wszystkiego dojść, że zrobi wszystko, aby odnaleźć Klarę całą i zdrową. Ale Martin go ubiega:

– Jesteś pewien, Klaus, że gość namotał sprawę z porwaniem, bo chce się na tobie zemścić? Skoro poczuł się oszukany, to chyba powinien zgłosić ten fakt policji. A jeśli faktycznie na jego zlecenie któryś z tutejszych oprychów porwał Klarę, to chyba powinni się już odezwać, co? Bo chyba nie chodzi mu tylko o sam fakt porwania, ale chce tym zmusić cię do czegoś. Nie mam racji? Chce odzyskać kasę. Zgadza się?

Teraz Klaus wstaje. Siedzi już w jednym miejscu prawie pół godziny i czuje, że lada moment wtopi się w te cholerne wiklinowe pręty.

– Niczego nie zgłosił i nie zgłosi na policję, bo to taki sam bandzior, jak ci, którzy zawinęli Klarę, tyle że w białym kołnierzyku, rozumiesz? Facet wyłudza odszkodowania za rzekomo skradzione obrazy ze swojej galerii.

Klaus zdaje sobie sprawę z tego, że mówiąc to, odsłania się już zupełnie przed Martinem, bo chłop nie jest przecież głupi i pewnie zdołał się już zorientować, o co w tym wszystkim chodzi, ale ma to gdzieś.

Martin gasi tymczasem papierosa, odkasłuje i wzrusza jedynie ramionami.

– Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałeś – mówi. – Ale, tak czy inaczej, na tę chwilę to są tylko twoje przypuszczenia. Jedyne, co wiemy na sto procent, to to, że Klary dalej nie ma.

Klaus przyznaje mu rację. Nawet jeśli to nie sprawa zabójstwa, to i tak nie żałuje, że obnażył się przed Martinem. Z małym jednak wyjątkiem, bo o znaczkach w kamiennym liściku do Lizy nic mu przecież na razie nie powiedział. Więc nie obnażył się, a jedynie opuścił nieco gacie. Ma nadzieję, że nie będzie musiał świecić gołym tyłkiem.

Tymczasem głośno zastanawia się nad innymi możliwościami. Rzuca hipotezą o sąsiadach psychopatach, zbrojcu zaczajonym w krzakach, co to od tygodni podgląda Klarę, wreszcie sugeruje, że to może jakiś nakręcony ćpun chciał się zemścić na Martinie.

– Nie gniewaj się, ale nie wiesz, o czym mówisz. – Martin unosi brwi w zdziwieniu, po czym przekonuje, że być może miałoby to sens w przypadku, gdyby chodziło na przykład o jego kumpla Wojtkę.

– Ale ja? – Uśmiecha się. – Nadzoruję i serwisuję tylko parę ich programów komputerowych. W dodatku związanych głównie ze statystykami i takie tam inne pierdoły.

– Tak właśnie sądziłem – mruczy na to Klaus. Pewnie, że byłoby to głupie – myśli. – Głupie, bo powód może być tylko jeden: ja sam i moje zasrane biznesy. To ja jestem winny... Nie ma innego wytłumaczenia. Teraz powinienem chłopaka poprosić o bicz i wychłostać się po plecach.

8.

Klaus w końcu wraca do pokoju. Idzie też na piętro – sprawdzić, co u Zofii. Ta jednak śpi, więc rzuca na nią tylko okiem i wraca do Martina. Okazuje się, że chłopak rozmawia z Marią Staszko.

– Właśnie mówiłam panu Martinowi, co mi się przypomniało – mówi kobieta.

Klaus podchodzi bliżej.

– Proszę wejść – zaprasza i robi miejsce w przejściu.

– Nie, nie, zaraz jest mój ulubiony serial – wzbrania się kobieta. – Tylko chciałam wam coś powiedzieć o Klarze. Że ją widziałam, jak przemknęła. Ona skądś wracała.

– Wracała? – Klaus robi wielkie oczy. – Jest pani tego pewna? Byłem przekonany, że widziała ją pani, jak szła w przeciwnym kierunku. Tak to przynajmniej zrozumiałem.

– No właśnie dlatego tu przyszedłam. Oglądałam nieraz takie seriale, wiesz, kryminalne i tam często ważne są takie szczegóły, no... co ja ci, stara baba, będę tłumaczyć. Sam wiesz.

– A godzinę pani pamięta? O której to było?

– No tak, pewnie! Zaraz po dziesiątej. Zawsze o tej porze, przed spaniem, wychodzę rzucić jeszcze okiem na zewnątrz, czy wszystko w porządku.

Przez chwilę obaj z Martinem milczą zaskoczeni, aż Klaus mówi:

– Bardzo nam pani pomogła, dziękujemy. To ważna informacja, prawda? – Odwraca się w kierunku Martina, a ten kiwa głową i dodaje: – Oczywiście pani Mario, ja też dziękuję.

– To dobrze – cieszy się kobieta. – Pójdę już. Uściskajcie Zosię, biedaczka pewnie przechodzi katusze.

9.

Klaus odprowadza sąsiadkę wzrokiem, aż ta znika mu z oczu. Czuje ulgę, że nie chciała zostać dłużej.

W pokoju czeka już Martin. Stuka nerwowo nogą o podłogę, wybija jakiś rytm palcami. Widząc Klause, zrywa się z kanapy i mówi, że nareszcie mają jakiś konkret.

Klaus wodzi wzrokiem za chłopakiem i boi się, że ten znowu wpadnie w słowotok.

– Czekaj, człowieku, spokojnie – mówi. – Klara musiała wyjść po te swoje pieprzone grzybki i zaraz wrócić, bo pewnie czegoś zapomniała. I wtedy widziała ją Staszko. Czyli mogła zostać porwana i z ulicy, i z domu.

– Klaus, na litość boską! Pół godziny temu nie mieliśmy nic, a teraz mamy prawie sto procent pewności, że ktoś ją porwał! I mamy wreszcie jakiś, kurwa, trop. A to, o czym mówisz... człowieku, przecież oni musieli stamtąd jakoś wyjechać, no nie?! Musieli dojechać do skrzyżowania i skręcić w prawo albo w lewo! W obu przypadkach musieli nadzieć się na kamery!

– Punkt dla ciebie, brachu. Nie pomyślałem o tym.

Nieprawda – pomyślał. Też tak sądził, ale niech chłopak ma satysfakcję.

Martin klepie się tymczasem zadowolony w kolano i zaczyna nerwowo rozglądać po pokoju.

– Szukasz czegoś?

– Cholernej komórki! Muszę dzwonić do chłopaków, żeby jeszcze raz przejrzeni nagrania z kamer. Mówię ci, że coś tam musi być!

– Słuchaj, Martin. Zadzwoń do kumpli, jasne. Ale sam chyba też możesz bez problemu wejść z kompa na te kamery, co? Przynajmniej się do czegoś przydamy. Co ty na to? Chyba że nie potrafisz.

Klaus cieszy się w duchu, bo dzięki temu chłopak przestanie się zadręczać, po drugie: otworzy im furtkę do tego, co w dalszej kolejności zamierza zrobić.

Zostawia więc Martina, a sam przenosi się do kuchni, gdzie odkręca zimną wodę. Czeka aż trochę jej spłynie, po czym napełnia szklanekę i duszkiem wypija jej zawartość. Kiedy ociera usta, słyszy, że dzwoni jego telefon.

To dyrektor May z zamku. Klaus całkiem o nim zapomniał.

Mężczyzna tymczasem chce wiedzieć, co się stało, że Klaus nie przyszedł na spotkanie.

– Byliśmy przecież umówieni – mówi z wyraźnym wyrzutem w głosie.

Klaus nie ma oczywiście ochoty wdawać się w szczegóły. Przeprasza i wykręca się złym samopoczuciem Zofii. Spodziewa się pytania, co ze skrytką, ale dyrektor pomija tę kwestię. Może nie jest nią aż tak bardzo zainteresowany – myśli Klaus. Tym lepiej.

– Dam znać, gdy będę mógł przyjechać, okej? – dodaje. – Proszę się nie gniewać.

– No dobrze – zgadza się dyrektor, chociaż Klaus wyraźnie słyszy, że niechętnie. Ma to jednak gdzieś. – Zdrowie pani Zosi jest najważniejsze. Czekam więc na kontakt i proszę ją ode mnie pozdrowić. Mam nadzieję, że to nie pierogi jej zaszkoziły. Wie pan, że u nas wszystko jest zawsze świeżuteńkie, i...

– Skądże znowu! To nie problemy żołądkowe, proszę się nie martwić. Pozdrowię, do widzenia.

Klaus czym prędzej kończy połączenie i chowa telefon w tylnej kieszeni dżinsów. Myśli też, że powinien w końcu sprawdzić jak najszybciej skrytkę ze znaczkami. Coś mu się zdaje, że w dalszej kolejności Francuz jednak ich zażąda. Klara za znaczki.

Tymczasem postanawia chociaż na chwilę zmrużyć oczy. Idzie więc do swojego pokoju, rzuca się na łóżko i zanim zdąży cokolwiek więcej pomyśleć, odpływa w senną nicość.

10.

Klaus obudził się po czterech godzinach. Dźwiga się i nagle uświadamia sobie, że Martin pewnie już dawno sprawdził to, o co go prosił.

W pokoju nikogo nie ma, za to z kuchni rozchodzi się zapach duszonego mięsa. Idzie tam więc i widzi Zofię stojącą przy piecyku gazowym, a także Martina siedzącego przy stole z rozłożonym na nim laptopem.

– Trochę pospałeś – zauważa Martin.

– Jak kamień – przyznaje Klaus. Ziewa, a po chwili, zwracając się do Zofii, dodaje z wyrzutem w głosie: – Miałaś odpoczywać.

– Odpoczęłam. A jeść trzeba.

– Martin ci powiedział, co...

– Nie chcę nic słyszeć. – Zofia wciąż stoi odwrócona plecami, wpatrując się w garnek z duszoną wieprzowiną, jakby to był ósmy cud świata. – Po prostu poczekam spokojnie, aż Klara wróci do domu.

Klaus zerka na Martina, unosząc przy tym brwi, ale on tylko wzrusza ramionami. No dobrze, myśli, każdy przeżywa inaczej. Nie podoba mu się jednak stan, w jakim się kobieta znajduje. Tak samo działało się zazwyczaj z Klarą, kiedy przytłaczały ją

problemy. Dziewczyna zamykała się w sobie jak małż. Czyżby Klara miała to po mamie? Klaus postanawia mieć Zofię na oku. Nie potrzeba im kolejnego problemu.

– Chodź do pokoju – słyszy nagle prośbę Martina. – Są wieści.

Obaj wychodzą z kuchni.

– Możemy wyjść na zewnątrz, muszę zapalić – prosi Klaus.

W altanie dowiaduje się, że kamera przy „Żabce” uchwyciła między godziną dwudziestą drugą a północą cztery furgonetki. Wszystkie zarejestrowano też na drugiej kamerze i wszystkie miały wyraźne tablice rejestracyjne. Kumpie Martina nie próżnowali – sprawdzili każdy pojazd. Klaus domyśla się, że jedna z nagranych furgonetek była kradziona, a Martin potwierdza to skinieniem głowy.

– Właściciel zgłosił kradzież w tym samym dniu, w południe – dodaje.

– To niech sprawdzą teraz, jak do tego doszło, może coś wygrzebią. Wiesz, gdzie to było?

– Na parkingu przy galerii handlowej w centrum.

– Serio? – Klaus jest zdziwiony. – Przecież tam wszędzie są kamery.

– Ale miejsca, z którego skradziono samochód, kamery, wyobraź sobie, nie obejmują. Taki mały pech...

Klaus drapie się pod brodą, gasi papierosa i mówi, że to w sumie dziwne. Bo jeśli jest tak, jak twierdzi Martin, to ktoś musiał o tym wiedzieć. No i miał szczęście, że akurat w takim miejscu była furgonetka.

– Chyba że stoi tam zawsze, bo należy do kogoś, kto pracuje w galerii – zauważa Martin.

– Otóż to, brachu. Dlatego zjem coś i sprawdzę to na miejscu, a ty mógłbyś wydobyć jakoś namiary na tego właściciela, co?

Martin nie widzi problemu.

– Dam ci znać – obiecuje.

Klaus wraca do kuchni. Po drodze wypytuje jeszcze Martina, czy pod jego internetowym ogłoszeniem o zaginięciu Klary znalazło się coś ciekawego. Słyszy jednak, że „człowieku, kupa hejtu i nic więcej” i wcale nie jest tym zaskoczony. Kiedyś na Facebooku założył sobie profil, po to tylko, żeby od czasu do czasu zaglądać do niego i zabijać czas. Parę razy wrzucił jakiś komentarz, najczęściej przy filmowych recenzjach i za każdym razem łapał się za głowę, skąd w ludziach tyle jadu. Jakby tylko czekali, żeby ukąsić. W końcu doszedł do wniosku, że to może i dobrze, że takie miejsce istnieje, bo frustraci mają gdzie się wyładować. Lepiej tam, sądził, niż w realu.

Rozdział 9

1.

W okolicy galerii handlowej Klaus zjawia się około godziny dziewiętnastej. Idzie na parking naziemny, z którego skradziono furgonetkę. Rozgląda się wokoło i dostrzega człapiącego pośród zaparkowanych samochodów ochroniarza. W tych długich czarnych spodniach, czarnej koszuli i żółtej kamizelce pewnie jest już dawno ugotowany na twardo, myśli o nim ze współczuciem.

Podchodzi i pyta, czy można tu palić. Ochroniarz – z bliska widać, że to dorabiający sobie emeryt – patrzy na Klause podejrzliwie, marszczy czoło i odpowiada, że w zasadzie tylko przy wyznaczonych obok wejścia do galerii miejscach, ale i tak nikt tego nie przestrzega.

– Ludzie mają to w dupie – mówi.

Klaus wyciąga więc paczkę cameli i proponuje ochroniarzowi „dymka”. Ten uśmiecha się, mówi: „Czemu nie?” i bierze papierosa.

– To chodźmy tam, gdzie nas te wścibskie kamery nie zobaczą – dodaje i prowadzi Klause na przeciwległy koniec parkingu.

Kiedy dochodzą na miejsce, ochroniarz wyjaśnia, że trzy miejsca – te które wychodzą poza obręb parkingu – nie są objęte monitoringiem.

– Bo na początku ich nie było, rozumie pan? Dosztukowali je już później, bo zrobiło się ciasno.

Klaus kiwa głową, że rozumie i podaje zapalniczkę ochroniarzowi.

– W taki upał, to chyba trudno tu wytrzymać, co? – zagaja.

– Da się przyzwyczaić. Jak trzeba, to trzeba, co nie? – rechocze ochroniarz. – A co się tu człowiek napatrzy, panie, tobyś pan nie uwierzył.

– Na parkingu? Co tu takiego ciekawego może być?

– No sam, człowieku, zobacz. – Ochroniarz zatacza dłonią łuk. – Same dobre bryki, nie? Nie jakieś tam z odzysku od Szwabów, tylko pewnie z salonów. I to ma być to biedne społeczeństwo... – Wydmuchuje dym i rozgania ręką chmurę. – Ja nie wiem, skąd ludzie mają tyle kasy. – Milknie i ponownie się zaciąga. Później przez chwilę kaszle i kontynuuje: – A jutro tobyś pan dopiero zobaczył. W sobotę to tu niektórzy po dwa wózki wypełnione pchają.

– Jak tu takie same wypasione bryczki stoją, to pewnie i złodzieje mają na to oko. Nie boi się pan?

– Zdarzają się wandalę, ale złodzieje? Fakt, wczoraj, zdaje się, właśnie stąd, kurde, ktoś buchnął dostawczaka. To pana Kazia samochód do towaru. Ma w galerii taki,

wie pan, punkt, gdzie i klucze pan dorobisz, i pasek do zegarka znajdziesz. Nawet fajnie się nazywa. „Złota Rączka”, cha, cha.

No i proszę, co może działać jeden papieros, myśli Klaus. Depcze swojego peta, żegna się i mówi, że na niego już czas, bo musi jeszcze trochę powęszyć po sklepach.

– Z koszykiem, na wózek mnie nie stać – śmieje się.

2.

„Złotą Rączkę” – szyld z wielkich żółtych liter jest z daleka widoczny – znajduje na parterze galerii. To mała klitka pełna różnych przydatnych drobiazgów – wszelkiego rodzaju baterii, zapalniczek, akcesoriów do nich, breloczków, nietypowych pasków i, rzecz jasna, wiszących na drewnianej tablicy surowych kluczy.

Za ladą młody chłopak coś sprawdza na monitorze komputera. Klaus nie sądzi, żeby to był „pan Kaziu”. Gość wydaje się mu zbyt młody. Pewnie jakiś praktykant, myśli i nie myli się. Po chwili dowiaduje się, że szefa nie ma, bo wyjechał gdzieś w interesach. Ma być w przyszłym tygodniu.

– No tak – wzdycha Klaus. – Kota nie ma, to myszy harczą.

– Że co? – Chłopak odrywa oczy od monitora.

– Mówię, że pod nieobecność szefa ktoś buchnął mu wasz samochód.

– Mała strata. To był grat. Zresztą, skradziono go już wcześniej. A pan zna szefa?

– Przelotnie. Wpadłem, bo chciałem o coś zapytać. Przyjdę, jak będzie.

– Coś przekazać?

– Nie trzeba.

Klaus dziękuje, wychodzi, ale zaraz wraca, bo stwierdza, że może dobrze będzie, skoro już tu jest, wymienić pasek do zegarka. Ten, który ma, jest już mocno zużyty. Przynajmniej to będzie miał z głowy.

Dziesięć minut później siedzi już w samochodzie i właśnie zamierza zadzwonić do Martina, gdy na telefonie pokazuje się nowa wiadomość SMS. Klaus klika w ikonę i widzi, że to właśnie chłopak Klary coś mu wysłał: „okradziony to Kazimierz Konkol”.

– No i super – mruczy pod nosem Klaus, po czym odpisuje, że przydałby się jeszcze adres.

Nowa wiadomość: „Zaraz doślę, czekaj”.

Czekanie trwa kilka minut, po których Klaus dostaje adres. Zastanawia się, czy jechać od razu, czy poczekać, aż się ściemni i dopiero wtedy poniuchać przy Złotej Rączce. Postanawia zostać i spędzić ten czas na swym ulubionym zajęciu, czyli beczelnemu przyglądaniu się ludziom. Wraca więc do galerii. Wcześniej dzwoni jeszcze do Sashy. Bez wyraźnego powodu. Tak tylko, żeby usłyszeć jej głos.

3.

O godzinie dwudziestej pierwszej trzydzięci nie jest jeszcze ciemno, ale całkiem widno też nie. Klaus parkuje rżęcha Zofii jakieś dwieście metrów od adresu, który przysłał mu Martin. Wychodzi na to, że Konkol mieszka w dzielnicy domów jednorodzinnych. Okolica przypomina Klausowi tę, w której sam mieszkał z Lizą. Gdy ta myśl pojawia się w jego głowie, dzwoni do niej, upewnia się, że wszystko z nią dobrze. Liza narzeka, że ma już dosyć siedzenia na dupie w jednym miejscu i chciałaby wrócić do siebie. Klaus obiecuje, że jutro do niej wpadnie.

– A co, stęskniłeś się za mną?

– Za moim mercedesem. Na razie – odpowiada i przerywa połączenie.

Wysiada z samochodu, w telefonie włącza tryb cichy i spacerowym krokiem zmierza w kierunku domu, jak przypuszcza, pana Kazia. Idąc, przebiega wzrokiem po otoczeniu. Ulica jest kręta, odchodzą od niej boczne uliczki, a domy nie stoją jeden przy drugim. To – myśli Klaus – powinno mi ułatwić w razie czego ucieczkę. Ma zamiar podejść najbliżej, jak się da. Może los się w końcu do niego uśmiechnie. Uważa, że zasłużył sobie na odrobinę łaskawości.

Pokonuje mniej więcej trzy czwarte dystansu i wchodzi na ostatni, prosty tym razem, odcinek drogi. I już z daleka dostrzega przy budynku numer 37 zaparkowanego SUV-a. To czarne bmw. Podchodzi jeszcze bliżej, dyskretnie robi zdjęcie, i za płotem widzi jeszcze audi A6 i zaparkowane obok niego drugie ciemne bmw. Też utrwała samochody w telefonicznej galerii. Zza budynku słychać tymczasem wesoły gwar rozmów i Klaus żartuje w myślach, że towarzystwo czi pewnie tysięczny dorobiony klucz.

Jest już prawie ciemno, chociaż na nieszczęście Klause ten fragment terenu obejmuje swym zasięgiem uliczna latarnia. Klaus wchodzi więc w nieoświetloną uliczkę i stara się dojrzeć, czy uda się mu przejść na tył domu Konkola. Stwierdza, że tak, ale z miejsca, w którym się zatrzymał, i tak słyszy dosyć wyraźnie rozmowy, postanawia więc nie ryzykować niepotrzebnie. Podchodzi jeszcze kilka kroków i nadstawia ucha.

Na początku słyszy jedynie przekomarzania kilku facetów, sądzi, że trzech, o to, czy jakaś Krysia ma powiększone „cycki”, czy może „takie balony same jej urosły”. Trwa to dobre pięć minut, aż jeden z nich zakłada się z drugim o tysiąc złotych, twierdząc, że zapyta Krysę o to wprost.

– Strzeli cię w ryło, Heniu. Nie ryzykuj, bo i tak masz już gębę jak sitko.

– Nie dosięgnie.

Klaus słyszy salwę śmiechu i sam uśmiecha się pod nosem. Tyle że krzywo, bo takie żarty go nie śmieszają. Co za głupki – myśli. Stoi jednak dalej. Mija kolejne kilkanaście minut, a Klaus wie tyle, co na początku – że podsłuchuje paru cwaniaczków z dobrymi brykami. Na pocieszenie mówi sobie, że pan Kaziu Złota

Rączka w żadne biznesy nie wyjechał. Po kradzieży samochodu z jakiegoś powodu zadekował się w domu i cieszy się z życia.

Klaus uznaje, że na tym koniec tego cyrku i właśnie zamierza się wycofać, kiedy słyszy:

– ...eżdżąca wizytówka, szkoda mi ter...

– Kurwa, co ty bredzisz? Mało masz kasy? Wam się, kurwa, w dupach przewraca! Nie gadaj mi tu o jakichś pierdolonych wizytówkach! Kupisz sobie nową!

No i tyle – myśli Klaus. Nic z tego nie będzie. Prędej jakiś pies kąśnie go w tyłek niż dowie się czegoś konkretnego. Mimo to czeka jeszcze chwilę na dalszy ciąg, ale go nie ma. Któryś z cwaniaczków, może sam pan Kaziu Złota Rączka, włącza właśnie radio.

4.

Kiedy po około pół godzinie wraca do domu, w kuchni nikogo nie zastaje. Na stole widzi talerz z resztkami jedzenia i drugi pusty, pewnie przygotowany dla niego. Idzie na górę do pokoju Zofii. Delikatnie puka w drzwi, a kiedy słyszy „wejść”, zagląda do środka. Widzi, że Zofia siedzi w bujanym fotelu i robi jakiś szal na drutach.

– Czy czegoś ci potrzeba? – pyta uspokojony, a widząc przeczenie głową, wycofuje się z pokoju.

– Klaus – słyszy nagle.

– Tak?

– Nie martw się o mnie, nic sobie nie zrobię. Po prostu nie mogę o tym myśleć.

– Jasne, tak. Jakby co, to wołaj. A co z Martinem? – Przypomina sobie o niedojedzonej kolacji chłopaka. – Znowu go gdzieś poniosło?

– Wezwali go na komendę, jakaś awaria w systemie podobno.

– Coś dużo tych awarii mają – wzdycha Klaus i przychodzi mu do głowy, że biedak ostatnio więcej czasu spędza w robocie, niż w domu. I to w takim momencie.

Zamyka za sobą drzwi pełen złych przeczuć. Zofia w niczym go nie przekonała co do swojego stanu. Może i nic sobie nie zrobi, oby, ale takie tłumienie w sobie emocji niczego dobrego nie wróży. Klaus uważa, że to jak nadmuchiwanie balonu. W końcu przychodzi moment, że musi pęknąć.

Smutny, schodzi do kuchni i nakłada sobie porcję jedzenia, chociaż nie ma apetytu. Zanim zaczyna jeść, dzwoni jeszcze do Martina. Chciałby mu wysłać foto z rejestracją samochodów, które uwiecznił u Złotej Rączki, ale telefon milczy jak zakłęty. Dzwoni jeszcze raz i to samo – cisza w eterze.

Zniechęcony tym, zjada ledwie parę kęsów mięsa z ziemniakami i surówką i odsuwa talerz. Obiad o tej porze to i tak nie najlepszy pomysł.

Chciałby coś zrobić, ale nie wie co. Złapał trop i czuje się jak pies myśliwski przywiązany do drzewa. Tylko czy aby na pewno coś złapał? Ekipa Złotej Rączki

może i pasuje mu do akcji z kamieniami, nawet na pewno, ale czy takie głąby zdobyłyby się na porwanie? Może kota, gdyby go Klaus posiadał. Stwierdza więc, że musi choć przez chwilę zająć się czymś innym. Coś przeczytać, obejrzeć, obojętnie co, byle przestać myśleć na chwilę o Klarze, znaczkach, Zofii i całym tym bajzlu.

Musi przewietrzyć głowę.

Idzie więc do swojego pokoju jak człowiek, który czuje na karku swoje lata. Tam zwala się na łóżko, wyciąga spod niego laptop, opiera o ścianę i łączy się z siecią. Usiłuje skupić się na ostatnich informacjach. Przebiega wzrokiem krzykliwe tytuły o wojnie, wyroku na babsko, które zrzuciło z balkonu psiaka (pies nie przeżył), dociera do informacji, że krajowy produkt brutto zleciał na łeb na szyję, a w Grecji zderzyły się czołowo dwa pociągi. Klika w tę ostatnią informację i usiłuje przeczytać tekst do końca. Nie może się jednak skupić – oczy czytają, ale mózg robi swoje: nieustannie podsuwa obrazy gdzieś tam uwięzionej Klary, jej strachu i przerażenia. Zniechęcony odkłada w końcu laptop, wstaje z łóżka i klęka przed stertą książek ułożonych jedna na drugiej pod ścianą. Stoją tak, jak je kiedyś tu poukładał. Przygląda się tytułom, wyciąga rękę, aby wziąć jedną z nich, ale rezygnuje. Wie, że zabieranie się teraz za czytanie nie ma sensu. Wstaje więc i idzie do łazienki. Tam rzuca ubranie i bierze zimny prysznic. To go trochę orzeźwia. Ale w domu, mimo niewątpliwych zalet grubych, starych murów, jest tak duszno, że zanim wraca do swojego pokoju czuje na ciele pot. Kładzie się na łóżku, splata ręce na piersi i patrzy pustym wzrokiem w sufit. Wydaje mu się, że jego myśli krążą gdzieś wokół Sashy, a może to jest Klara, albo Liza, sam już nie wie, bo wszystko zlewa się w jeden obraz i nawet nie wie, kiedy zasypia.

Rozdział 10

1.

Następny dzień Klaus wita o szóstej rano. Wcześniej, jak na jego zwyczaje, ale nie jest tym zdziwiony, skoro w głowie myśli latają mu niczym nietoperze w jaskini. I tak dziwne, że w ogóle zasnął.

Gdy wstaje, stwierdza, że niebo za oknem zasnuwane jest szarymi chmurami. Dociera do niego, że to nie sen i nie zabrudzone szyby, a najprawdziwsza prawda. Nareszcie jakaś zmiana. Radość jest jednak przedwczesna, bo wychodząc parę minut później z grzanką, kawą i papierosem w rękę na swoje ulubione schodki, zderza się z parnym powietrzem i jego dobry humor znika.

Po odtrąbieniu rytuału, Klaus wraca do pokoju. Zastanawia się, czy już dzwonić do Martina i zrywać go z łóżka, czy dać mu jeszcze z pół godziny. Nie jest tego pewien, ale wydaje mu się, że chłopak Klary wrócił do domu całkiem niedawno. Postanawia jednak nie czekać. Trudno. Dla Klary mogą się przecież liczyć minuty. Dzwoni więc i cierpliwie czeka z telefonem przy uchu, aż ten odbierze. W końcu słyszy jego zaspany głos i mówi:

- Sorry, że tak wcześnie, ale...
- Jasne, za chwilę zejść, okej? Która właściwie jest?
- Parę minut po szóstej.
- No to pospałem... Dobra, już się zabieram – ziewnięcie.
- Spokojnie. Idę teraz pobiegać, więc jakieś pół godziny jeszcze masz. Później musimy omówić ważne sprawy. To na razie.
- Na razie.

Klaus chowa telefon, wyjmując z walizki słuchawki na uszy z wbudowanym odtwarzaczem, zarzuca ręcznik na szyję i wychodzi na ulicę. Ustawia sobie playlistę do odsłuchania i włącza ustrojstwo. Poranna cisza usypionej jeszcze w sporej części ulicy znika, zastąpiona utworem *Let There Be Rock* AC/DC. Od razu czuje, jak krew żywiej zaczyna mu płynąć w żyłach. Nie wie tylko czy bieganie w taką pogodę to dobry pomysł. Ale na tyłku i tak by nie usiedział.

Dobiega truchtem do skrzyżowania i skręca w prawo w kierunku sklepu. Po chodniku snują się pojedynczy ludzie, na ulicy ruch jest natomiast spory i Klaus zwalnia, chociaż i tak wie, że przez chwilę wdychać będzie spalinę.

Mija sklep po niecałej minucie i dociera do zaniedbanej alejki nad rzeką. Tu jest spokojniej. Jest już mokry od potu, wyciera więc czoło zawieszonym na karku

ręcznikiem i biegnie dalej. Po drodze mija jakiegoś człowieka z psem na smyczy, potem jeszcze jednego i wreszcie dociera do małego mostku.

Klaus uważa, że kondycję, mimo palenia, ma nie najgorszą. Jednak teraz ledwo zipie. Bierze parę głębszych wdechów i opiera się o barierkę. W piersiach łomocze mu serce. To jednak nie pogoda na bieganie, dochodzi do wniosku. Ma wrażenie, że oddycha wodą, a nie powietrzem.

Droga powrotna do domu zabiera mu blisko dwadzieścia minut. Już nie biegnie, to raczej szybki marsz. Nie ma zamiaru paść tuż przed domem na zawał, tym bardziej że znowu odzywa się to nieprzyjemne kłucie w okolicach mostka.

Wreszcie dociera i pierwsze kroki kieruje pod prysznic. Idzie następnie do kuchni po coś do picia i widzi Martina – je śniadanie.

Klaus przysiadła się do stołu i pyta, czy koledzy z policji na coś wpadli.

– Mają dzisiaj sprawdzić tego gościa od skradzionej furgonetki.

– No to rzeczywiście się śpieszą – mruczy Klaus. – Prawie jak psy wyścigowe...

– Też im to powiedziałem, ale twierdzą, że wiedzą, co robią i mają swoje pieprzone procedury.

– Jasne. Pewnie zawsze tak mówią. Dlatego musisz coś jeszcze ustalić w tym swoim necie.

Po tej uwadze Klaus streszcza Martinowi to, co usłyszał wczoraj pod domem Żłotej Rączki i pokazuje mu w telefonie numery rejestracyjne samochodów.

– Prześlę ci je na mejla – tłumaczy – i trzeba się dowiedzieć, do kogo należą. Później musisz znaleźć o nich wszystko, co tylko możliwe.

– Czyli?

– No wiesz, to, co jest publicznie dostępne i to, co ukryte, cóż... Dla ciebie chyba to łatwizna, co nie? Na przykład jakieś ich działki, altany, domy, może magazyny... No sam nie wiem. Zobaczysz.

– Chodzi ci o miejsca, gdzie mogłaby być Klara. – Oczy Martina robią się jakieś szkliste i Klaus szybko kiwa głową, że tak, że właśnie o to mu chodzi. – Naprawdę uważasz, że to oni mogą ją przetrzymywać? Może powinniśmy to jednak zgłosić?

– I co powiemy? Że coś nam się wydaje? – Klaus wstaje. – Niech oni robią swoje, a my swoje. Jak się okaże, że trafiliśmy w dziesiątkę, to wtedy zgłosimy. Okej?

– Okej.

– No dobrze – wzdycha Klaus. – Ja się zbieram, muszę jechać odebrać mercedesa, a później zapierniczam do zamku. A ty, jak już cokolwiek ustalisz, przysyłaj SMS-ami.

– Jasne. – Martin też wstaje.

– I kukaj do Zofii. Jakby co, zaraz dzwoń.

Do swojego wynajętego mieszkania Klaus jedzie taksówką. Żeby tam dotrzeć, trzeba się przedrzeć przez centrum miasta. O tej porze – jest wpół do ósmej – nie jest to łatwe. Połowa mieszkańców zdąża właśnie do pracy, korkując przy tym większość ulic. Klaus niecierpliwi się i pyta kierowcę, czy nie może jechać jakimiś bocznymi uliczkami.

– To powiedz pan lepiej, którymi – prycha taryfiarz. – Co druga jest rozkopana! I tak będzie pewnie do jesieni. Zawsze, kurde, w wakacje rozwalają pół miasta! Jeszcze się nie zdarzyło, panie drogi, żeby było inaczej. Ale jakby tak obniżyli cenę biletów na komunikację miejską, to może by się tu wreszcie, cholera, poluzowało. Ale oni tylko łupią ludzi z kasy, ile wlezie. Jedna władza, czy druga – macha wolną ręką – jeden, za przeproszeniem, bajzel.

Klaus nie bardzo ma ochotę na dyskusję o niuansach władzy samorządowej, chociaż mógłby odpowiedzieć, że pieniądze jednak z nieba nikomu nie spadają. Nawet taki oszust jak on musi się nieźle nakombinować, żeby wyjść na swoje.

Nie chcąc tak siedzieć beczynn timer, wygrzebuje z kieszeni telefon i postanawia sprawdzić, czy Mecenasa w końcu dogrzebał się czegoś. Wyszukuje go na liście kontaktów i już ma kliknąć w połączenie, kiedy się rozmyśla. Dobrze wie, że gdyby jego przyjaciel ustalił coś konkretnego, dałby znać. Postanawia więc cierpliwie czekać.

3.

Pod budynek, w którym zadekował Lizę, dojeżdżają ostatecznie dwadzieścia minut później. Klaus płaci za przejazd, dziękuje i wysiada. I z miejsca, niczym mokra peleryna, oblepia go skisłe od gorąca powietrze. Patrzy w niebo i widzi, że trochę się przejaśnia. Sam nie wie, czy to dobrze, czy źle. Chyba wolałby jednak burzę z ulewą.

Staje przed drzwiami na klatkę i dzwoni do Lizy, ale znowu musi czekać, aż śpiąca królewna raczy odebrać.

- Klaus, na litość boską, ty chyba cierpisz na bezsenność, co?
- Stoję pod drzwiami na dole, otwórz mi.
- Poważnie?!
- Oj, Liza, otwórz te cholerne drzwi!

Rozłącza się i znowu czeka. Trwa to dobre kilka minut i Klaus nabiera przekonania, że tak już będzie przez cały dzień – kiedy jednym się śpieszy, inni zawsze mają czas. Przypomina mu się wycieczka z Lizą do Akaby w Jordani, kiedy jeszcze co godzinę szeptali sobie czule słówka jak para zakochanych nastolatków, i któregoś dnia w lokalnym biurze turystycznym zapisali się na wycieczkę nad Morze Martwe. Przyszli punktualnie o dziesiątej, a wyjechali dopiero dwie godziny później, zmasakrowani oczekiwaniem i rosnącymi z minuty na minutę

wątpliwościami, czy aby nie dali się nabić w butelkę przez jakiegoś lokalnego naciągacza. Kiedy później zapytali, co się stało, właściciel biura wzruszył tylko ramionami, uśmiechnął się i spokojnie odparł, że dzień się przecież jeszcze nie skończył i nie ma o co się kłócić, bo przecież jadą, no nie?

Mimowolnie uśmiecha się teraz do tych wspomnień i łapie się na tym, że trochę żał mu tamtych chwil, a może i całego zmarnowanego małżeństwa. Po zastanowieniu dochodzi do wniosku, że jeśli czegoś ma naprawdę żałować, to straconego czasu. I tego, że wcześniej nie poznał Sashy.

Brzęczyk oznaczający uwolnienie zamka w drzwiach wyrывa go z tych wspomnień i Klaus szybkim krokiem dociera do mieszkania. Ledwo zamyka za sobą drzwi, gdy Liza obejmuje go za szyję i mówi, że nareszcie raczył ją odwiedzić „w tym więzieniu”.

– Co innego, jakbyś był tu ze mną – dodaje z wyraźną nutą kokieterii w głosie.

Równie zaskoczony Klaus byłby, gdyby na szyję rzucił się mu orangutan w zoo. Ale i tak przez moment błyska mu myśl, że chętnie odwzajemniłby tę czułość. Tylko że nie zwariował jeszcze do reszty. Odciąga więc delikatnie dłonie Lizy, puszcza je i patrząc prosto w jej oczy, mówi:

– Tylko nie myśl, że dam się na to nabrać, za dobrze cię znam.

– W ogóle mnie nie znasz, skarbie. – Liza odwraca się zgrabnie na pięcie. – Widzisz tylko to, co chcesz.

Klaus nie znajduje na to odpowiedzi, a może wcale nie chce znaleźć i idzie za nią do pokoju. Tam mówi, że musi zabrać mercedesa.

– No to bierz, przecież i tak nigdzie się nie ruszam. – Liza przechodzi do kuchni, skąd woła: – Zrobić ci kawę? Masz tu oryginalną włoską kawiarkę, wiedziałeś o tym?

Idzie za nią i tłumaczy trochę z przekąsem, że na razie to wygląda tak, jakby wynajął to mieszkanie dla niej, a nie dla siebie. Nie ma więc pojęcia, co w nim jest, a czego nie ma.

– Ale kawę możesz mi zrobić – prosi.

– To co cię tu sprowadza, mój były mąż? Tylko twój ukochany samochodek?

Klaus opiera się o parapet okna i śledzi wzrokiem ruchy Lizy. Zauważa, że kiedy ją widział ostatni raz, gdzieś przed rokiem, nie licząc ostatnich dni, trochę się jej przytyło. Mimo to nadal jest mocno pociągająca. Na szczęście już nie dla niego. Otrząsa się szybko z tych myśli i odpowiada:

– Dziwnie się zachowujesz, Liza. Dopiero co warczałaś na mnie, przez rok prześladowałaś sprawą mebli, a teraz zachowujesz się, jakby ci się mózg odwrócił do góry nogami.

Liza robi minę niewiniątka, którym z pewnością nie jest – Klaus doskonale o tym wie – i nalewa kawę do kubków.

– Filiżanek to ty tutaj, niestety, nie masz.

– No więc? – Klaus siada przy stole.

– Co, no więc?

– Co się z tobą dzieje, albo raczej, w co ze mną grasz? Wyjaśnisz mi to?

– No dobrze – wzdycha Liza i siada naprzeciwko Klausu. Zagląda z zainteresowaniem do kubka pełnego kawy i ciągnie: – Chyba uświadomiłam sobie, że nasze rozstanie było... cóż, pochopne.

– Litości, kobieto... o czym...

– Czekaj, nie przerywaj. Wiem, co chcesz powiedzieć. Że to moja wina.

– A nie było tak? – Klaus wstaje, podchodzi do okna i je otwiera.

– Może. – Liza podnosi głos. – Ale ty się bez zmruczenia oka zgodziłeś, gdy powiedziałam, żebyśmy się w takim razie rozeszli.

– A ty myślałaś, że co? Że będę cię prosił, żebyś ze mną została?

– Nie ukrywam, że trochę na to liczyłam...

– Liza, nie byliśmy sobie przeznaczeni, nie rozumiesz tego?

Klaus nie wytrzymuje i wyciąga papierosa z paczki, chociaż właściciel wyraźnie powiedział, że w mieszkaniu palić nie wolno, bo wszędzie są czujki przeciwdymne. Musi sobie jednak strzelić w płuca, nawet jeśli przyjechać ma straż pożarna. Bo zupełnie już się pogubił w logice jego byłej żony.

– Wiesz, co? – mówi, wydmuchując dym. – Zostawmy tę rozmowę na później, co? Za dużo mam teraz na głowie.

– A ja nie jestem tym najważniejszym problemem. To chciałeś powiedzieć?

Właśnie tak – myśli. Ale nie zamierza jej tego mówić. Ani przypominać, że prawdziwym powodem rozstania była jej nienasycona wręcz chęć posiadania luksusów i z dupy, za przeproszeniem, wzięty plan na życie. Klaus chodził w jednych dzinsach, aż się do cna nie starły, i było mu z tym dobrze. Jachtu swojej żonie kupować nie zamierzał. Ale teraz nie chce ani o tym myśleć, ani tym bardziej gadać z nią. Odpowiada więc dyplomatycznie:

– Wszystkie moje problemy są równie ważne – zapewnia. – Poza tym chyba zapomniałaś, dlaczego się tu znalazłaś.

– Bo się o mnie bałeś.

Klaus kręci głową i wzdycha. W tę sentymentalną nutę, w którą uderza Liza, za cholerę nie wierzy i jest zły na siebie, że mało brakowało, a znowu dałby się nabrać na fałszywe czułości.

Dogasza na wpół wypalonego papierosa, dźgając nim parapet, prostuje się i mówi, że musi już iść.

– Wrócimy do tego, może być? – obiecuje na odczepnego.

– Mam taką nadzieję, Klaus. W każdym razie życie jest pełne niespodzianek. Pamiętaj o tym i odezwiąj się.

Klaus zostawia Lizę w kuchni i wychodzi z mieszkania. Jest już na półpiętrze, gdy słyszy, że ona go woła.

– A kluczyki?

Zatrzymuje się i wraca. Tak mu zamąciła, że zapomniał, po co przyjechał.

– Dzięki – mówi. Tym razem znika już na dobre.

4.

Przez całą drogę do zamku Czocho stara się nie myśleć o tym, co usłyszał od Lizy. Mimo to męczy go jej dziwna zmiana zachowania. Żałuje tylko, że nie zapytał, czy to znaczy, że zmieniła też zdanie, co do Klary i tego, że się w niej ponoć kocha. Wjeżdżając już na zamkowy parking, myśli, że ciekawe byłoby, co by odpowiedziała. Może: „Och, Klaus. Nie sądziłam, że cię to aż tak ubodzie, biedaku”. Niby żarty, kpina, żeby w razie czego powiedzieć: „Ja?! No coś ty, źle mnie chyba zrozumiałeś. Nie miałam nic złego na myśli”. Liza była mistrzynią fałszu. Ale i tak dał się na to nabrać... Tylko po jaką cholere teraz o tym myśli?!

Jedzie przez parking na jego tyły – bo tylko tam dostrzega wolne miejsce. Ledwo staje, kurz dopada Klause i niemal gołym okiem widać, jak osiada na rękach. Nawet nie próbuje go zetrzeć, bo wie, że zamieni się lepkie błoto. Odkasłuje i wysiada.

Ma przed sobą rozmowę z dyrektorem zamku, a później... no cóż. Okaze się, ile prawdy w swoim liście zawarła bibliotekarka i powierniczka tajemnic Ernsta Gutschowa. Akurat w tym momencie przychodzi mu też do głowy pytanie, dlaczego Francuz tak długo milczy? Na co, do cholery, czeka?

5.

Rozmowa z dyrektorem Mayem jest krótka. Tym razem bez obiadu i kawy. Klaus zjawia się w gabinecie pół godziny po przyjeździe. Najpierw odwiedza jednak recepcję i zabiera klucz do swojego pokoju – wciąż ma w hotelu zgłoszony pobyt. Musi wskoczyć pod prysznic, bo czuje się jak stary, zakurzony dywan. Przed wyjściem zmienia też koszulkę i wypija butelkę wody mineralnej. W gabinecie dyrektora Klaus krótko relacjonuje to, czego dowiedział się w Niemczech. Obiecuje przy tym, że w późniejszym czasie może sporządzić bardziej szczegółową relację na piśmie. Dyrektor May nie widzi jednak takiej potrzeby, bo w końcu Klaus wszystko robił za własne pieniądze. Nie wydaje się też zawiedziony finałem sprawy. Z uśmiechem na twarzy stwierdza, że spodziewał się takiego końca – pustej skrytki. Ale Klaus nie bardzo mu wierzy. Zbyt wyraźnie widzi w oczach zamkowego VIP-a zawód. No cóż. Na to nie może nic poradzić. Wyraża więc tylko pogląd, że w sumie w tym przypadku i tak nie można być pewnym czegokolwiek na sto procent.

Rozmawiają więc jeszcze chwilę o Saurmie i Gutschowie, po czym obaj temat uznają za wyczerpany.

6.

Jedną skrytkę Klaus więc zamknął. Drugą musi dopiero otworzyć. Tę najważniejszą. Po wyjściu z gabinetu Maya idzie więc krętymi schodami w dół w kierunku sali kominkowej, skąd zamierza się dostać na niższy poziom, gdzie znajduje się piwnica, w której kiedyś trzymano beczki z winem. To w tym pomieszczeniu, według opisu Saurmy, w jednym z narożników – Klaus oczywiście wie, w którym – znajdować się ma zakamuflowana skrytka.

Po wyjściu z ciasnego korytarza Klaus, korzystając z tajnego kiedyś przejścia, a teraz udostępnianego turystom, wchodzi na szerokie półpiętro z ekspozycją kilku zabytkowych foteli ustawionych wokół solidnie wyglądającego, dębowego stołu. Trochę go dziwi, że na fotelach siedzą ludzie, bo w końcu są to meble tylko do oglądania i podziwiania, ale skoro zamek bez problemu zamienia się w cyrk, to najwidoczniej można również udostępniać w ten sposób i zabytkowe meble.

– Klaus! To pan? – słyszy nagle za plecami. Odwraca się zaskoczony i widzi roześmianą w powitalnym grymasie twarz kustosa. Ściskają sobie dłonie. – Dawno tu pana nie było.

– Byłem, byłem. Kilka dni temu, ale to pana wówczas nie było i wcale mnie to nie zdziwiło.

– Ach, no tak. – Kustosz macha ręką. – Pewnie, jak był ten cały... festiwal czary mary, cholera. Wziąłem sobie wolne, bo chyba mnie tu coś pokręciło na miejscu...

Kustosz to Henryk Szulc. Na oko sporo po pięćdziesiątce. Średniego wzrostu, szczupły, z ogorzałą od słońca twarzą. Ma dosyć sztywny styl bycia i postawą przypomina emerytowanego wojskowego. Klaus zna go od ładnych kilku lat i podoba mu się jego podejście do pracy – jest zawsze konkretny, ma historię zamku w małym palcu i potrafi godzinami o nim rozmawiać, nie bojąc się przy tym otwarcie krytykować niektórych posunięć dyrekcji. Jak chociażby tej zadymy z czarną magią.

Teraz Szulc też ma chyba ochotę na krótką pogawędkę. Ale prosi Klause, żeby chwilę zaczekał na niego, bo musi załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Zresztą sam pan zobaczy – mówi.

Klaus kiwa głową, uśmiecha się przyjaźnie i obiecuje czekać.

Szulc tymczasem podchodzi do ludzi siedzących w fotelach i uprzejmie wyjaśnia, że są to eksponaty i nie wolno na nich siadać. No proszę – myśli Klaus. – Jednak nie wszyscy tu już powariowali.

– Ale jesteśmy gośćmi hotelowymi, to chyba możemy, co? – oburza się facet z brzuchem jak w ósmym miesiącu ciąży, który szczerzy zęby do pozostałej trójki kumpli. – No? Odejdź człowieku.

– Niestety nie. – Szulca najwidoczniej nie zraża lekceważący ton mężczyzny. – To ekspozycja, a nie komplet wypoczynkowy. Nie ma tu, co prawda, informacji na ten

temat, ale tylko dlatego, że większość zwiedzających rozumie, że na eksponatach się nie siada.

– Ależ z pana bezczelny typ! – Brzuchaty robi się purpurowy na twarzy. – Zapłaciliśmy za pobyt, te fotele są w części hotelowej, to nie ma prawa pan nas stąd wyrzucać. Co mnie obchodzą jakieś eksponaty! To sobie je stąd zabierzcie!

– Mam prawo. – Kustosz nie daje za wygraną, a Klaus, który przysłuchuje się całemu zajściu, nie może wyjść z podziwu dla jego spokoju.

Brzuchaty czerwienieje tymczasem jeszcze bardziej, wstaje, mówi do kumpli, żeby zrobili to samo i odchodząc, obiecuje, że zaraz złoży skargę na „tego bezczelnego typa”.

Kiedy on i spółka znikają już z oczu Klausa, Szulc tłumaczy:

– Widzi pan, z czym ja tutaj muszę się borykać? Niedawno zgraja takich pacanów, w nocy, po pijaku, dobrała się do mieczy. Wie pan, tych wiszących na ścianach. Brakowało tylko, żeby sobie łby porozwalali. Przez takich bęcwałów trzeba było w końcu niektóre oryginały pościągać i zastąpić czymś innym. Bo i kradzieże się zdarzały.

– Wie pan, są ludzie, parapety i szklanki – mówi Klaus i już go wcale nie dziwi, że ktoś grzebał Zofii w jej walizce. Widocznie były to te bęcwały – myśli.

– Ci tutaj to najwyżej spodki. Ale coś panu powiem, Klaus. – Szulc zniża nagle głos do szeptu. – Tylko niech pan to zatrzyma dla siebie, bo to nie jest jeszcze upublicznione. Jakby to wyszło... Stary by mi chyba łeb urwał.

– Przecież mnie pan zna, panie Henryku!

– No tak, tak. Więc niech pan sobie wyobrazi, że odkryliśmy kolejną tajemnicę zamku!

– Niemożliwe! Doprawdy? – Klaus czuje lekko przyśpieszone bicie serca. Ostatnio staje się to coraz częstsze – myśli. – Dyrektor coś mi wspominał o jakichś komnatach...

– E tam, komnaty. – Szulc macha ręką. – Komnaty to małe gówienko, za przeproszeniem. To coś lepszego. Niech pan słuca. W winiarni...

W tym miejscu Klaus czuje, jak krew odpływa mu z twarzy. Tylko nie tam, kurwa! – myśli.

– ...natrafiliśmy na jeszcze jedną skrytkę! Tyle razy, cholera, badałem to miejsce i do głowy mi nie przyszło, że pod tym niewinnym cokolikiem Gutschow kazał wydłubać jeszcze jeden schowek! Co za przebiegły lis z niego był. Ile tu tego jeszcze może być?!

Ja pierdolę – myśli Klaus. Właśnie sprzątnięto ci, durniu, sprzed nosa parę ładnych milionów... Ta myśl brzęczy mu w głowie niczym dzwoneczek u szyi owcy i dopiero po chwili uświadamia sobie, czym Szulc zakończył swoje rewelacje. To go już zupełnie rozwała.

– Niemożliwe – bąka pod nosem.

– A jednak, Klaus, a jednak.

Rozdział 11

1.

Jakie to dziwne – myśli Klaus. Jeszcze tydzień temu wyrwałby sobie włosy z głowy. A teraz informacja kustosza o tym, że w odkrytym schowku nie było nawet najmniejszego śladu po znaczkach zwała go z nóg nie dlatego, że jak mgła rozwiały się jego marzenia o milionach, a ze strachu o Klarę. Bo jeśli Francuz w zamian za nią właśnie ich zażąda, to Klaus wie, że ma zwyczajnie przejebane. Nie podrobi przecież tego gówna. Nawet gdyby Liza jakimś cudem miała na to szanse, to po pierwsze – takich rzeczy nie robi się z dnia na dzień, po drugie – zabojad był za cwany, żeby się na to nabrać. Po trzecie – ta suka odmówiłaby mu chociażby po to, żeby mu zrobić na złość.

Klaus siedzi teraz na starej zdezelowanej ławce obok dziurawej, przewróconej do góry dnem łódki w małej zatoczce. Myśli, że jest jak ona – dziurawy, spróchniały i niezdolny do niczego. Od dobrej godziny gapi się bezmyślnie w lustrzaną toń jeziora i co jakiś czas próbuje kombinować, jak się z tego wszystkiego wykaraskać. Jednak nic rozsądnego nie przychodzi mu do głowy. Jedyna myśl, która gniecie go jak odcisk na tyłku, to ta, że tym razem może nie być szczęśliwego finału.

2.

Droga do domu Zofii to znowu niekończący się koszmar jazdy w korku. Ale Klaus ma już nieco lepszy humor, bo wie, co będzie robić wieczorem. Martin przysłał mu pierwsze ustalenia – adres i *dossier* właściciela audika, którego sfotografował pod domem Złotej Rączki. Gość ma ksywkę Dolar, bo zajmuje się udzielaniem prywatnych pożyczek na lichwiarskich warunkach. Prowadzi też kantor walut, udziela oficjalnych chwilówek i ma komis „Zastaw się”. Klaus uważa, że nie jest on idealnym kandydatem na porywacza, ale dobre i to. Martin wygrzebał też w zakamarkach sieci, że Dolar posiada na własność jakąś halę po dawnych zakładach meblarskich, parę kilometrów za miastem. I właśnie tam Klaus zamierza pojechać, gdy się już ściemni. Może tam trafi wreszcie na jakiś ślad Klary. Oddałby za to wszystko. Ale teraz zjeżdża na stację benzynową, bo od przynajmniej trzydziestu kilometrów jedzie już na rezerwie.

Gdy tankuje benzynę, w samochodzie dzwoni jego telefon. Klaus nie za bardzo może teraz odebrać, ma zajęte ręce. Kiedy w końcu udaje mu się wyciągnąć telefon z kieszeni, ten milknie.

– Kurwa! – warczy.

Po chwili nadchodzi wiadomość SMS z nieznanego numeru: „Na twoim miejscu, Klaus, odebrałbym”.

Czeka więc na połączenie. Odchodzi parę metrów od samochodu i wreszcie znowu słyszy głos dzwonka.

– Czego? – pyta bezceremonialnie.

– Tu twój ulubiony windykator – słyszy po drugiej stronie. Głos znowu jest wyraźnie zniekształcony i Klaus już wie, co za chwilę usłyszy. Zastanawia się tylko, dlaczego akurat teraz. Co najmniej jakby go śledzili i czekali, aż pojawi się w zamku. – Za chwilę dostaniesz wiadomość i lepiej żebyś zrobił to, o co cię w niej poprosimy.

– Poprosicie? No proszę! Jestem wzruszony, doprawdy.

– No tak, jesteśmy porządną firmą. To do następnego, Klaus.

Połączenie zostaje przerwane. Klaus chowa telefon i wchodzi na stację, gdzie ogarnia go ożywcze, schłodzone powietrze. Płaci za benzynę, zamawia jeszcze małą kawę z mlekiem i do tego hot doga. Musi coś zjeść.

3.

Gdy Klaus siedzi już w samochodzie, kolejny raz czyta wiadomość od windykatora. Bo zdążyła już nadejść.

„Jak się już pewnie domyśliłeś, przyjacielu od niemiłych niespodzianek, Klara wróci do domu, jeśli do mnie dotrze to, co – jak sądzę, a nawet jestem pewien – właśnie odnalazłeś. Ponieważ nie chcę być gorszy od ciebie, wyślesz mi tylko połowę znaleziska (nie myśl, że nie wiem, ile ich jest). Instrukcje dostaniesz jutro, dzisiaj daję ci wolne od rozmyślań. PS Nie rób żadnych głupstw. *Monsieur*”.

Skąd Francuz mógłby wiedzieć, ile w skrytce miało być znaczków, skoro nawet on tego nie wiedział i nie wie do tej pory? I nigdy się, kurwa, nie dowie! Krystyna von Saurma w liście, do którego Klaus dotarł, pisała jedynie o znaczkach, bez żadnych wyliczeń. Pamięta dotyczący skarbu akapit dokładnie i tutaj na pewno się nie myli. Więc co się dzieje, do licha? Żabojad to jakiś jasnowidz, czy tylko niewybrednie blefuje? Klaus nie ma na to odpowiedzi, ale wie, że nie powinien tej wątpliwości odrzucać. Rozgryzie to później.

Tymczasem dzwoni do Martina i pyta, jak się czuje Zofia. Słyszy, że bez zmian, więc zmienia temat i mówi, że ze znaczków nici.

– Jakich znaczków? – Martin wydaje się zdziwiony.

Klaus prycha i przez moment ma ochotę odburknąć, że „srakich, kurwa!”. Gryzie się jedynie w język i przypomina Martinowi, co go jeszcze tak niedawno rajcowało:

– Znaczków w skrytce, cholera – dodaje dla pewności.

– Ach! Tych... Jak to nie ma, przecież miały być?

– Pamiętasz, co ci mówiłem o Gutschowie? Że to jebany żartowniś? No to sobie zakpił i tym razem. Nie ma więc tematu. Gorzej, że właśnie Francuz dał mi znać, że czeka na to gówno.

– Kurwa...

– No właśnie. Siadaj więc do kompa i powęsz jeszcze trochę przy tych gangusach, bo teraz to jedyna szansa, żeby szybko odnaleźć Klarę.

Po tej rozmowie Klaus znowu czuje przypływ energii. Zawsze wolał działanie, a nie rozmyślanie. Rusza więc w dalszą drogę.

Wjeżdżając do miasta, zmienia zdanie i zamiast do domu Zofii, jedzie do Lizy. Ma jakąś niczym nieuzasadnioną nadzieję, że może uda się jednak sfalszować chociaż jeden cholerny znaczek. A jeśli nie, to chce mieć przynajmniej czyste sumienie, że próbował.

Wolałby spotkanie z Sashą. Powiedziałyby jej o tym, co go dręczy, wyrzuciłby z siebie całą złość, uspokoił skołatanе nerwy. I nawet nie musiałyby nic tłumaczyć. Wystarczyłoby mu tylko jej łagodne spojrzenie. Ale nie dla psa kiełbasa, myśli z goryczą. Może później, gdy to wszystko już się skończy. Tylko czy wtedy będzie miał jeszcze na to siłę?

4.

Liza pokazała mu jednak środkowy palec. Zamiast siedzieć w mieszkaniu tak, jak ją o to prosił, mądrała zapadła się gdzieś pod ziemię. Nie odbierała telefonów, klucza do mieszkania Klaus oczywiście nie miał, więc pocałował tylko kłamkę i wściekły wrócił do domu Zofii, gdzie, nawiasem mówiąc, Martina też już nie zastał – znowu jakaś awaria pieprzonego serwera na komendzie.

Po kilku godzinach Klaus kuca pod małym, pozbawionym częściowo szyby oknem i obserwuje to, co dzieje się w hali Dolara. Widok ma idealny, można powiedzieć, bo hala jest prawie pusta, nie licząc jakichś starych maszyn i mebli upchanych jedne na drugich w kącie. Miejsce robi ponure wrażenie i Klaus myśli, że niejeden klient lichwiarza stracił tu już zęby. Albo i coś więcej.

W pobliżu przynajmniej kilometra nie ma innych zabudowań. Do hali przylega jedynie mały zagajnik i to od tej strony Klaus tu dotarł.

Z przodu budynku, niedaleko wejścia, które stanowią betonowe schody z zardzewiałą, pokrzywioną poręczą, stoją dwa samochody – jeden to audi Dolara, jak już Klaus zdążył się przekonać, drugie to czarny SUV bmw. Właściciela Martin jeszcze nie ustalił, za to przesłał mu wszystko o samej hali, łącznie z tym, że Dolar kupił ją od syndyka masy upadłościowej zbankrutowanych zakładów.

Tymczasem widzi siedzącego na krześle przy metalowym stole człowieka. Siedzącego, to zresztą złe określenie. Gość raczej zwisa i przypomina stłuczony worek kartofli. Jest umazany krwią, ma rozbite jedno oko, wargi jak po zabiegu

kwasem hialuronowym. Klaus ma niejasne wrażenie, że gdzieś już się na tę gębę nadział. Człowiek ten chyba chce coś powiedzieć, ale do uszu Klausa dochodzi tylko coś zbliżonego do bulgotu topielca.

– Milcz, dupku, i słuchaj.

Mówi to facet, który z opisu, jaki przysłał mu Martin (twierdzi, że wszystko jest na profilu na Facebooku), jest zapewne Dolarem we własnej osobie. Jest niewysoki, szczupły, a w bordowej koszuli z krótkim rękawem, dzinsach i żółto-niebieskich mokasynach wygląda trochę jak papuga na randce. No, to akurat randka na pewno nie jest – myśli Klaus. – Raczej przedrozwodowa napierdalanka.

Klaus widzi właśnie jak Dolar nachyla się nad nieszczęśnikiem i pyta, czy może zrobił on coś nie tak?

– Złamałem może naszą umowę, wpierdoliłem cię w to gównno, w którym się teraz tapłasz? – krzyczy nad uchem nieszczęśnika, który, z wysiłkiem kręcąc głową, chce chyba dać znać, że „nie”.

– Właśnie. Mam więc nadzieję, że nie masz do mnie pretensji, co?

– Niiieeee...

– To pewnie nie będziesz też miał, gdy Ciężki przetrąci ci parę palców.

Siedzący na krześle człowiek – to w istocie młody chłopak, jak sądzi Klaus – nagle zaczyna się szarpać. Przywiązany do oparcia podskakuje z krzesłem jak w jakimś szalonym tańcu i Klaus jest prawie pewien, że zaraz fiknie kozła i dostanie porządnego kopa od Dolara. Na szczęście dla siebie, młody się uspokaja.

– Nie, nie! – krzyczy, przerażony. – Błagam cię nie rób tego! Jezu! Oddam wszystko, tylko daj mi jeszcze kilka dni... Błagam cię, zlituj się...

– Ale z ciebie ciota – kpi Dolar. – Przed chwilą gdakałeś jak kura, a teraz drzesz mordę?! Kurwa, jak was wszystkich odrzeć z tych łachów i krawatów, postraszyć, to co zostaje, Ciężki, no?

Stojący w pobliżu mężczyzna, na oko, jak ocenia Klaus, jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi, uśmiecha się głupkowato i robi oczy jak spodki.

– Nie wiem, szefie – mruczy i widać, że nie grzeszy inteligencją. Ale po chwili rzuca radośnie: – Galareta?

Dolar parska zdrowym, niekłamany śmiechem.

– Galareta, o kurwa! Ciężki, ty to masz łeb! Galaretko raczej... Tak, Ciężki. Zostaje z was galareta. Słyszałeś, głąbie? G a l a r e t a ! No dobrze. Ciężki robi ci teraz mały manicure, ale pamiętaj, że kasę i tak musisz oddać. Trzeba było ruszyć mózgiem i nie przyłazić do kasyna. Wszyscy macie nasrane w tych łbach. Wydaje się wam, że wygracie pierdoloną fortunę, a wygrywacie tylko miejsce przy tym stoliku. Debile. A wszystkich lojalnie uprzedzam.

No proszę – myśli Klaus. – Gostek ma też kasyno. Niezły sukinsyn.

Klaus czuje, że jeszcze chwila i będzie musiał zmienić pozycję. Nie czuje już nóg. Nie rusza się jednak, bo widzi, że Dolar zabiera się do wyjścia.

– Tylko zaczekaj, Ciężki, z tym młotkiem, aż odjadę. Nie mam ochoty słuchać wycia tego zrasańca.

Sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi kiwa tylko głową. A w zasadzie całym sobą, bo szyja gdzieś znikła, a po chwili pyta jeszcze:

– Szefie, obie łapy?

– Jedną. Drugą mu zostaw, żeby mógł się od czasu do czasu walnąć nią w łeb.

Dolar w końcu wychodzi i niemal natychmiast słycać, jak zapala silnik w swoim audi i odjeżdża. Klaus, najciszej jak tylko się da, wstaje z kucek. Ma wrażenie, że zaraz zemdleje. Bierze głęboki wdech i nareszcie dochodzi do siebie. Rozgląda się wokół na tyle, ile odsłania światło bijące z okna i wypatruje kawałka cegły albo kamienia.

5.

Plan jest prosty. Klaus nie ma zamiaru pozwolić grubasowi, żeby ten zagrał sobie młotkiem melodyjkę na palcach chłopaka. Rzuca więc na oślep kawałkiem cegły przez okno i czeka na efekt. Ciężki zastyga w momencie uderzenia cegły o podłogę i stoi tak przez kilka sekund, nasłuchując. Klaus nie ma pojęcia, co ta beka sadła i mięśni myśli, może sądzi, że coś odpadło od sufitu. Chociaż wie, że to głupota z jego strony, decyduje się krzyknąć:

– Ej! Młotku! Jestem tutaj. Widzę, co robisz i zadzwoniłem na policję!

Następnie zerka w okno i widzi, że grubas biegnie w stronę drzwi. Chociaż Klaus tego właśnie chciał, wie, że jak zaraz nie da nogi spod okna, to King Kong Dolara pożre go w całości z butami. Ma jednak problem, bo nie wie, z której strony wielkolud nadejdzie. Stoi więc w miejscu z nadzieją, że w porę usłyszy jego ciężki bieg. Nic jednak oprócz własnego oddechu nie słyszy. Niemożliwe – myśli – żeby gość skradał się po tym pokruszonym cholerstwie jak mysz. Zagląda jeszcze raz do wnętrza hali, ale Ciężkiego w niej nie ma. Nagle do jego uszu dobiega odgłos ruszającego samochodu. Klaus nie może uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – przydupas Dolara po prostu uciekł...

– Nie do wiary – mówi sam do siebie, czeka jeszcze dla pewności jakąś minutę i decyduje się wejść do hali.

6.

Zwisający, stłuczony na maksa worek ziemniaków ma na imię Jerzy, a dla przyjaciół – Klaus jest teraz przyjacielem – Jerry. Dolarowi nie oddał w terminie dwóch tysięcy złotych, których potrzebował na opłacenie mieszkania, bo przegrał je w karty.

Klaus nie wierzy w zaległy czynsz. Jedynie karty wydają mu się prawdopodobne. Gówniarz mógł wymyślić lepszą bajeczkę – myśli. Nie mówi tego jednak chłopakowi, bo go to mało w sumie obchodzi. Już w samochodzie podaje mu paczkę chusteczek i radzi, żeby sobie otarł twarz, bo wygląda, jakby się golił kosiarką do trawy.

– Ile jesteś mu winien? – Pyta i znowu wydaje mu się, że gdzieś gnojka już spotkał. – Tylko nie mów, że dwa tysiące i że za to chciał ci paluchy przetrącić. Chyba, że to jakiś psychopata jest.

Chłopak przykłada chusteczkę do zapuchniętego oka.

– Prawie pięć – duka w końcu pod nosem.

– Jak ty się w to, chłopie, wpakowałeś? Nie wiedziałeś od kogo pożyczasz, czy jak?

Klaus ma zamiar podrzucić chłopaka pod jakiś szpital i mówi o tym, ale ten wzbrania się rękami i nogami.

– Nie, nie, nie – prosi. – Będę musiał tłumaczyć...

– A nie chcesz policji na karku, tak?

Klaus nie musi słyszeć odpowiedzi, bo wie, że tak właśnie jest. Zjeżdża na parking przy stacji benzynowej i każe chłopakowi zaczekać. Sam idzie po dwie małe kawy, wypłaca też pięć razy po trzysta złotych cashbackiem, przy okazji zaopatrując się w cztery nowe zapalniczki, i wraca do samochodu. Już wie skąd go kojarzy. To z nim się właśnie zderzył w parku, kiedy wyfiokowana lola z wózkiem i piaseczkiem zagapiła się w telefon.

– Masz tu połowę kasy – wyciąga portfel, odlicza tysiąc złotych, i dodaje to, co wypłacił – którą jesteś winien temu psychopacie – mówi i podaje banknoty chłopakowi. – Resztę musisz sam zorganizować.

Jerry, o ile faktycznie ma taką ksywkę, patrzy na Klause jednym wybałuszonym okiem i chyba nie wie, co ma powiedzieć.

– No nie patrz tak, bo ci to oko zaraz wypadnie – śmieje się Klaus. Popija kawę, uchyla drzwi mercedesa i zapala camela. Wypuszcza nosem dym, po czym chce wiedzieć, co ta sierota wie o bandzie Dolara.

Chłopak dalej mu się przygląda jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. Chowa pieniądze, upija nieco z kubka i wreszcie odpowiada, że to taki miejscowy gang Olsena.

– Co? Gang Olsena?

– A widział pan, jak ten grubas spierdzielał? Dolar ma tego idiotę przy sobie i jeszcze drugiego, Pryszczę. Obaj siebie warci. Potrafią tylko młotkami wymachiwać, kurwa. – Spogląda na swoje dłonie jakby nie wierzył, że jeszcze je ma w całości. – Jebańcy...

– Myślisz, że mogliby zorganizować porwanie?

– Porwanie?! – Zdziwienie chłopaka wygląda na autentyczne. – W życiu! Dolar to taki sam tchórz, jak ten jego Ciężki. I podobno to kapuś. Ma układ z psami, więc ta lichwa uchodzi mu na sucho. Nie... Porwanie to nie ta liga w ich przypadku. Nie wierzę. A co? Chce pan coś zorganizować? Mogę...

– Juruś, ty się lepiej klepnij w czoło, póki jeszcze masz czym i pomyśl o jakimś innym planie na życie. Dobrze ci radzę... No dobra. Gdzie cię podrzucić?

7.

Dochodzi dwudziesta trzecia i Klaus zastanawia się, co robić dalej. Wjeżdża właśnie do centrum miasta i postanawia zahaczyć o pizzerię. Zamawia średnią z salami i podwójnym serem, do tego wodę mineralną.

Wychodzi na zewnątrz i siada w małym ogródku ustawionym wprost na chodniku. Przed sobą widzi jakąś tulącą się do siebie parę i mężczyznę w średnim wieku skupionego nie tyle na jedzeniu, co na gapieniu się w smartfon. Myśli o tym, że fajnie byłoby tak siedzieć, jak ci ludzie, z beztroskim wyrazem twarzy. Tylko czy to nie jest tak, że pozory mylą? Może facet z telefonem ma raka, a para zakochanych właśnie kogoś zdradza?

Jest już trochę chłodniej. Słaby wietrzyk przegania resztki popołudniowego skwaru i Klauza powoli ogarnia znużenie. To był ciężki dzień – myśli. – I niezbyt pomyślny. Znaczkę, których nie ma i jego koncepcja porwania oparta na miejscowych bandziorach, która zaczyna się sypać jak zamek z piasku. Słowem – nieudany odcinek serialu o życiu pod tytułem *Przypadki Klauza*.

Wzdycha ciężko i wraca myślami do ostatniej wiadomości od *Monsieur*. Zastanawia się, skąd ten szczywany lis mógł wiedzieć, ile powinno być znaczków? Nie daje mu to spokoju.

Dzwoni do Martina i nawet jest trochę zaskoczony, że ten od razu odbiera.

– Jak mama? – pyta.

– Chyba w porządku. Przed chwilą zaparzyła zioła i poszła na górę.

– Odezwała się w końcu?

– Do mnie w każdym razie nic. Ale rozmawiała chyba z jakąś znajomą przez telefon.

– Martwi mnie to, cholera, bo jak w końcu wybuchnie, to przez miesiąc jej nie uspokoimy. Czeka...

Klaus odkłada na moment telefon, bo właśnie pojawia się kelner z pizzą.

– Okej, już jestem – mówi. – Słuchaj, czy Klara mówiła komuś jeszcze o znaczkach? Może ci coś wspomniała, co?

– Raczej nie... Nie mam pojęcia, nie wracaliśmy do tematu, zresztą pomyślałem sobie, nie gniewaj się, że chyba trochę... no wiesz... konfabuluje.

– Zmyśla? – dziwi się Klaus. – Skąd ten pomysł?

– No wiesz, w końcu wszystkie choroby świata też sobie zmyśla, nie?

Klaus musi przyznać mu rację. Coś w tym jest.

– No dobrze, kończę, bo właśnie kolacja wjechała mi pod nos. Jutro pogadamy, co dalej.

– Czeka! Jutro nie da rady. Muszę jechać na szkolenie.

– Jak musisz, to jedź. To na razie.

Klaus chowa telefon i bierze się za pizzę. To jednak dziwny facet, myśli o Martinie. Znika mu ukochana, a on musi jechać na szkolenie. Przecież nie pracuje tam na etacie, do kurwy nędzy. Klaus dochodzi do wniosku, że to już chyba jest inne pokolenie. Ostatnio czytał, że młodzi ludzie coraz częściej praktykują otwarte związki, uważając to za sposób na przetrwanie miłości i wzajemnego zainteresowania. Kolejne pokolenia będą już tworzyć pewnie haremy. Tylko czy w dzisiejszych czasach można czemukolwiek wierzyć? Media pełne są fake newsów i coraz trudniej odróżnić prawdę od fałszu. Przychodzi mu na myśl, że to zupełnie tak, jak u niego.

8.

Niecałą godzinę później, leżąc już w łóżku, Klaus pierwszy raz myśli o tym, że być może ktoś go z całą tą zemstą Francuza wpuszcza zwyczajnie w kanał. To podejrzenie nie pojawiło się ot tak. To wieści od Mecenasas zasiały u niego tę wątpliwość. Stary przyjaciel zadzwonił w końcu chwilę po tym, gdy Klaus opuścił pizzerię i poinformował go, że ustalił jedynie tyle, że w Hamburgu Klausem zainteresowana była jakaś starsza kobieta. W Polsce trafiła na jego galerię, spodobały się jej oferowane kopie obrazów i chciała się dowiedzieć, jak trafić do ich autora. Jola z galerii Klausas powiedziała jej więc, że szef chwilowo przebywa w Hamburgu i podała paniusi numer telefonu. Na co ona się ucieszyła, bo okazało się, że sama mieszka właśnie w tym mieście. Mecenasas nie był pewien, czy tak było w rzeczywistości, czy to może jakaś kolejna sztuczka Francuza. Ale z tego, co zdołał się dowiedzieć w Paryżu, właściciel znanej galerii od dawna przebywa w jakimś szpitalu w Stanach. Ponoć jest ciężko chory.

– Więc raczej to nie on – stwierdził na koniec rozmowy. – Rzekomo jego dni są policzone. Ale wiesz, jak z tym jest. Równie dobrze ktoś może rozsiewać specjalnie takie szczury.

Klaus sam parę razy zacierał tak za sobą ślady. Mimo to sugestia Mecenasas zabiła mu niezłego ćwieka. Nigdy nie brał takiej możliwości pod uwagę, że ktoś podszywa się pod żabojada. Wbił sobie do łba, że to Francuz, i przyjął to za pewnik. Cholera, mógł wcześniej nad tym pomyśleć! Ale nawet teraz nie chciało mu się wierzyć, żeby było inaczej. Bo jeśli tak, to kto mógłby się, u licha, pod niego podszyć? Przecież nie ten debil Ciężki i jego pstrokaty szef Dolar!

Szuka w głowie jeszcze przez chwilę odpowiedzi na te i inne pytania, wydaje mu się, że coś mu tam świta w łepetynie, ale nagle zapada w ciemność. Sen przychodzi tym razem znienacka.

Rozdział 12

1.

Widok, jaki zastaje następnego dnia rano w kuchni, kiedy idzie przygotować grzanki, zaskakuje go. Przy stole siedzi Martin i w najlepsze, jak gdyby nigdy nic, wcina jajecznicę.

– Miało cię nie być. Zmiana planów? – pyta niby od niechcienia i podchodzi do szafki skąd wyjmuje opakowanie chleba tostowego.

– Pomyślałem, że nic się nie stanie, jak wyjadę trochę później.

Klaus przyjmuje to wyznanie z ulgą. W przeciwnym razie chyba znowu musiałyby zmienić zdanie o chłopaku siostry.

– Była tu w ogóle policja w sprawie Klary? – Pyta, nakładając na grzankę dżem.

– Wczoraj. Taka rutynowa wizyta.

– No nareszcie! Musiały, kurde, minąć trzy doby. Pytali o mnie?

– Coś tam pytali. – Martin wstaje od stołu. – Chcieli wiedzieć, kiedy mogą cię złapać. Ale byli krótko, bo Zośka spała i nie chciałem, żeby ją budzili.

Zośka? To się Klausowi nie podoba. Jakoś nie zauważył, żeby Zofia była aż w takiej komitywie z chłopakiem Klary. Ale może i tutaj się myli.

– Nie chcieli numeru mojej komórki?

– Jakoś nie.

– Dziwne.

Klaus ma już na talerzu grzanki, zaparzoną kawę i zamierza przejść na schodki. Dzisiaj jest to jeszcze możliwe, ale jutro pewnie będzie już lało, bo niebo znowu jest zachmurzone.

Postanawia zaryzykować i zadzwonić do komisarza Więcka. Ma zamiar zapytać go, czy to normalne, że policja przy takich sprawach nie pali się do rozmów z rodziną. Kurwa! – myśli. – Przecież to nie jest normalne!

Sięga po wizytówkę, wybiera numer i czeka. Po chwili słyszy głos:

– Komisarz Więcek, słucham.

– Dzień dobry, komisarzu. Tu Kla...

– Wiem, zapisałem pana numer. Ale jeśli chodzi o tego nieszczęśnika, to sprawa jest już zamknięta. Sekcja wykazała, że był... no cóż, naćpany. I rzeczywiście wcześniej zrobił scenę zazdrości swojemu kochasiowi. A kiedy ten spakował się i wyjechał, nasz nieboszczyk zaaplikował sobie uśmierzacz bólu, no i... odleciał, można rzec. Tak więc należą się panu przeprosiny. Zadzwoniłbym, ale od dwóch dni jestem na urlopie i wracam dopiero za tydzień, więc...

– Rozumiem, nic się nie stało. W takim razie udanego wypoczynku.

Klaus chowa telefon z jednej strony zawiedziony, z drugiej zadowolony, że pan Kariierka nie ma powodu, aby węszyć w jego życiu.

Po chwili dzwoni jednak ponownie do komisarza. Urlop urlopem, myśli, ale Klara jest ważniejsza. Tym razem komisarz jednak nie odbiera.

Potem myśli już o tym, co zrobi, gdy dostanie kolejną wiadomość od... no właśnie. Od kogo? Po cichu liczy na to, że najpierw zadzwoni windykator. No dobrze. I co mu wtedy powiesz, Klaus? Że znaczków nie ma? Że nigdy ich nie było? Przecież ci nie uwierzy. Wkurwi się i będzie po ptakach – myśli Klaus.

– Gówno tam, a nie po ptakach – mruczy nagle w powietrze. Najpierw każe im przysłać sobie zdjęcie Klary z aktualnym wydaniem jakiejś gazety w tle. Na filmach to standard. Dopiero wtedy coś postanowi. Koniec tej pieprzonej parady karzełek. Musi mieć pewność, że Klara w ogóle żyje i nic jej nie jest. W tej chwili wszystko jest możliwe.

Dopija kawę, karmi płuca dymem z camela i właśnie zamierza wstać ze schodków, kiedy dzwoni telefon. Minutę później robi się blady jak ściana.

2.

Klara miała hopla na punkcie własnego zdrowia i Klaus jest święcie przekonany, że gdyby tak zajrzeć w środek jej duszy, to okazałoby się, że jego siostra najchętniej zamieszkałaby w szpitalu. Dlaczego nie? Nie musiałyby się co chwilę dopraszać, aby ją tam zawieźć. Pod tym względem on jest jej przeciwieństwem. Od czasu, kiedy musiał patrzeć na umierającą matkę, szpitali wręcz nienawidzi. Zapach lizolu wrył mu się w pamięć i wyraźnie odcisnął w nim jakieś piętno.

Teraz, idąc szpitalnym korytarzem, znowu to czuje. Lizol sprawia, że wspomnienia tamtych dni znowu wypływają na powierzchnię jak bąble powietrza uwiecznione w wodzie.

Klaus szuka oddziału intensywnej opieki medycznej. Korytarz jest pusty, nie ma więc kogo zapytać, jak go odnaleźć, a do sal chorych nie ma jakoś śmiałości zajrzeć. Wszystko tu odpycha go od tego miejsca, sunie więc krok za krokiem jak skazaniec prowadzony na szafot. Gacie ma pełne strachu, bo to, co musi zrobić, jest obrzydliwe i niezgodne z naturą i jego wyobrażeniem o śmierci. Ale wycofać się już nie może.

Wreszcie dostrzega wychodzącą z jakiegoś pomieszczenia pielęgniarkę. To młoda dziewczyna. Kiedy podchodzi bliżej, widzi, że ma podkrążone i zmęczone oczy. Wygląda, jakby nie spała już przez tydzień. Mówi jej „dzień dobry” i pyta o OIOM.

– Pan jest może Klaus Ebeling? – słyszy w odpowiedzi i odruchowo potwierdza skinieniem głowy. Czyżby miał to wypisane na czole?

Pielęgniarka uśmiecha się jak ktoś, kto czuje litość, i tłumaczy mu zawilości drogi. Na koniec informuje go, że lekarz już czeka, po czym mruga oczyma, chcąc mu chyba tym samym dodać otuchy. I odchodzi.

Klaus nie ma żadnych złudzeń, bo wie, co zastanie na miejscu. Te parę zdań będących w istocie wyrokiem, lekarz zdążył mu powiedzieć przez telefon. Reszty, zapewnił, ma się dowiedzieć, osobiście.

3.

Więc tak wygląda maszyna, która udaje Boga. Popiskuje, cicho brzęczy, pulsuje wskaźnikami na monitorach i... sapie. Klaus gapi się na to mądre urządzenie, chociaż wie, że powinien skupić wzrok na łóżku, tam, gdzie sięgają rurki i wiązki kabli, podtrzymując sztucznie życie. Ale nie potrafi. Jeszcze nie. Musi minąć kolejna chwila, aby dotarło do niego to, po co go tu wezwano.

Odwraca się w stronę lekarza i tłumaczy, że chce trochę pomyśleć.

– Oczywiście. Proszę się nie śpieszyć. Na dole jest mały bar, może po prostu zejdzie pan tam i przy kubku kawy pomyśli spokojnie.

Jakby o śmierci można było myśleć spokojnie – myśli Klaus. Słucha jednak rady i schodzi na parter szpitala.

W barze jest parę osób i większość to pacjenci w piżamach i szlafrokach. Jedni coś trąkoczą bez sensu, inni milczą, ktoś w kącie pochlipuje. Klaus stoi przez chwilę, przygląda się temu i w końcu opuszcza ten przybytek pseudorelaksu. I tak nie ma na nic ochoty. Kawy z lizolem pić nie zamierza.

Wychodzi więc na zewnątrz i idzie w kierunku wyjścia ze szpitala. Za płotem zapala papierosa i niemal w tym samym momencie czuje, że na głowę spadają mu pierwsze krople deszczu. Najpierw nieśmiało, jakieś powolne, ale duże, a w końcu z nieba spada ulewa. Rzuca więc peta na chodnik i biegiem wraca do szpitala. Czy zdążył pomyśleć? Nie. Ale i tak wie, co musi zrobić, więc po cholere ma jeszcze o tym myśleć. Ma tylko odstawić rolę Stwórcy. Tak po prostu. Powiedzieć: „Okej! Możecie nacisnąć ten cholerny guzik”. Koniec, kropka.

4.

Po powrocie do domu Zofii, Klaus idzie prosto na górę do jej pokoju. Musi jej powiedzieć, co się stało. Zastaje ją stojącą przy oknie.

– Mogę wejść? – I nie czekając na odpowiedź, zamyka za sobą drzwi.

– Zobacz, jak się rozpadało. Nareszcie – mówi tymczasem Zofia i odwraca się w jego stronę. – Chcesz mi coś powiedzieć, prawda? Widziałam jaki byłeś blady, wychodząc. Nie martw się, zniosę wszystko.

Klaus przez chwilę milczy, myśląc o swojej przybranej matce, że to naprawdę twarda kobieta i w końcu mówi, że ojciec właśnie umarł w szpitalu. Nie dodaje, że to on zmuszony został, by zabawić się w Boga i podjąć decyzję o odłączeniu aparatury, bo wie, że chciałby się wtedy tłumaczyć. Bo nawet jeśli lekarze wyjaśnili mu dosadnie i konkretnie, że nie ma już szans na to, aby stary Ebeling wybudził się ze śpiączki, to i tak Klaus do końca życia będzie się czuł w jakiś sposób winny. Uważa, że nikt nie powinien w taki sposób decydować o życiu innego człowieka. Nawet najpodlejszego. To natura jest od tego albo Bóg, jeśli ktoś w niego wierzy.

– Miał za bardzo zrujnowane zdrowie – dodaje. – To i tak był ponoć cud, że dożył aż do teraz. Lekarz twierdził, że wyglądało to tak, jakby na coś uparcie czekał i zwlekał z odejściem.

– A ty nie zdążyłeś go wysłuchać... – Zofia smutno kiwa głową. Mówi to, czego Klaus nie chciał dopuścić do siebie. Nie chciał tego cholernego poczucia winy. – No cóż, Klaus. Postąpiłeś, jak postąpiłeś. Może gdyby nie ta historia z Klarą... W każdym razie nie obwiniaj się.

Łatwo powiedzieć – myśli. W końcu obiecał staremu, że go znajdzie i spotka się z nim, i nie dotrzymał słowa. Z drugiej strony ojciec – myśli – mógł mnie odnaleźć dużo wcześniej.

– Było, minęło – mówi i siada przy stole. – Martwię się raczej o ciebie. Nie możesz tak dusić w sobie emocji.

Zofia znowu odwraca się w kierunku okna i zastyga przed nim na parę długich sekund, po których podchodzi do Klause, kładzie mu dłoń na ramieniu i wyznaje:

– Myślisz, że nie chciałabym płakać? Po prostu nie mogę. Rozumiesz? Nie mogę. – Nachyla się nad Klausem. – Bo przecież ona za chwilę wróci. Prawda? To dlaczego mam płakać? Muszę tylko cierpliwie czekać, Klaus.

5.

Wyznanie Zofii wstrząsa Klausem. Uświadamia mu, że z matką Klary jest naprawdę źle i być może powinien skonsultować się z jej lekarzem zanim będzie za późno. Po namyśle postanawia jednak poczekać z decyzją jeszcze kilka dni, bo mimo wszystko ma nadzieję, że Zofia w końcu się ocknie z letargu. Uważa, że on chyba powinien zrobić to samo, skoro przez ostatnie dni bezkrytycznie wierzył w coś, co powoli okazuje się zwykłą złudą.

Myśl ta sprawia, że znowu czuje chęć do działania. Ma ochotę wyjść teraz do ogrodu i stanąć w deszczu. Zmyć z siebie cały ten syf ostatnich dni.

I robi to.

6.

Deszcz jest ożywczy. Klaus po tym prysznicu prosto z nieba wskakuje w suche ubranie i jedzie do swojego wynajętego mieszkania. Do Lizy dalej się nie może dodzwonić, a ma do niej parę pytań. Jedno z nich się jej nie spodoba, bo Klaus chce wiedzieć, komu wygadała się o znaczkach. Nie wierzy, żeby było inaczej – i zamierza ją przycisnąć.

Po drodze wstępuje jeszcze do sklepu. Zofia od paru dni nie rusza się z domu, Martin wyfrunął na szkolenie, a lodówka zaczyna świecić pustkami. Ktoś musi więc zabawić się w zaopatrzeniowca.

Klaus jada w knajpach, barach albo restauracjach, a tu, na miejscu, pyszne obiady serwowała dotąd Zofia. Stoi więc teraz przed regałami i zachodzi w głowę, co miałyby właściwie kupić. W końcu wrzuca do koszyka makaron, ryż, parę konserw, idzie na stoisko z jarzynami. Dopełnia to wszystko wędlinami, żółtym serem, kurczakiem i kilogramem wołowiny. Ma nadzieję, że coś się z tego chyba da upichcić.

Zanim przychodzi jego kolej do wyłożenia towaru na taśmie przy kasie, przygląda się stojącej przed nim starszej kobiecie z małym brzdącem u boku. Babcia i wnuczek – myśli. Przed oczami staje mu Zofia z wielkim znakiem zapytania w okolicy jej rąk, na miejscu którego kiedyś powinien się znaleźć taki sam maluch jak ten tutaj. Czy tak się jednak stanie? Klaus traci powoli nadzieję.

Dzieciak tymczasem sięga po batonik na regale tuż przy kasie. Klaus zawsze podziwiał handlowców za to, jak umiejętnie rozkładają towar, tak aby dzieciaki mogły jeszcze na koniec samodzielnie dołożyć coś rodzicom do koszyka. Kasjerka śmiga czytnikiem po kodach kreskowych i podaje cenę. Babcia wzdycha, po czym – zawstydzona – odkłada jedną z zakupionych rzeczy.

– Niech pani to odliczy – prosi cichym głosem kasjerkę. – I te batoniki też. – Schyla się do dzieciaka i tłumaczy, że batoniki kupi mu następnym razem. Chłopczyk jest wyraźnie zawiedziony, ale nie robi babci żadnych scen.

Teraz kolej Klause. Bierze więc dwa batoniki z regału i prosi kasjerkę, żeby najpierw je zeskanowała, po czym zgrabnym ruchem – takim złodziejskim wyćwiczonym trikiem, tylko na odwrót – umieszcza je w babcinej siatce.

Chyba jednak trochę wyszedł z wprawy, bo kasjerka kręci głową i mówi „No, no...”.

Chwilę później Klaus przeżywa szok, gdy słyszy, ile musi zapłacić.

– Nie pomyliła się pani przypadkiem? – mówi.

Kasjerka robi oczy jak spodki.

– No tyle wychodzi – przekonuje i zaraz uśmiecha się z pobłażaniem. – Dawno pan nie robił zakupów, co?

Klaus oblewa się delikatnym rumieńcem, robi głupią minę i odpowiada, że właściwie to tak, dawno nie miał okazji.

Jadąc już do mieszkania, myśli o tym, że Ruscy, wywołując wojnę z Ukrainą, namieszcili na całym świecie. Szkoda tylko, że po dupie zawsze dostają ci najmniej winni.

7.

Klaus po raz kolejny stanął przed drzwiami wynajętego dla siebie mieszkania. Dochodzi do wniosku, że albo się już taki głupi urodził, albo Liza rzuciła na niego jakiś urok. Zaufał jej, chociaż wiedział, że nie powinien, a ona i tak ma go gdzieś. Znowu jej nie ma i powinien się o nią zacząć martwić, ale jakoś nie czuje strachu. Gdzieś podskórnie kiełkuje mu myśl, że Liza dobrze wie, co robi. Kto wie, czy ją w ogóle jeszcze zobaczy?

Naciska dzwonek raz jeszcze, sam nie wiedząc po co. Że też nie pomyślałem o zapasowym kluczu, cholera. Będę się musiał skontaktować z właścicielem – myśli.

Wraca do samochodu i jedzie tam, skąd niedawno zabrał swoją byłą żonę, wtedy pełen strachu o jej życie. Tym razem nie interesuje go jej mieszkanie. Chce sprawdzić coś innego.

8.

Podwórko jest większe niż Klaus sobie wcześniej wyobrażał. Ma kształt kwadratu i jest, o dziwo, czysto utrzymane. Żadnych starych mebli w kącie, kubłów z wylewającymi się z nich śmieciami i dyndającego na wietrze prania. Jest za to trawnik, dwa garaże po przeciwnej stronie i metalowy kwietnik, w którym oczy przyciągają rozwinięte kwiaty róży.

Klause nie dziwi ten widok, bo na tej samej ścianie, na której znajduje się rozbita szyba, jakieś pięć metrów dalej, widać szyld sex shopu. O porządek dba więc zapewne właściciel.

Rozgląda się bacznie wokół, ale tego, czego szuka, nie widzi. Mimo to wchodzi do sklepu. Ma nadzieję, że może właściciel coś zauważył.

W środku wita go zmysłowa, cicha muzyka i Klaus rozpoznaje, że jest to kawałek zespołu Cigarettes After Sex. Za ladą siedzi jakiś facet. W przyciemnionym świetle wygląda jak Danny de Vito.

– Ma pan tu monitoring? – pyta bez ogródek Klaus i podchodzi bliżej.

– A pan coś za jeden? Jeśli chcesz pan sprawdzić, czy żona się u nas zaopatruje, to źle żeś pan trafił – gość suszy zęby.

Opiera się jednak o ladę i przybliży twarz.

– Ktoś wybił mojej znajomej szybę i chciałem sprawdzić, co to za gównojady – mówi, po czym kładzie na ladę stówkę. – A to za poświęcony czas. Więc jak będzie?

Zęboszczere zgrabnie niczym magik zgarnia banknot i – choć to wydaje się niemożliwe – rozciąga usta w jeszcze większym uśmiechu. Z Danny'ego de Vito gość zmienił się w Stanleya Ipkissa zmienionego w Maskę. Klaus jest pod wrażeniem.

– W takim razie nie ma sprawy, kolego. A tych gnojków trzeba łapać, ciągle się tu kręcą. Nogi z dupy powyrywam, jak mi wpadną w ręce. Słowo daję! Tadek jestem! – Wyciąga dłoń na powitanie. – Mam kamerę na zewnątrz, ale ukrytą, bo w przeciwnym razie musiałbym codziennie zmieniać ją na nową.

– Jestem Klaus.

– Klaus? Fajne, kurde, imię!

Klaus pierwszy raz w życiu słyszy, że komuś podoba się jego imię. W podstawówce miał z nim tylko same problemy, bo dzieciaki wołały na niego Klaun. Do czasu, aż jednemu rozkwasił nos, za co zresztą prawie wyleciał ze szkoły, a stary stłukł mu dupsko, jakby to był kotlet schabowy.

– Klaus, chodź pan na zaplecze. Zobaczymy, co my tu mamy.

Chwilę trwało nim doszli do momentu, w którym kamień wleciał do mieszkania Lizy, a drugą chwilę, nim Klaus przekonał się, co kamera zdołała nagrać.

– No to pan widziałeś – skwitował sprawę Tadek. – Tymczasem, Klaus, może jakiś gadżecik? Ostatnio kobitki...

Klaus już nie słucha. Zamyka za sobą drzwi i czym prędzej wraca do samochodu. Ma ochotę trzasnąć swoim pustym łbem w kierownicę.

Rozdział 13

1.

– Cholera, Klaus, mogę ci tylko współczuć. – Martin klepie go po przyjacielsku w ramię. – Nigdy byś na to nie wpadł, co?

Kurwa, a powinienem – myśli Klaus. Powinien wiedzieć, że Liza zdolna jest do wszystkiego. Jak mógł nie wziąć tego pod uwagę?! Jej wściekłość na niego za to, że zażądał rozwodu, że ośmielił się rozstać z tak niewyobrażalnie niezwykłą osobą, z tym pępkiem świata, w połączeniu z wrodzoną chciwością i faktem, że rozpieprzył jej w drobny mak plan na życie – wszystko to mogło bez większego problemu sprawić, że w jej chorym mózgu zaczął pączkować numer, który odstawiła.

Teraz Klaus cieszy się, że jednak mógł o wszystkim powiedzieć Martinowi. Jadąc do domu, nie spodziewał się, że go w nim zastanie. Ale okazało się, że na szkolenie chłopak jedzie jednak późnym popołudniem, prawie wieczorem. Opowiedział mu więc, co zobaczył na nagraniu z monitoringu, a właściwie, czego nie zobaczył – nie było żadnych bandziorów rzucających kamieniem, a szybę rozbiła Liza od środka. Suka wszystko udawała. Od początku do końca wszystko zaplanowała. Nawet to popieprzone gadanie o miłości do Klary. Klaus do tej pory nie może uwierzyć, że dał się tak dziecinnie wręcz nabrać.

– Wiesz – mówi teraz – od początku coś mi w tym śmierdziało, ale nie potrafiłem tego uchwycić, to było jakieś takie... mało poważne.

– W sumie, to nie bardzo rozumiem, po co odwaliła tę całą szopkę. Tak jak ja bym rozumiał – myśli Klaus, a mówi:

– Może, żeby się uwiarygodnić. Sam nie wiem. Tak czy inaczej, łyknąłem ten kamień jak, kurwa, wygłodniały pelikan. Teraz tylko pytanie, kto jej pomaga? Bo sama tego wszystkiego nie dałaby rady ogarnąć.

Martin odchyła się na krześle i pociera skronie.

– Nie mam pojęcia. Może jednak trzeba z tym iść na policję, co? Teraz, jak wiemy, kto za...

– Nie! – Klaus gwałtownie wstaje i podchodzi do okna. – Mówiłem ci dlaczego. Cały ten twój pan Kariierka, czy jak mu tam, nie lubi mnie. Ja tylko usłyszy coś o znaczkach, o tym, że Liza to moja była żona, zacznie przy mnie węszyć i Klara zejdzie na drugi plan. Mówię ci.

– A jak coś się jej stanie? Klaus, przecież...

– Nie martw się. Liza nic jej nie robi, taka głupia nie jest. Jest chciwa do bólu, zawistna i nie może mi przebaczyć, że się z nią rozwiodłem, ale nie jest aż tak

stuknięta. Możesz być spokojny.

– No nie wiem, Klaus... To wszystko jest jakieś pojebane.

– Żebyś wiedział. – Klaus otwiera okno na całą szerokość i zapala papierosa. Przez chwilę patrzy na parującą po ulewie ziemię, po czym odwraca się i wyciąga telefon z kieszeni. – Dzisiaj mam dostać instrukcje w sprawie znaczków.

– I co teraz?

– Nic. – Klaus gasi peta o parapet. – Dam im znać, że ze znaczków nici, a w zamian mogą dostać kasę. No cóż...

– Chcesz im zapłacić?! To znaczy jej?

– Kurde, Martin, a myślisz, że czego ta cipa chce? Żeby ją pogłaskał? Pojadę teraz do banku i wyciągnę, ile się da.

– Wypłacą ci? Tak na poczekaniu? Z większymi kwotami to chyba nie jest tak raz-dwa.

– Uwierz, że jak masz na koncie trochę więcej niż inni, to z miejsca traktują cię trochę inaczej. Zawsze mogę zagrozić likwidacją konta. O kasę nie musimy się martwić. Tak czy inaczej, zdobędę ją.

– Skoro tak mówisz... Dzięki, że to robisz. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Nie dziękuj. Chociaż to nie moja krew, to i tak jest moją siostrą. No i to przeze mnie cały ten burdel.

Martin kiwa głową, ale nic nie mówi. Dopiero po chwili zaczyna się tłumaczyć z tego, że musi jechać.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym tu być na miejscu – mówi. – Ale to już koniec szkolenia. I muszę to zaliczyć. Bo to ostatni termin.

– I tak nic byś tu więcej nie wskórał. Nie przejmuj się. Skontaktują się, dadzą instrukcje i jutro będzie po sprawie.

Klaus chce w to wierzyć, bo nic więcej mu nie pozostało. Jest wściekły, że kolejny raz dał się oszukać. Najbardziej wkurwia go to, że Liza prawdopodobnie tarza się teraz ze śmiechu. By przerwać te rozważania, pyta Martina: – O której wyjeżdżasz?

– Koło dziewiętnastej.

– W takim razie chyba się jeszcze zobaczymy.

2.

W banku Klaus prosi o wypłatę tysiąca euro w drobnych nominałach. Po drodze zmienił zdanie i postanowił, że zamiast pół miliona, ta pinda dostanie to, na co zasłużyła – na torbę wypchaną szmatami okraszonymi drobnymi. Dosyć już z niego wyssała. Teraz kolej na żart z jego strony. Wie oczywiście, że ryzykuje, bo i tak wszystko zależy od tego, w jaki sposób będzie musiał dostarczyć kasę, ale jeśli nic rozsądnego w tym względzie nie wymyśli, to najwyżej poprosi o pomoc upierdliwego gliniarza. Nawet swoim kosztem. Trudno. Klara, nawet jeśli była

trochę stuknięta przez tę swoją obsesję i durne żarty, była krystalicznie uczciwa. I to samo należy się jej teraz z jego strony. Poza tym nie mógłby już nigdy spojrzeć w oczy Zofii. Nie mówiąc już o Sashy. Bo przecież chce patrzeć w jej oczy. Zwłaszcza w jej.

Nawet przy takim ryzykownym rozwiązaniu istniała szansa, że Klaus jakoś wykręci się policji sianem. Ta myśl dodaje mu otuchy. Czeka, aż kasjer odliczy tysiaka, chowa go do plecaka i wraca na parking. Tam otwiera bagażnik, ze starej torby na narzędzia wyciąga całą zawartość, następnie upycha w niej jakiś stary koc, kilka szmat do przecierania okna, dorzuca jedną kamizelkę odblaskową, zbiera jeszcze wszystkie śmieci, a na górę przekłada tysiąc euro.

Już ma zamknąć bagażnik, kiedy jego spojrzenie trafia na szare pudełko po butach. Całkiem o nim zapomniał. Wręczyli mu je w szpitalu, gdy zamknął już na wieczność oczy ojcu. Przez chwilę korci go, żeby zajrzeć do środka, ale odrzuca ten pomysł, obiecując sobie, że zrobi to, gdy już wszystko się skończy. Nawet jeśli nie jest ciekaw, co stary trzymał w kartoniku, to niech to będzie spełnienie obietnicy, którą mu dał, widząc go ostatni raz żywym.

Zamyka bagażnik i siada za kierownicą. Rusza, przejeżdża kilka metrów i słyszy, że ktoś dzwoni. Zatrzymuje się i odbiera. To windykator. Nareszcie, cieszy się Klaus.

– Zaraz przyślemy ci instrukcje, w jaki sposób przekażesz znaczki. – Głos znowu jak z tuby.

– Nie przekażę – mówi Klaus. – Bo znaczków nie ma. Nie było i nie ma, jasne? Mogę zapłacić.

Chwila ciszy i kiedy Klaus myśli, że to koniec rozmowy, windykator znowu się odzywa:

– Ile?

– A jak sądzisz, gnoju? Tyle ile wzięłem od Francuza. Pasuje?

Kolejna przerwa. Tym razem jeszcze dłuższa. Klaus czuje, że coś go gniecie w klatce piersiowej. Bierze więc głębszy oddech, powtarza go i ucisk ustępuje.

– Może być.

Koniec połączenia.

Klaus odczuwa ulgę. Jest tak, jak sądził, że będzie. Trochę go tylko dziwi, że uwierzyli mu tak na słowo, że ze znaczków nici. Przecież mógł kłamać. Ale co go to obchodzi. Grunt, że finał jest blisko i ta franca wreszcie zobaczy jego środkowy palec.

3.

Jest za kwadrans osiemnasta. Klaus miał być o tej porze w domu Zofii, ale nagle zapragnął zobaczyć Sashę. Chciał zobaczyć kogoś, kto jest poza tym wszystkim. Kogoś, kto tylko samą swą obecnością doda mu otuchy. Trochę się wahał, lecz

w końcu się przemógł i zadzwonił do niej z pytaniem, czy ma chwilę. I teraz parkuje mercedesa niedaleko jej studia. Prawie wysiada, kiedy słyszy sygnał wiadomości SMS.

Czyta ją z kpiącym uśmiechem na ustach.

Jutro w samo południe ma się stawić z pieniędzmi w holu dworca głównego. Wtedy dojdzie do wymiany – torba za Klarę. Prosto i skutecznie, przyznaje Klaus. Tylko że w to nie wierzy. Uważa, że na miejscu dostanie kolejną wiadomość z poleceniem, co ma robić dalej. Może każą mu wsiąść do pociągu albo zanieść torbę w inne miejsce. Albo zaskoczą go zupełnie czymś innym. Na pewno nie będzie tak, że on położy torbę na podłodze, a Klara rzuci się mu w ramiona.

Ale to będzie dopiero jutro.

Chowa telefon i wysiada z samochodu. Teraz chce myśleć tylko o Sashy.

Idąc w kierunku wejścia do jej salonu, znowu czuje ten nieznośny ucisk w okolicy mostka. Tym razem nieco lżejszy, ale i tak nieprzyjemny. Wmawia sobie, że to przez tę cholerną pogodę i skoki ciśnienia. Po krótkiej ulewie znowu wyszło słońce i w kilka chwil zrobiło się jak w dżungli. W radio słyszał, że jutro przejść ma nad krajem kolejny front atmosferyczny, po którym zrobić ma się wreszcie trochę chłodniej. Klaus myśli, że jutro przejdzie też inny front, po którym wymiecie parę gnid z tego miasta.

4.

Sasha czeka na niego w progu salonu. Jej widoczna gołym okiem radość zmienia się w troskę, gdy Klaus się z nią wita.

– Dobrze się czujesz? – pyta, lustrując go wzrokiem. – Wyglądasz, nie gniewaj się, jakby cię coś mocno trapiło.

I to jak – myśli Klaus. Niczym zawodowy pokerzysta robi jednak dobrą minę do złej gry i tłumaczy, że to ta popierniczona pogoda tak na niego wpływa.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – bardziej stwierdza, niż pyta. – Byłem w pobliżu i pomyślałem, że może zobaczę ten twój słynny salon. – Drobne kłamstewko. Klaus wolałby, żeby go nie było. Ale jeszcze nie tym razem. Jeszcze nie teraz. Nie przyjechał tu przecież, żeby się wyżalać.

Sasha oczywiście zaprzecza i Klaus nie ma powodu, aby jej nie wierzyć. Widzi przecież, że ona naprawdę się o niego martwi. Wciąż mu się przygląda, aż zaczyna go to męczyć. Ale gdy kobieta dotyka jego czoła, myśli, że to jak chłodny okład na rozpaloną głowę.

– Gorączki w każdym razie nie masz – słyszy w jej głosie ulgę. – Chodź. Pokażę ci moją fotogalerię. Przychodzą nawet politycy i to ci z pierwszych stron gazet. Pomyślałbyś?

– Super! – Klaus naprawdę się cieszy, chociaż fotografii jakichś upindrzonych gogusiów za bardzo nie ma ochoty oglądać. Tak naprawdę chciałby jedynie usiąść i patrzeć w milczeniu na Sashę. Idzie jednak za nią bez słowa.

– Niezła kolekcja, co? – Sasha wskazuje mu rząd kilkunastu zdjęć gustownie zawieszonych na korytarzu.

Klaus rzuca na nie okiem, mruży coś pod nosem, że fajne, kiwa głową, że niby się nad czymś zastanawia, aż nagle Sasha wybucha śmiechem.

– O rany! Klaus! Przecież widzę, że cię to mało interesuje. Czemu nie mówisz? Chodźmy do mojego biura. Zrobię ci coś do picia.

Klausowi robi się trochę głupio, ale nie zaprzecza. Ma dosyć udawania.

Sasha umieściła w tej małej klitce małe biurko, zwykłe krzesło, mały okrągły stolik kawowy i jeden fotel, na którym Klaus siedzi teraz i wodzi wzrokiem za kobietą. Myśli o tym, że to prawdziwe zrzącenie losu, że ona zadzwoniła, a on zgodził się na spotkanie. Dałby wiele za to, żeby całej reszty nie było. Ale może sobie najwyżej pomarzyć, bo nawet jeśli uparcie odpycha czarne myśli, to te i tak wnikają nieproszone w każdy zakamarek jego mózgu.

Sasha kończy parzyć kawę, stawia filiżankę na stoliku, sama zaś siada przy biurku.

– No i co pana do mnie sprowadza? – żartuje. – Manicure?

Klaus upija nieco kawy, odkłada filiżankę. Mówi:

– A wiesz, co tu było kiedyś?

– Tu, gdzie jest teraz salon?

Klaus kiwa głową.

– Pojęcia nie mam. Jak to wynajmowałam, to lokal był pusty. Podobno od dłuższego czasu.

– Kiedyś był tu prawdziwy bar mleczny.

– Taki jak przy dworcu?

– Eee, nie, coś ty. Co to za bar mleczny, w którym sprzedają schabowe?

Sasha się śmieje.

– Muszą sobie jakoś radzić – uważa.

– No tak, ale kiedyś w takim barze mogłaś zjeść rano bułkę z żółtym serem, do tego kakao, albo kawa zbożowa, to był właśnie bar mleczny. Przychodziłem tu za dzieciaka na takie świeże bułki.

Jak mu się udało zwędzić komuś parę groszy. Podebrać...

– No a teraz jest salon Sashy! – dodaje.

– Podoba ci się?

– Jasne! Jest okej. – Kciuk Klause wędruje w górę w geście uznania. Potem milknie, moczy usta w kawie, poważnieje i nagle mówi:

– Chciałbym, żebyśmy znowu byli razem.

Mówi to pod wpływem nagłego impulsu i sam nie wierzy, że się odważył. Jakby jakaś tajemnicza siła wystukała mu te słowa gdzieś w głowie, poza jego „ja”,

a następnie przepchnęła je przez gardło i usta.

Sasha nie wydaje się jednak zdziwiona. Podpiera brodę na dłoniach, delikatnie się uśmiecha i obserwuje go. Wzdycha.

No to pojechałem po bandzie – myśli Klaus.

– Gdybym nie chciała, żeby tak było, nie prosiłabym cię o drugie spotkanie. Ale...

– Zawsze jest jakieś „ale”, Sasha. Nie musisz się teraz na nic decydować, nie przyszedłem tu w tym celu, to jakoś samo tak wyszło.

– Ale czy na pewno tego chcesz? To chciałam powiedzieć. Po tym, co zrobiłam...

– Powiem ci, tak jak ty mnie. Gdybym nie był pewny, nie byłoby mnie tu ani przedtem, ani teraz. Przecież wiesz. Nie musimy robić drugi raz podchodów.

Sasha nic na to nie odpowiada. Wstaje i podchodzi do niego. Siada mu na kolanach i kładzie głowę na piersi.

– Musisz jednak o czymś wiedzieć – mówi i obejmuje go za szyję. – Miałam ci o tym powiedzieć już wcześniej, tylko...

Klaus nie pozwala jej dokończyć – kładzie palec na jej ustach.

– Na razie wystarczy mi, że chcesz. Na resztę przyjdzie pora, okej? Też powinienem ci powiedzieć parę rzeczy o mnie, ale dzisiaj nie mam na to siły.

Sasha całuje go w usta i zsuwa się z kolan. Wstaje i patrzy na zegarek.

– Muszę jechać po Boryska do niańki. Możesz jechać ze mną.

Dlaczego nie? – myśli Klaus. Gdyby nie to, że Sasha się śpieszy, nie wypuściłby jej jednak tak prędko z ramion.

Tymczasem wstaje, przeciąga się i oboje idą do wyjścia.

Po drodze Klaus raz jeszcze rzuca w korytarzu okiem na paradę gogusiów i nagle staje w miejscu jak wryty.

– Klaus, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – Sasha chwyta go za ramię. – Zbladłeś jakoś.

– Dawno zrobiłaś to zdjęcie? – Wskazuje palcem.

Sasha przygląda się fotografii i mówi, że jakoś tak zaraz po tym, jak otworzyła salon.

– To jakaś artystka jest, z tego co pamiętam – dodaje. – Malarka albo rzeźbiarka... Ale co się stało? Na pewno nic ci nie jest?

– A ten facet obok?

– Nie mam pojęcia, a co?

Klaus nigdy nie wierzył, że życiem rządzi przypadek. Uważa, że tak zwane przypadki to nic innego jak konsekwencje podejmowanych decyzji. Nawet jeśli komuś na głowę spada przysłowiowa cegła, to nie dlatego, że to przypadek, bo można było przecież iść wolniej, albo szybciej, albo w ogóle. Patrzy więc teraz na fotografię Lizy i – jest tego absolutnie pewien – jej współnika i myśli, że to również nie jest przypadek. Świadomie pragnął zobaczyć się z Sashą, a wracając, przyglądał się fotografiom. Tak po prostu musiało być.

– Nic takiego – mówi i jego twarz rozświetla nagle szeroki uśmiech. – Nigdy nie przestałem cię kochać. Wszystko ci wytłumaczę. Pa!

Zanim Sasha zdąży cokolwiek powiedzieć, Klaus jest już na ulicy. Powinien czuć złość, kolejny zawód, a czuje zadowolenie. Bo już wie, co będzie dalej. Nawet nie musiał się nad tym zastanawiać. Błysnęło mu to nagle w głowie, jak rozświetlony krzykliwą czerwienią neon.

Spogląda na zegarek i widzi, że jest wpół do siódmej.

– Od tej pory to ja rozdaję karty – mówi do pustej ulicy.

5.

Zanim wchodzi do domu, odbiera telefon. Dzwoni komisarz Więcek. Klaus dziękuje, że się z nim skontaktował, tłumaczy jednak, że załatwił już „pilną” sprawę. To, w jaki sposób policja powinna działać w przypadku zgłoszenia zaginięcia osoby, jest już w tym momencie nieistotne.

W domu wpada na Zofię. Domyśla się, że mama Klary gdzieś się wybiera. Czyżby trochę odpuściła? A może ma dość siedzenia w jednym miejscu. Tak czy inaczej, niedługo będzie po wszystkim. Z jednej strony Klause to cieszy, z drugiej przeraża. Bo nie wie, czym to wszystko się skończy.

– Idziesz się przejść? Tylko weź jakąś kurtkę przeciwdeszczową, bo znowu się chmurzy.

– Nie trzeba. Idę tylko na parę minut do Staszko. – Zofia otwiera drzwi, ale zatrzymuje się w progu i odwraca w stronę Klause, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale chyba rezygnuje, bo tylko mu się przygląda z uwagą.

– No? Chcesz mi coś powiedzieć? Że znowu schudłem?

Zofia kręci z uśmiechem głową.

– Nie, nie... Ale jesteś jakiś inny, jakby odmieniony.

– To znaczy?

– Jakiś weselszy. Sama nie wiem.

– Weselszy? – Klaus udaje, że nie wie o co chodzi.

– Powtarzasz, a to znaczy, że nie wiesz, co powiedzieć.

– Wiem, ale na razie nie chcę.

Zofia kiwa głową, jakby chciała powiedzieć „akurat ci wierzę”.

– Martin jeszcze jest? – Klaus zmienia temat i zaraz sam sobie odpowiada: – No tak, jest, przecież jego samochód stoi...

Zofia wzdycha i wychodzi.

Klaus tymczasem przechodzi do kuchni. Tam bierze z lodówki butelkę wody mineralnej i idzie z nią do ogrodu. Dzwoni do Martina i prosi go, żeby zszedł na chwilę do altany. Kładzie smartfon na stoliku, po czym zapala camela. Podsuwa sobie drugi fotel, wyklada na niego nogi i czeka. Dawno nie był tak rozluźniony. To

dobrze, bo lepiej mu się myśli. Ale musi też uważać, żeby się z niczym nie zdradzić. Martin udowodnił, że świetnie potrafi grać rolę kochającego faceta i gdyby to zależało od Klausa, przyznałby mu Oscara. Co nie zmienia faktu, że najchętniej urwałby mu łeb, a wcześniej wyciągnął oczy przez nos. Albo wsadził mikser w tyłek. Ale na to przyjdzie jeszcze pora. Za zło trzeba płacić.

Teraz Klaus musi udawać, że nic się nie zmieniło. Zastanawia go tylko, czy układ Liza–Martin, to coś więcej niż tylko chęć oskubania go ze znaczków. W każdym razie na zdjęciu w galerii Sashy oboje wyglądali jak para zakochanych.

Martin zjawia się po kilku minutach. Od razu informuje, że jego wyjazd znowu się opóźni. Klaus nie jest tym oczywiście zdziwiony, ale robi taką minę, jakby był. Jest też trochę zawiedziony, bo nocą śledzenie palanta byłoby mniej ryzykowne niż w dzień.

– Nie będzie jutro części porannej, więc mogę być na miejscu o czternastej. A to oznacza, że wyjeżdżam w końcu jutro rano.

– Co ty powiesz. – Klaus nie może sobie odmówić tej drobnej ironii. – Ty to masz farta.

Martin wzrusza ramionami.

– Nie moja wina, że tak kombinują. Wolałbym być na miejscu.

– Jasne, nie rób sobie wyrzutów – mruczy Klaus i podaje mu papierosy.

– Tak naprawdę to palę sporadycznie, dzięki. – Martin odmawia i siada na wiklinowej kanapie.

Klaus chwilę mu się przygląda.

– Ominie cię najlepsze – mówi.

– To znaczy?

– To znaczy, że jutro wszystko się rozstrzygnie.

– Ale jak? Naprawdę? Dostałeś w końcu instrukcje? – Klaus nie może wyjść z podziwu, jak dobrze sukinsyn udaje.

– Dostałem – mówi i powtarza to, o czym mądrała doskonale wie.

– Kurde, to może jednak zostanę, co? Pojadę z tobą.

Klaus zastanawia się nad takim rozwiązaniem – nie sądzi, aby ta kanalia blefowała. Uważa, że zapewne wzięli z Lizą pod uwagę taki wariant, więc nawet gdyby się zgodził, to i tak niczym ich nie zaskoczy. Woli więc trzymać się własnego planu.

– Mam być sam, zapomniałeś? – mówi w końcu.

– To będę gdzieś z boku, w razie czego ci pomogę, no!

Klaus uśmiecha się półgębkiem. Pomożesz... To ci dopiero!

– Nie, Martin. Muszę być sam, a ty jedź tam, gdzie miałeś być już wczoraj. Diabli wiedzą, kim oni są naprawdę. Obiecuję ci, że jutro Klara będzie w domu.

– Skoro nalegasz...

– Otóż to. Nalegam. Nie będziemy niepotrzebnie ryzykować. Im chodzi wyłącznie o pieniądze.

- Właśnie, co z nimi? Udało ci się wypłacić?
 - Tak. Są w bezpiecznym miejscu.
 - A...
 - A ile? Cóż... sporo, chociaż to zależy od punktu widzenia.
 - No tak... pewnie tak. – Martin kiwa głową.
- Klaus odkłada pustą butelkę na stolik i nagle zrywa się fotela.
- Ja pierniczę! Zapomniałem, że w bagażniku mam zakupy. Wożę je prawie cały dzień...
- Prawie wybiega z ogrodu, a później z domu.

6.

Zanim otworzy bagażnik mercedesa i wygrzebie z niego trzy siaty zakupów, Klaus kuca przy innym samochodzie. To zaparkowany parę metrów bliżej domu ciemnogranatowy opel. Z boku wygląda to tak, jakby idąc, schylił się nagle, kucnął i zaczął majstrować coś przy swoim prawym bucie. Gwoli ścisłości rzeczywiście poprawiał sznurówkę. Ale nie tylko. Podczepił pod spód samochodu Martina małe, sprytne cacko. Jutro powinno go doprowadzić do Klary. Oczywiście, jeśli nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Ale nie sądzi. Bo kto jak nie Martin może pojechać jutro po dziewczynę. Tak czy inaczej, ten fiut na pewno na żadne szkolenie się nie wybiera.

Dosłownie minutę później, kiedy już się dźwiga na nogi, kątem oka dostrzega wyglądającego zza bramki Martina.

- Pomogę ci – słyszy.

W odpowiedzi Klaus macha do niego zachęcająco dłonią i podchodzi do swojego samochodu.

Martin jest już przy nim i chwytą jedną z reklamówek.

- Myślisz, że po tych kilku godzinach mięso się nie zepsuło? – Klaus unosi drugą reklamówkę na wysokość nosa i próbuje coś wywąchać. Ale czuje tylko zapach plastikowego worka.

- Raczej nie. Włożymy to do lodówki i będzie ok. Gorzej, jakby to były udka z kurczaka. Czasem sprzedają z poprzedniego dnia i przy tej pogodzie...

- Szlag wszystko trafia – kończy za niego Klaus. – Taki reset...

- Właśnie.

Wchodzą do domu i do kuchni. Reklamówki lądują na stole. Klaus zaczyna je rozpakowywać.

- A właściwie to gdzie jutro jedziesz? – pyta. – Chodzi mi o miejscowość. Daleko?

- Za Katowice.

- To znowu nie tak daleko. Możesz się nawet wyspać spokojnie.

– Ruszam o szóstej, chcę być trochę wcześniej, bo muszę jeszcze parę rzeczy na spokojnie powtórzyć.

– Jasne, skoro to taki ważny egzamin... – Klaus kończy upychanie zakupów w lodówce, myje dłonie, po czym siada przy stole z butelką kolejnej wody mineralnej. Pije dzisiaj jak smok, ale to przez ten upał. Ma też nadzieję, że ten bezczelny sukinkot zniknie mu w końcu z oczu.

Martin jakby czytał w jego myślach, bo naraz klepie się dłonią w czoło i z głupawym uśmiechem na twarzy oznajmia, że lepiej pójdzie wcześniej spać, skoro ma wstać tak wcześnie rano. No i musi jeszcze powtórzyć parę rzeczy do egzaminu.

– To... do jutra – mówi i wyciąga dłoń na pożegnanie.

Klaus najchętniej zignorowałby ten gest, ale wie, że nie może sobie na to pozwolić. Ściska więc dłoń i kiwa głową.

– Pewnie się rano jeszcze zobaczymy, bo nie sądzę, żebym mógł długo spać – dodaje. – To na razie.

7.

Martin znika, ale Klaus długo w kuchni nie pozostaje sam, bo wraca Zofia.

– I jak tam ploteczki? – próbuje żartować.

Ale Zofii nie jest do śmiechu. Tłumaczy, że poszła do sąsiadki zanieść jej lekarstwa na ciśnienie.

– Dobrze, że biorę takie same, bo wyglądała, jakby zaraz miała dostać wylewu – dodaje.

Klaus wyraża współczucie. Proponuje, aby Zofia usiadła, a on przygotuje coś do jedzenia. Zofia się uśmiecha i mówi, że chyba nie powinna ryzykować. No chyba że Klaus ma zamiar zjeść na kolację gotowaną wodę.

– Nie doceniasz mnie – śmieje się. – Kupiłem nawet wołowinę.

– I myślisz, że zrobisz z niej coś do jedzenia w pół godziny, tak?

Klaus wzrusza tylko ramionami. Nie ma pojęcia, jak długo przyrządza się coś takiego. Daje więc za wygraną:

– No dobrze, poddaję się.

Zofia rzuca mu pobłażliwy uśmiech i zerka do lodówki.

– Oj, Klaus... – mruczy pod nosem. – Z tego, co tu widzę, to na szybko mogę ci podać jedynie figę z makiem.

Klaus parska śmiechem. Jednak nie jest z nią tak źle, myśli zadowolony. Podchodzi do Zofii i przytula ją.

– Nie jestem głodny, prawdę mówiąc. Zjem później jakąś kanapkę.

Ale nie je już nic tego dnia. Miałby problem z przełknięciem, bo żołądek ma zawiązany w supeł od kilku godzin. Leży w ciemności na łóżku i setny raz

zastanawia się, w jakim miejscu może być przetrzymywana Klara. Wie, że nic mądrego nie wymyśli, ale mimo to kombinuje – jakaś piwnica w domu na odludziu, bunkier gdzieś w lesie, może miejsce podobne do tego, gdzie uratował chłopaka przed Ciężkim? Możliwość było dużo i nawet gdyby chciał się przygotować tylko na kilka z nich – i tak nic by to nie dało.

Sięga po telefon i sprawdza godzinę. Jest parę minut po pierwszej. Powinien zasnąć, jeśli ma wstać o tej samej porze, co Martin. Upewnia się, że budzik jest włączony. Nie może zapaść, bo podczepiony pod samochód Martina nadajnik GPS ma ograniczony zasięg. Żeby go nie zgubić, musi wyjechać chwilę po nim.

Odkłada telefon, przewraca się na ulubiony prawy bok i zamyka oczy. Myśli o tym, że powinien sprawdzić, co można przyrządzić z wołowiny. A może wygodniej byłoby zrezygnować z jedzenia mięsa? Lubi przecież fasolkę po bretońsku. Tylko jak tu odmówić sobie kawałka dobrej pieczeni?

8.

Góry były ostatnim miejscem, w którym Klaus chciałby spędzać chociażby kilka chwil. A teraz musiał przewyciężyć paraliżujący strach i dotrzeć jakoś na sam szczyt. Zostało mu jeszcze kilkanaście metrów. Zaledwie. Ale dla niego było to jak kilometr galopem. Tkwił rozplaszczony na pionowej skale, z głową tak zadartą, aż w karku trzeszczało, i usiłował zrozumieć, dlaczego Klara macha do niego wychylona niebezpiecznie poza krawędź urwiska i w dodatku śmieje się w najlepsze. I co, do cholery, tam robi?

Przestał na nią patrzeć i przytulił się policzkiem do zimnej skały. Łapał oddech. Próbował się uspokoić. Jeszcze tylko trochę i będzie po wszystkim. Tylko te parę idiotycznych metrów. Dźwignął w końcu lewą stopę i szurając nią po ścianie wymacał w końcu jakiś punkt oparcia. Teraz musiał przenieść na niego ciężar ciała. Głęboki wdech, raz, dwa, trzy i... Ze zdumieniem uświadamia sobie, że spada, że został tylko śmiertelny strach...

Trochę czasu musi minąć, zanim dociera do niego, że szorstka powierzchnia, której dotyka policzkiem, to nie wyściełane żużlem dno piekła, a dywan w jego pokoju. W uszach mu szumi jak cholera. Siada i rozciera bolące miejsce. Spadając z łóżka, musiał wyrznąć głębią o podłogę. Ja piernicę, myśli. Coś takiego jeszcze mi się nie przytrafiło. I ten absurdalny sen.

Dźwiga się na nogi i zaraz siada na łóżku, bo kręci mu się w głowie. Bierze telefon, potrząsa nim i widzi, że jest kilka minut po trzeciej. Tak jak wtedy w nocy, w zamku. „To jak zły omen”, myśli Klaus, ale zaraz sam się z tego śmieje. Przecież nie wierzy w takie bzdury. Niepokój jednak pozostaje.

Przez chwilę siedzi jeszcze z łokciami opartymi o kolana i brodą podpartą na dłoniach, aż w końcu czuje znużenie, kładzie się i tym razem spokojnie już zasypia.

Rozdział 14

1.

Nic nie daje człowiekowi takiego kopa, takiej adrenaliny, jak moment, w którym uświadamia sobie, że zasnął w najważniejszym momencie. Gdy Klaus zaspanymi jeszcze oczyma wpatruje się jak sroka w kość w białe cyferki na jego smartfonie i dociera do niego, że jest już w pół do szóstej, wyskakuje nagle z łóżka jak te jego pieprzone grzanki z tosterka. Przez moment wodzi wzrokiem za ubraniem. Przecież rzucił je na fotel! No tak, spodnie spadły za oparcie. Sięga i ciągnie za nogawkę. Fotel się przewraca. Kurwa, kurwa, kurwa! T-shirt musi być w szafce. Jest, ale został jeden, ten z dziurą pod pachą.

Pięć minut później Klaus zbiega do kuchni, modląc się, żeby Martin jeszcze był w domu.

Jest.

Siedzi przy stole i spokojnie dopija kawę. Brakuje mu tylko gazety przed nosem. Obok stoi pusty talerz. Czyli zaraz go wywieje, myśli Klaus. Ale i tak jest już spokojniejszy. Najgorsze za nim.

– Tak myślałem, że jeszcze się zobaczymy – tymczasem słyszy. – Pewnie nie mogłeś spać.

– Żebyś, chłopie, wiedział. To była męka, a nie spanie. – Klaus szuka wzrokiem czajnika.

– Kawa jest jeszcze w dzbanku, bierz.

No i dobrze – myśli Klaus. Teraz już mi, gnojku, nie uciekniesz.

Nalewa kawę i z kubkiem wychodzi na zewnątrz. Nie ma siły dalej udawać. Zapala papierosa i wypuszcza z ust dużą chmurę dymu. Nikotynowy obłok ledwo się rusza i do Klause dociera, że taki bezwietrzny, pochmurny poranek przy wysokiej temperaturze niczego dobrego nie wróży. W dodatku jest parno. Spogląda w niebo i ma wrażenie, że mógłby nosem dotknąć chmur.

Gasi papierosa, a kiedy się prostuje, w drzwiach pojawia się Martin. Na ramieniu wisi mu plecak, wypchany, jakby wybierał się na tygodniowe wczasy. Klaus patrzy na niego i aż go ręka świerzbi – taką ma ochotę przyłożyć mu w tę przystojną gębę. Głównie za Klarę – za to, co jej zrobił, za to, co będzie dalej. Powstrzymuje się i sili na uśmiech. Życzy mu spokojnej jazdy. Martin mu dziękuje, schodzi ze schodków, przystaje, przez kilka sekund milczy, a potem mówi:

– Nie myśl sobie, że jest mi łatwo. Czuję się z tym podle.

Spierdalaj, bo nie dojdiesz do bramki! – krzyczy w myślach Klaus.

Nie chce mu to przejść przez gardło, ale w końcu wydusza z siebie:
– Poradzisz sobie. Do zobaczenia.

2.

Pięć minut później Klaus siedzi w samochodzie i obserwuje czerwony punkcik przemieszczający się po mapie w jego telefonie. Kiedy zacznie mrugać, będzie to znak, że niebawem śledzony pojazd może wyjechać ze strefy, w której jest widoczny dla odbiornika. Na razie nic takiego jednak się nie dzieje i Klause bardziej ciekawi to, w którym w końcu kierunku ta szuja zacznie jechać. Bo na razie krąży po mieście w kółko. Jakby czegoś szukała.

Klaus czeka więc cierpliwie aż ten bęcwał obierze w końcu jakąś konkretną drogę i spala trzeciego już camela. Łyknąłby też chętnie drugą kawę. Postanawia więc ruszyć i zatrzymać się na moment na stacji benzynowej przy głównej ulicy w mieście – w razie czego w każdą stronę będzie miał do Martina taką samą odległość.

Wjeżdżając na główną ulicę, Klaus przypomina sobie o korkach i na razie rezygnuje z kawy. Woli nie ryzykować. Chwilę potem dziękuje Bogu za tę decyzję, bo widzi, że Martin kieruje się na drogę wyjazdową z miasta w kierunku zachodnim. Zjeżdża więc w boczną ulicę i po chwili jest już na tej samej drodze, tyle że parę kilometrów za nim.

Po półgodzinie Klaus stwierdza, że jadą tą samą drogą, którą jedzie się w kierunku zamku Czocha. Ma nadzieję, że w lochach chyba jej nie trzymają...

Mija kolejne trzydzieści minut i obaj są już mniej więcej na wysokości zamku, ale nic nie wskazuje na to, aby właśnie tam jechali. Kierunek jednak dalej jest ten sam. Klaus widzi w końcu znak ze stacją benzynową. Musi zjechać i kupić kawę, bo w gardle ma już popiół.

Kiedy wraca do samochodu i sprawdza mapę, widzi, że czerwona kropka zaczyna mrugać. Rusza z kopyta i – łamiąc przepisy – nadrabia stracony czas. Dopiero wtedy decyduje się na łyk kawy. Od razu jest mu lepiej. Sięga też do paczki z papierosami. Ale cofa rękę, bo widzi, że śledzony samochód zjeżdża z głównej drogi. Gdzie on, kurde, jedzie? Klaus nie ma pojęcia, dokąd prowadzi nowa droga, ale widzi na mapie, że wiedzie wprost w zalesiony teren i jest mocno pozawijana. Wygląda więc na to, że jadą jednak w góry. Nie podoba mu się to. Nie podoba mu się i to, że lada moment rozpęta się burza z ulewą.

3.

Boczna droga, w którą wjechał Martin, przez pierwsze dwadzieścia kilometrów wiedzie wśród pól i łąk. Klaus przez ten czas nie dostrzegł ani jednego domu

w zasięgu wzroku. Nic tylko przeorana ziemia, łąki i samotnie rosnące drzewa, a na horyzoncie – wzniesienia. Na szczęście droga jest kręta, Klaus nie musi więc zwiększać dystansu. Jedzie wciąż jakieś cztery kilometry za Martinem.

Po dwudziestym kilometrze droga stopniowo zaczyna się zwężać, aż w końcu staje się dróżką, na której dwa samochody miałyby problem się minąć. Za zakrętem zaczyna się też las i spore wzniesienie. To jakiś koniec dupy – myśli Klaus i coraz częściej zerka na czerwoną kropkę. Wydaje się mu, że jest teraz bledsza niż jeszcze przed chwilą. Gapi się na nią jak zauroczony i nagle staje się to, czego się obawiał najbardziej. Kropka gaśnie.

– Kurwa! – rzuca przed siebie.

Zatrzymuje się, bo nie może jechać dalej. Nie wie, co będzie za kolejnym zakrętem. Sygnał zniknął jakieś trzy kilometry przed nim. Nie powinien. Coś więc musiało się wydarzyć. Gdyby nawet urządzenie odpadło od podwozia, to i tak nadal by wysyłało sygnał, tyle że kropka zatrzymałaby się w miejscu. Więc co się stało, do cholery?

Klaus rozciąga mapę w telefonie i widzi, że według niej droga, którą jedzie, powinna skończyć się już jakieś pięć kilometrów wcześniej. Pieprzone GPS-y. Tam, gdzie się zatrzymał, na mapie widnieje tylko jakaś kreska. Około czterech kilometrów wyżej zaznaczone jest zabudowanie, do którego prowadzi inna droga. Klaus przełącza mapę na widok z lotu ptaka i próbuje się zorientować, co też może się tam znajdować. Wydaje mu się, że to jakaś mała chatka, ale pewny nie jest, bo w większości widok zasłaniają drzewa. Klnie na czym świat stoi i uznaje, że dalej może już tylko iść. Nie chciałby wjechać prosto w paszczę lwa.

Wysiada z samochodu, rozgląda się i widzi parę metrów dalej coś na kształt małej zatoczki. Wraca do mercedesa i parkuje go tam.

Pięć minut później idzie już zwykłą leśną ścieżką, a raczej wdrapuje się pod górę, co chwilę nieprzyjemnie lizany przez chaszcze zarastające przejście. Jednego nie może zrozumieć – co stało się z samochodem Martina? Jedyne, co mu przychodzi na myśl, to że w którymś momencie musiał przeoczyć zjazd z leśnej dróżki. Tak czy inaczej – ma zamiar dotrzeć do tego czegoś, co na mapie wygląda jak mała górską bacówka.

4.

Po prawie godzinnym marszu, wciąż stromo pod górę, Klaus ledwie zipie. Może nie byłoby aż tak źle, gdyby nie fakt, że jakieś pół godziny po tym, jak ruszył w drogę, z nieba spadła prawdziwa ulewa. Deszcz łomocze po liściach, jakby się wściekł za to, że tak długo nie dane było mu spaść. Klaus jest przemoczony do suchej nitki, na dodatek temperatura w kilka minut musiała spaść o jakieś dobre dziesięć stopni i raz po raz jego ciało chłostają podmuchy zimnego wiatru. Czy

przeszedł chociażby połowę drogi? Chatki wciąż nie widzi. Może zmyło ją w cholere – myśli. Zastanawia się też, czy w ogóle do niej dojdzie, bo marsz z każdym metrem staje się trudniejszy – ścieżka zamieniła się w błoto i każdy krok to teraz walka o utrzymanie równowagi.

Klaus robi jeszcze parę kroków i postanawia na moment odsapnąć. W uszach słyszy wodospad, a serce lada moment wyfrunie mu z piersi. Nie ma co – spełnia warunki do przyjęcia na oddział intensywnej terapii. Jeżeli pójdzie dalej, to za kilka miesięcy ktoś znajdzie tu jego nadgryzione zwłoki. Klara musi więc jeszcze chwilę poczekać.

Staje w miejscu i pada tyłkiem na jakieś korzenie. Od razu zjeżdża po nich dobre pół metra. Zjechałby jeszcze niżej, gdyby nie gałąź, którą chwycił w ostatniej chwili. Ma szczęście, ale i pecha, bo przy okazji zahacza nosem o pień drzewa.

Rany boskie – myśli. – To przecież nie jest wyprawa na Mount Everest!

Siedzi tak przez kilka minut. W końcu szum w uszach staje się cichszy i Klaus sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki, skąd wyciąga telefon. Chce wiedzieć, jak daleko jeszcze musi się wspinać. Uruchamia mapę, ale wgrywa się tylko w trybie offline... Serio? I co jeszcze? Oślepnie? Zesztywnieje mu noga? Dostanie padaczki?

– Ja pierniczę! – wzdycha.

Deszcz tymczasem jakby nieco słabnie. Chwyta się tej samej gałęzi, która zatrzymała go w miejscu, i dźwiga się na nogi. Omiata się wzrokiem, maca obolały nos – stwierdza, że ze zdartej skóry sączy się mu krew – i dochodzi do wniosku, że sam Freddy Krueger mógłby się go teraz wystraszyć. Do śmiechu jednak mu nie jest. Nie wie, w co się ostatecznie wpakuje.

Rusza dalej.

Udaje mu się pokonać może ze dwadzieścia metrów, gdy dochodzi do miejsca, w którym ścieżka nie pnie się już tak ostro w górę. Wreszcie. Koniec z udawaniem kozicy górskiej. Nawet jeśli przejście zagradza wysoki na kilka metrów system korzeniowy przewróconego drzewa. Dostrzega w końcu coś na kształt chaty.

– Chwalmy Pana! – wzdycha.

To ostatnia rzecz jaka przychodzi mu na myśl. W głowie eksploduje mu biel, dostrzega milion gwiazdek, a później jest już tylko nicość.

5.

Klaus otwiera oczy i pierwsza myśl, jaka przychodzi mu do głowy, to że umarł. Pamięta ten oślepiający błysk, a teraz jest ciemno jak w dupie. Tyle że umarlaka nie łupałoby tak z tyłu czaszki. Odruchowo chce sięgnąć w to miejsce, ale nie może. Dociera do niego, że siedzi na betonie oparty plecami o jakiś słup, może filar, a jego ręce są związane. Na szczęście może ruszać nogami. Tylko teraz potrzebne mu są jak umarłemu kadzidło.

Wciąż czuje na sobie mokre ubrania, co oznacza, że długo tu nie tkwi. W piwnicy, bo chyba jest w piwnicy tej cholernej chatki, jest ciepło, nawet gorąco. Za łyk kawy oddałby mercedesa. I za papierosa...

Nawet nie musi się zastanawiać, co się stało. Dał się znowu podejść. To musiało się stać, gdy przyczepiał nadajnik pod spód opla. Widział przecież, że Martin wyszedł aż na chodnik, ale do głowy mu nie przyszło, że stał tam już wcześniej. A może tylko wychylał głowę. No i zabawił się z nim w kotka i myszkę. Teraz Klaus naprawdę ma przejebane.

W piwnicy jest upiornie cicho. Klaus stara się złowić uchem choćby najcichszy dźwięk dochodzący spoza niej. Ale albo to cholerstwo jest tak dobrze izolowane, albo w całej chacie nie ma żywej duszy. Co nie wróży niczego dobrego, bo rąk raczej samodzielnie nie uwolni. Ba! Teraz prawie ich nie czuje. Nie czuje też tyłka. Próbuje więc zmienić pozycję, ale udaje mu się jedynie podciągnąć nogi i kolanami dotyka teraz obolałego nosa. Tak też długo nie wysiedzi.

Ciepło, zmęczenie i świadomość, że przynajmniej nie jest jeszcze w piekle sprawiają, że ogarnia go znużenie. Myśli o Klarze – czy w ogóle jeszcze gdzieś jest? Może zakopali ją gdzieś w tych przeklętych górach albo zabetonowali w piwnicy, a on teraz szura tyłkiem po jej grobie...

Otwiera oczy i ze zdziwieniem stwierdza, że chyba musiał się zdrzemnąć. W ustach czuje trampka, chce przełknąć ślinę, ale nie daje rady. Chryste Panie! – myśli. – Zrób coś, człowieku, bo cię tu pies z kulawą nogą nie znajdzie!

Nie czuje rąk. Próbuje poruszyć palcami. Jedna próba, druga, trzecia, w końcu coś zaczyna odczuwać. Nie przestaje i wreszcie może nawet używać siły, żeby krępujące go cholerstwo rozluźnić. Nie wie, ile mija czasu, ale na pewno sporo, gdy dochodzi do wniosku, że w ten sposób z więzów i tak się nie uwolni. To nie film, a on nie jest Jamesem Bondem, kurwa. Zdechnie tu i zamieni się w mumię...

– Bo świat nie jest sprawiedliwy... – Zachciewa mu się śmiać. Jego stary miał rację.

Nagle milknie, bo wydaje mu się, że coś słyszy. A może ma tylko omamy? W głowie wciąż mu łupie, może więc słyszy, jak mu się mózg rozpada na kawałki. Ale nie! Naprawdę coś słyszy! Szczekanie?!

Klaus zamiera i wstrzymuje oddech. Niech to się powtórzy! – błaga w myślach.

– Piksel! Do nogi! Już!

Piksel? Gdzie on to, u licha, słyszał? Dałby sobie głowę obciąć, że gdzieś już...

– Jest tam kto?!

Wołanie z zewnątrz sprowadza go na ziemię.

– Tutaj! – To miał być krzyk rozpacz, ale wychodzi jak „tuchraj” przez poduszkę. A jednak tyle wystarcza.

6.

Światło, które wpada przez otwarte nagle drzwi oślepia chwilowo Klausa, a odczuwany przez niego ból z tyłu głowy jest jeszcze silniejszy. Ledwo to sobie uświadamia, słyszy, że tuż przy uchu mu coś dyszy i sapie. Chyba jednak jestem w piekle – myśli. Ale zaraz potem ktoś rozkazującym tonem woła: „zostaw!”.

Klaus otwiera oczy i widzi przed nosem siedzącego psa. Wydaje mu się wielki jak góra. Ktoś podchodzi i pyta, czy nic mu nie jest. Gdyby mógł, Klaus parsknąłby śmiechem i odparł, że „nie, przecież to najlepszy sposób na poobiednią drzemkę”. Z głową rozłupaną na pół jakby była orzechem włoskim i spuchniętym nochalem.

Prawie niedostrzegalnie kręci więc tylko głową, a później udaje mu się wykrztusić, że ktoś go napadł w lesie.

– Ja cię kręcę! To pan!

Klaus nie bardzo rozumie.

– To znaczy?

– Człowieku, przecież wydarłeś mnie spod młotka tego debila Ciężkiego! Nie pamiętasz?

Klaus wzdycha. Rozpoznaje głos chłopaka, chociaż twarzy pod światło dalej dokładnie nie widzi.

– Teraz już tak – mówi. – Rozwiąż mi ręce, bo za moment same mi odpadną. Jak ty tu trafiłeś?!

Jerry dwoma sprawnymi cięciami scyzoryka rozcina mu więzy i mówi, że niedaleko stąd rodzice mają baczówkę przerobioną na domek letniskowy i po ulewie wyszedł z psem na spacer. Trafił na samochód, a reszta to zasługa Piksela.

– Od razu poznałem ten samochód – mówi, zadowolony. – Ktoś chyba panu włamał się do bagażnika.

Nie ktoś, tylko ta kanalia. Klaus nie ma wątpliwości. Ma tylko nadzieję, że śpiesząc się, Martin nie sprawdził dokładnie zawartości torby i o tym, że ukradł stare szmaty, dowiedzą się z Lizą, jak już się poczują bezpiecznie.

– Kij z bagażnikiem. – Klaus dźwiga się na nogi, ale zaraz musi chwycić się słupa, bo czuje, że fiknie kozła. W głowie ma karuzelę. Czeka więc, aż przestanie wirować i pyta chłopaka, czy ma może coś do picia.

– Jasne! – Jerry zdejmuje mały plecak i wydobywa z niego butelkę z wodą mineralną.

Klaus pije tak, że cieknie mu po brodzie. Gdy kończy, przez chwilę nic nie mówi, po czym beka tak głośno, że aż Piksel stawia uszy w sztorc.

– Sorry – mówi i sięga do kieszeni. Paczka z papierosami jest, ale one same rozmiękły. – A papierosy też masz? Moje są przemoczone.

– Nie.

No tak, tego byłoby już za dużo.

- Słuchaj... jestem ci wdzięczny. – Kładzie dłoń na ramieniu chłopaka.
- Nie ma sprawy, cieszę się, że pomogłem. Ale... kto pana tak załatwił? Te oprychy Dolara?
- Nieee, to zupełnie inna historia. Dasz mi swój numer telefonu, to zadzwonię, zabiorę cię na dobry obiad i opowiem ci. Może być?
- Pewnie! Chętnie!
- Klaus na zmianę rozciera ręce i masuje guza na głowie. W końcu zadaje to najważniejsze pytanie:
 - Dom jest pusty? Sprawdzałeś?
 - Próbowałem wejść, ale drzwi są zamknięte na klucz. Więc pewnie żywego ducha w nim nie ma.
 - Hmm... Tak myślałem... Ale i tak muszę sam sprawdzić. Wyjdźmy już z tej nory.

7.

- Dopiero po wyjściu na świeże powietrze rozumie, że ostatnie godziny spędził w zatęchłej dziurze i prędzej niż z pragnienia umarłby z tego syfu, którym oddychał.
- Wiesz, że miałem przyjemność, albo i nie, poznać już twojego psa?
 - Co pan mówi? – Chłopak robi wielkie oczy. – Gdzie?
 - Chyba to był dom twoich starych, zapytaj zresztą tej sympatycznej starszej pani.
 - Babci Leny?! Ale...
 - To taki mały epizodzik. – Klaus się uśmiecha. – No dobrze, teraz w zasadzie powinieneś zostać na miejscu, bo ja mam zamiar włamać się do tej budy. W razie czego nie chciałbym, abyś miał przez to jakieś problemy.
 - No co pan? Ledwo się pan trzyma na nogach, wejdziemy razem. Zresztą tu prawie nikt nie mieszka.
 - Jesteś pewien? Że to puste stoi? Teraz też?
 - Chłopak marszczy czoło.
 - Teraz to nie wiem... nie siedzę tu cały czas.
 - Właśnie – mruczy Klaus i wchodzi na werandę. – W kubie są śmieci, więc chyba ktoś tu jednak był.
- Nie tylko śmieci o tym świadczą, bo parę metrów dalej widać ślady po niedawnym ognisku. Aż tak Klausowi to jednak nie obchodzi. Chce wejść do środka. Może trafi na jakiś ślad, który podpowie mu, co robić dalej. Musi coś znaleźć, żeby poczuć się odrobinę lepiej. Gdyby nie jego głupota, Klara być może byłaby już wolna.
- Wchodzi na werandę, zagląda do okien, ale nic szczególnego nie dostrzega. Podchodzi do drzwi, szarpie klamką, naciska i uznaje, że solidny kopniak powinien wystarczyć. Barkiem napierać, z uwagi na głowę, nie odważyłby się.
- Okej – mówi i robi swoje.

Drzwi odskakują, Piksel szczeka, Klaus się dziwi, że tak gładko poszło.

– To sezam otwarty – stwierdza Jerry. – Wchodzimy?

8.

W środku uderza w nich zapach smażonego boczku, może z cebulą. Klaus domyśla się, że to po niedawnym śniadaniu. To skojarzenie sprawia, że czuje ssanie w żołądku. Rozgląda się po pokoju i nagle jego wzrok trafia na mały plecak w drobne kwiatki. Taki sam jak Klary. Klaus czuje przyływ adrenaliny. Teraz nie ma już wątpliwości, że dziewczyna tu była. Znowu ma ochotę zatłuc skurwysyna. Zagląda do plecaka, ale nic interesującego w nim nie znajduje. Chociaż... Po co jej tyle t-shirtów – zastanawia się. – Szła do sklepu po grzybki z połową szafy?

– Idę zobaczyć na piętro – mówi tymczasem Jerry.

– Okej! – Klaus odkłada plecak i pociera skronie. Coraz mniej z tego rozumie.

Wygrzebuje z kieszeni telefon, uruchamia i widzi, że guzik będzie z dzwonienia, bo nie ma nawet jednej marnej kreski zasięgu. Czyli nie zadzwoni do tego sukinsyna i nie zapyta, co zrobili z Klarą. Będzie musiał poczekać. No trudno – myśli. W końcu ktoś się ze mną skontaktuje. Bo o tym, że Klara mogłaby już nie żyć, nie myślał przecież poważnie. Nie dopuszcza do siebie tego.

– Ej! Człowieku! – słyszy nagle. – Tu ktoś jest!

Klaus zrywa się na nogi i mimo pulsującego znowu bólu w głowie pędzi na górę. Wbiega na kilkumetrowej długości korytarz obity boazerią i dostrzega trzy pokoje wzdłuż niego. Klaus wpada do pierwszego, ale nic tam nie ma.

– Gdzie?! – wrzeszczy.

– Tutaj! – Z ostatniego pokoju wychyla się głowa chłopaka. – Jakaś...

Klaus już tam jest. Patrzy i własnym oczom nie wierzy. Na łóżku wciśniętym pod skośną ścianę leży Klara.

9.

Dziewczyna leży na plecach z jedną nogą lekko podkurczoną i jedną ręką spoczywającą na brzuchu. Jest w krótkich szortach i zielonkawej bluzce na ramiączkach. Klaus nie rozpoznaje tego ubrania. Stoi wciąż w progu i boi się podejść. Myśli, że gdyby spała, musiałyby się obudzić, kiedy łomotnął w drzwi. Hałas umarłego wyrwałby z butów.

– Myśli pan, że... – Jerry spogląda niepewnie na Klause. – Kurde, wygląda jak śpiąca królewna...

– To Klara, moja siostra.

– Co pan mówi?!

Klaus wreszcie podejmuje decyzję. Nie będzie tak stać w progu i zastanawiać się, czy ona żyje, czy nie. Podchodzi do łóżka i dotyka Klary. Ciało jest ciepłe. Klaus nabiera otuchy. Nachyla się nad ustami dziewczyny, czuje jej słaby oddech.

– Żyje – mówi. – Ja pierniczę, ona żyje! – Klepie chłopaka w ramię. Chwyciłby go nawet w objęcia, gdyby nie to, że Piksel właśnie ostrzegawczo warczy.

10.

Klaus wciąż stoi nad Klarą i główkuje, dlaczego dziewczyna się nie budzi. Próbuje ją delikatnie potrząsać, ale nic to nie daje. Jakby zapadła w śpiączkę, myśli. Co ten sukinsyn jej zrobił? Odwraca się w stronę Jerrego i wtedy trafia wzrokiem na kartkę. Leży na małej szafce ustawionej w nogach łóżka. Bierze ją i czyta:

„Klara! Zejdź do piwnicy, jest tam ktoś, kto ci wszystko wytłumaczy. Tak sędzę. PS Środek na sen, który ci podałem, nie jest szkodliwy. Nie musisz się martwić, że umrzesz... M”.

Klaus podaje kartkę chłopakowi. Ten ją czyta i robi wielkie oczy.

– Mówiłem, że śpiąca królewna... A ten „em”, to kto? Jakiś znajomy?

– Zwykły dupek, który jeszcze nie wie, co go czeka.

– I co teraz?

– Jeśli się śpieszysz... nie krępuj się. I tak dużo mi pomogłeś. Jeszcze raz dzięki, Jerry.

– Prawdę mówiąc, powinienem już wracać. W domu będą się niepokoić, a zadzwonić się stąd nie da.

Klaus podchodzi do Jerry’ego i wyciąga rękę.

– Tak w ogóle, to jestem Klaus.

– Klaus? O, kurde, fajne imię, Klaus.

– Taaa... Z Dolarem sobie poradziłeś?

– Podrzuciłem mu połowę kasy, ale na razie wolę im schodzić z drogi. A jak znajdę jakąś robotę, to oddam resztę.

Klaus rozgląda się po pokoju, zauważa pusty notes i długopis, pewnie ten sam, którym kanalia Martin łaskawie skreślił tych parę słów. Zapisuje swój numer telefonu i podaje chłopakowi.

– Zadzwon do mnie w przyszłym tygodniu, może będę miał dla ciebie spokojne zajęcie. Legalne – dodaje z uśmiechem.

– Super. To dzięki. Na pewno sobie poradzisz, Klaus?

– Jasne. Pozdrów babcię Lenę.

11.

Klara wciąż śpi. Klaus schodzi więc na dół, znajduje resztki kawy i gotuje wodę w jakimś starym rondlu. Myszkuje też w poszukiwaniu chociażby połówki papierosa. Ale nic nie znajduje. To nic, wmawia sobie. Głód nikotynowy trwa zaledwie kilkadziesiąt sekund. Byle o tym nie myśleć. Ale myśli, cholera. Skubie brodę i czeka, aż woda w garnku zacznie bulgotać, wyobrażając sobie długiego na metr camela. Później zaparza kawę i wraca z nią na górę. Siada obok Klary i cierpliwie czeka. Zastanawia się, co jej powiedzieć, gdy w końcu otworzy oczy. Na razie nie ma bladego pojęcia. Może po prostu wyzna jej prawdę. Może.

Siedzi tak, siorbie tę lurę i czuje, że mimo to za chwilę sam zaśnie. Postanawia wstać i poszukać łazienki. Nawet nie pomyślał o tym, żeby chociaż obmyć twarz. Odstawia kubek z kawą na podłogę i właśnie zamierza wstać, kiedy słyszy ciche jęki. Klara wraca do żywych.

Klaus czeka, aż dziewczyna się przebudzi, a kiedy otwiera oczy...

– Klaus?! Co ty tutaj rob... Jezu kochany, ale mnie boli głowa... – Klara siada na łóżku i pociera ręką czoło. – Jak mnie znalazłeś? A gdzie reszta? I co ty masz z nosem?! Matko święta...

Klaus bierze ją za rękę i delikatnie ściska.

– Spokojnie – mówi. – Wszystko ci opowiem.

Klara znowu chwyta się za głowę.

– Coś mi się stało! – mówi przerażonym głosem.

– Nic ci nie jest, twardo spałaś, uspokój się.

– Jestem spokojna.

Klaus w to mocno wątpi i kiedy widzi, że Klara opuszcza nogi z łóżka, powstrzymuje ją.

– Zaczekaj jeszcze, bo ci się zakręci w głowie – tłumaczy.

Klara go słucha, chwilę milczy, a później znowu pyta, co on tu, do cholery, robi i co jest w ogóle grane? Dlaczego ona twardo spała, skoro miała iść z Martinem na spacer?

– Zanim powiem ci, skąd się tutaj wziąłem i dlaczego mój nos wygląda, jakbym go pieścił w imadle, ty mi wytłumacz, co tutaj robisz.

– Serio? Nie wiesz, co ja tu robię?

– Nie wiem.

Oczy Klary robią się olbrzymie i Klaus zastanawia się, czy za chwilę nie wypadną. Chyba będzie ich musiał szukać na podłodze.

– Przecież Martin wszystko wam chyba powiedział! No! Powiedz, że tak!

Klaus bierze głęboki oddech. Jak ma jej to, kurwa, wszystko powiedzieć?

– Klara, po prostu powiedz, co tu robisz.

– Jesteśmy w górach na małych wakacjach. No? No co tak wywalasz gały? Martin zrobił mi niespodziankę i zabrał do tego domku. Razem z Makarym i Izą. Jutro,

najpóźniej pojutrze mieliśmy wracać. Przecież mam cholerne wakacje, nie? Co cię tak dziwi, Klaus?

– I nie przyszło ci do głowy, żeby dać znać? Mnie, mamie? Tak sobie po prostu zniknąłeś po dziesiątej w nocy i...

– Tu nie ma żadnego zasięgu, głupolu jeden! A Martin miał wam...

– Martin to jedna wielka ściema, siostrzo.

12.

Prawda o tym, kim okazał się ukochany jego siostry i co zrobił wspólnie z Liżą i dwójką ich znajomków, długo dociera do Klary. Nie może w nią uwierzyć – albo nie chce. Klause wcale to nie dziwi. Jest jednak spokojny o to, że siostra z czasem dojdzie do siebie. Cieszy się, że w ogóle żyje. Cieszy się, że Zofia znowu będzie sobą. Wyobraża sobie jej radość, kiedy zobaczy Klarę w drzwiach i robi mu się jakoś lżej na duszy. Zapomina nawet o bolącym nosie.

Rozdział 15

1.

Ranek następnego dnia jest rześki i słoneczny. Klaus mości się na „swoich” schodkach, opiera o ścianę i myśli, że przez rok nie przeżył tyle, co przez ostatnie dni. Po nieprzespanej nocy – rozmawiali z Klarą i Zofią prawie do czwartej na ranem – dopiero teraz tak naprawdę zaczyna odczuwać ostatnią dobę. Ziewa szeroko, trze oczy, dotyka nosa. Wciąż czuje, że go ma, a opuchlizna zdążyła już prawie zejść. Klara dała mu jakąś swoją tajemniczą miksturę i kazała nią wysmarować bolące miejsce, dodając, że powinien to zobaczyć lekarz. Bo „o zakażenie, Klaus, nietrudno”. Klaus już jednak nie słuchał. Cieszył się tylko, że jego siostra jest sobą.

– Zaraz tu zaśniesz.

Klaus odwraca się, spogląda w stronę drzwi, gdzie stoi Klara i myśli, że wcale nie wygląda jak ofiara porwania.

– Siadaj – mówi, klepiąc dłonią w miejsce obok. – Posiedzimy sobie razem.

Siedzą tak w milczeniu przez kilka minut, słuchając głosu miasta. W końcu Klara się odzywa:

– Twój nos.

– Co z nim?

– Jest już lepszy. Mówiłam, że maść pomoże? Teraz jeszcze...

– Klarka! – Klaus obejmuje ją. – Nic mu nie będzie. Za bardzo się lubimy.

Śmieją się.

– Muszę cię przeprosić – mówi Klara.

– Mnie? Za co?

– Bo gdybym mu nie powiedziała o tych znaczkach...

Klaus kręci głową.

– Nie, nie, nie. On i tak wiedział o nich od Lizy, a jej powiedziałem ja. No tak. Już dawno. To ona to nakręciła. Nie masz za co przeproszać.

– Klaus... byłam taka głupia... Dałam mu się uwieść jak nastolatka...

– A co ja mam powiedzieć? – wzdycha Klaus. – Trzeba przyznać, że wymyślili sobie to naprawdę sprytnie. Liza wiedziała o Francuzie, wygadałem się jej o znaczkach i wykombinowała, że mnie oskubie nawet z nich. Nie wiem, czy już wtedy знаła Martina, czy nie, ale pomysł z tym, żeby cię uwieść, wkraść się w twoje łaski, a później stworzyć pozory porwania był naprawdę genialny. I ta jego legenda o tym, że pracuje dla policji...

– To dlatego sam nie zgłosiłeś, że... zniknęłam?

– A jak sądzisz? Przecież pierwsze, co mi powiedział po twoim zniknięciu, to że jego kumple wszystkim się zajęli. Sukinsyn wiedział, że nie będę nic sprawdzał. Zagrali ze mną trochę tak, jak ja z innymi... Oszukali oszusta, wiedząc, że w razie czego i tak nie pójdę na policję. Sprytnie, nie ma co.

– A ja naprawdę uwierzyłam, że on mnie kocha...

Klausowi jest żal Klary. Mógłby ją pocieszać przez następną godzinę, ale wie, że nic by to nie dało.

– Wiesz, co? – mówi. – Dajmy temu na razie spokój. Okej?

Klara milcząco potakuje. Ale długo w ciszy nie wytrzyma.

– Tak bardzo chciałeś tych znaczków – wzdycha. – Sama byłam ciekawa.

– To tylko kawałki zadrukowanego papieru, nie myślę o tym. No, przynajmniej staram się.

– Ale i tak szkoda.

– Cóż... Przynajmniej w tym Martin, czy jakkolwiek się nazywa, miał rację. Że uganiem się za cieniem.

Klaus wstaje. Nie chce dalej rozmawiać o znaczkach i tym, co było.

– Jadę na spotkanie z Sashą. Mówiłem ci o niej, pamiętasz?

– To ta, co tak zniknęła... jak ja.

Klaus wybuchają śmiechem.

– Prawie jak ty. Tak, to ona.

– Więc się odnalazła?

– Właśnie. No i mamy coś do omówienia.

– Tylko uważaj, żebyś znowu... no wiesz co.

Klaus wie. Pewnie, że wie. I obiecuje, że tym razem będzie inaczej. Że wie, co robi. Próbuje nawet żartować i wskazując na swój nos zapewnia, że on też wie. Ale Klary to nie rozśmiesza. Mówi, że dosyć już w rodzinie miłosnych zawodów. Klaus ma dokładnie takie samo zdanie.

2.

Zanim dociera do salonu Sashy, zahacza jeszcze o własną galerię. Tam uprzedza swoją pracownicę, że za kilka dni zgłosi się do niej do pomocy sympatyczny młody człowiek.

– Na parę godzin dziennie – tłumaczy. – Możesz sama z nim ustalić, co i jak. I miej na niego oko.

Jola nie widzi problemu. Mówi, że się cieszy, bo przynajmniej nie będzie tu sama.

Klaus żegna się i zamierza już wyjść, kiedy przychodzi mu coś do głowy.

– Pamiętasz, jak mi kiedyś opowiadałaś o tym swoim facecie, że tak niefajnie się z tobą rozstał? – pyta.

– A, ten. Pamiętam, ale to było w innym świecie.

– Mogę cię zapytać, jak sobie z tym wtedy poradziłaś? No wiesz... Chodzi mi o psychikę i w ogóle...

– Znalazłam sobie drugiego i mi przeszło.

Klaus kiwa głową.

– No tak, jasne. To dobrze. To na razie.

Wychodzi i myśli, że z Klarą tak łatwo nie będzie. Szkoda.

3.

Z Sashą Klaus spędza trzy godziny. Przez pierwsze dwie snuje opowieść o tym, co go spotkało od początku, kiedy przyjechał do miasta. Nie pomija niczego. Na deser zostawia prawdę o sobie. Wie, że może go to drogo kosztować. Że po tej spowiedzi Sasha może mu powiedzieć: „*adios mi amigo!*” i nigdy więcej jej nie zobaczy. Ale jeśli mają być razem... Klaus nie chce już żadnych bajek z mchu i paproci.

– Tak więc wiesz już o mnie wszystko – kończy i bierze głęboki wdech.

Siedzą na starej drewnianej ławce w małym parku nad rzeką. Jest ciepło, nawet gorąco, ale już bez tej koszmarnej duchoty. Klaus czeka na jakąś reakcję Sashy. Czuje się jak wtedy, gdy sąd dla nieletnich decydował po jego kolejnym ekscesie o tym, czy dać mu jeszcze jedną szansę, czy zamknąć go w poprawczaku. Pewnie rzeczy się nie zmieniają, myśli.

– Muszę zapalić, wybacz. – Nie wytrzymuje, wstaje i odchodzi parę metrów w bok. Dopiero wtedy spogląda na Sashę i ze zdziwieniem stwierdza, że ma taką minę, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale się bała.

– Sasha, jeśli chcesz mi powiedzieć, że nic z tego nie będzie, to... wcale nie będę zdziwiony. Naprawdę.

– Nie o to chodzi, Klaus. Kochałabym cię nawet, gdybyś mi powiedział, że zabijasz ludzi za pieniądze. Wiem, jaki jesteś i to mi wystarcza.

– Więc...

– Chodzi o Borysa – wpada mu w zdanie Sasha.

Klaus gasi peta o niewysoki murek biegnący wzdłuż rzeki i wrzuca go do kosza. Potem podchodzi do Sashy, staje przed nią i odgarnia ten jej niesforny kosmyk włosów, zahaczając go za ucho.

– I ty myślisz... – mówi, ale zaraz milknie na moment. – Mogę go nawet adoptować.

– Właśnie o to chodzi – wzdycha Sasha. – Nie możesz tego zrobić. – Spogląda na niego.

– Nie rozumiem. – Klaus siada obok niej. – Nie chcesz tego?

Sasha się uśmiecha tajemniczo.

– Oj, Klaus... Jakiś ty niedomyślny. Jak by to wyglądało, gdybyś adoptował własnego syna...?

4.

Wracając do domu Zofii, Klaus na głównej ulicy prawie wjeżdża w tył busa jakiejś firmy kurierskiej, a później, ostro skręcając, potrąca na chodniku kubeł na śmieci. Zatrzymuje się i podnosi go. Na szczęście jest pusty, nie musi grzebać się w odpadkach. A nawet jeśli musiałby, to co? Wraca do samochodu i odchyła się na fotelu.

– Opanuj się, baranie! – mówi do siebie i wybucha śmiechem.

Myśli o tym, że „tata Klaus” brzmi o wiele lepiej niż „wujaszek – złodziejaszek”.

5.

Tej nocy Klaus nie może zasnąć. Jego myśli nieustannie orbitują wokół małego Borysa. Wciąż go ma przed oczyma i dochodzi do wniosku, że gdyby nie był takim głupolem, to już za pierwszym razem zauważyłby, że dzieciak ma dokładnie taki sam nos jak on. Nie mówiąc o lekko odstających uszach. Jak to mówią – wypisz, wymaluj, cały on. Nie może też powstrzymać się od uśmiechu, wspominając minę Klary, kiedy wpadł do domu i powiedział jej, że może faktycznie w ciąży to ona nie jest, ale ciocią już na pewno. Klara oczywiście nie chciała mu uwierzyć, była przekonana, że robi sobie z niej jaja w odwecie za jej żarty. W końcu jednak dotarło to do niej. No i radości nie było końca. Prawie jak w bajce.

Teraz Klaus uważa, że jeśli chodzi o Klarę, to nic lepszego nie mogło się zdarzyć. Nie zdążyła jeszcze poznać Sashy, ale już się zadeklarowała, że przynajmniej do końca wakacji może robić za niańkę. Przecież jest ciocią Klarą, do licha!

A co z nim samym? Klaus ma parę pomysłów. Na pewno zainwestuje w galerię. Może nie tyle, ile planował, gdyby znaczki nie okazały się fikcją, ale coś mu tam jeszcze zostało. Z głodu w każdym razie umrzeć nie powinien. Musi też pomyśleć o jakimś fajnym miejscu, w którym zamieszkają razem z Sashą. Wynajęte ostatnio mieszkanie nie wchodzi w rachubę – Liza knuła tam przecież swój spisek. Wymieni zamki, zapłaci za okres umowy i tyle. A później... Kto wie, co będzie później? Czy jest w ogóle sens, aby się nad tym zastanawiać? Może tylko nad tym, co dalej z tą parą oszustów... Klaus nie sądzi, by mieli się w jakiś sposób mścić na nim. Na razie są to i tak jedynie rozważania, bo słuch po Lizie i Martinie zaginął. Ale kto wie, co będzie dalej?

Bum!

Po raz drugi

Jest koniec sierpnia, prawie miesiąc po tym, gdy okazało się, że porwana Klara wcale nie była porwana. Klaus niedawno wrócił z galerii, gdzie z niejakim zdziwieniem zauważył, że Jerry kręci się koło Joli jak pszczoła koło miodu.

Teraz siedzi jednak w swoim dawnym pokoju w domu Zofii, przez otwarte okno słyszy Klarę, która w ogrodzie rozśmiesza czymś Borysa i nagle już wie, co ma zrobić. Nawet jeśli przez ostatnią godzinę bił się z własnymi myślami, teraz jest już pewien.

Bierze więc ze stołu kopertę i raz jeszcze sprawdza, czy dobrze ją zaadresował: „Dyrektor Franciszek May, zamek Czocho...”. I na końcu dopisek: „Do rąk własnych”. W środku nie będzie żadnej kartki, żadnego wyjaśnienia. Klaus uważa, że May o nic też nie będzie pytał. Tak jak te kilka rodzin, dla których był Świętym Mikołajem, a przed czym – zupełnie niepotrzebnie, jak się okazało – przestrzegali go Mecenasy.

Rozchyła więc kopertę i wkłada do niej trzy małe znaczki. Chwilę się jeszcze waha, po czym zakleja ją taśmą. Ostatni, czwarty znaczek, wkłada tam skąd wyciągnął je wszystkie – do małego tekturowego pudełka po butach. Tego samego, które zostawił mu jego ojciec, stary złodziej, a on woził je przez ponad miesiąc w bagażniku, nie mając świadomości, co się w nim znajduje. I gdyby nie Sasha, której pudełko przeszkadzało w bagażniku po zrobieniu solidnych zakupów, długo by do niego pewnie jeszcze nie zajrzał. Może nawet wyrzuciłby je w cholerę bez otwierania.

Sięga po wieczko pudełka i pod wytartym już napisem – „Dla Klausa” – dodaje nowy wpis – „Dla Borysa”. Zanim całość zamyka, sięga raz jeszcze po mały notes i kolejny raz czyta, co napisał mu ojciec – że przekazuje mu coś, co sam otrzymał od swojego ojca. „Dziadek, a w każdym razie mój tato” – pisał ojciec Klausa – „dostał te znaczki od Gutschowa, kiedy kończyła się wojna. Mówił mi, żeby ich pilnował, bo kiedyś będą cenne. Nie wiem, Klaus, czy tak jest, czy nie, nie znam się na tym, w każdym razie postanowiłem przechować je dla ciebie. Co z nimi zrobisz, to już twoja sprawa. To właśnie chciałem ci powiedzieć. To i coś jeszcze. Coś, dzięki czemu może zrozumiesz, dlaczego byłem dla ciebie taki podły. Dotyczy to ciebie, Klary i Zofii. Chodzi o...”.

Klaus dalej nie czytał i teraz też nie chce. Nie chce nawet myśleć o tym, czego jeszcze mógłby się dowiedzieć. Może niczego takiego, a może byłoby to coś, co

wywróciłoby jego życie kolejny raz do góry nogami. I kto mu zaręczy, że nie byłaby to jakaś rewelacja pisana w pijackim amoku ojca.

Zamyka więc pudełko i chowa je za książkami na półce. Potem wychodzi z domu, chwilę bawi się z Borysem, a później mówi Klarze, że na chwilę znika.

– Jadę na pocztę. Muszę wysłać parę milionów.

– Ej, ty żartownisiu – śmieje się Klara.

KONIEC

Kwiecień 2023

Zamek Czocho

Uwielbiany przez turystów, pełen skrytek i tajnych przejść zamek wzniesiony został z rozkazu króla czeskiego, Władysława I Przemyśłidy. Początkowo była to warownia na pograniczu śląsko-łużyckim w latach 1241–1247. Przez stulecia zmieniał właścicieli, a wraz z nimi swoje oblicze. Największe zmiany zaszły, kiedy kupił go drezdeński przedsiębiorca Ernst Gutschow. To wtedy w zamku powstały tajne przejścia i skrytki, które do dzisiaj rozpalają wyobraźnię poszukiwaczy skarbów. Już w czasach współczesnych zdarzyło się, że pewna para z Niemiec, udając hotelowych gości w zamku, okradła jedną ze skrytek, o której nikt wcześniej nie wiedział. Do dzisiaj nie jest pewne, czy w skrytce było cokolwiek.

Zamek znajduje się we wsi Sucha w gminie Leśna na terenie powiatu lubańskiego w województwie dolnośląskim. W bezpośrednim sąsiedztwie zamku zlokalizowanych jest kilka dużych parkingów, w tym prywatne oraz należące do administratora zamku.

Zamek można oczywiście zwiedzać – ze szczegółami najlepiej zapoznać się na oficjalnej stronie: www.zamekczocha.com/atrakcje/nocne-zwiedzanie-zamku-czocha.

Kontakt:

Tel. +48 (75) 721 15 53 / 693 080 769;

Adres e-mail: zamekczocha@rewita.pl.

Zamek oferuje gościom multum wrażeń. Najlepiej zwiedzać go z przewodnikiem, zaczynając od odwiedzin Sali Rycerskiej. Wędrując po zamkowych komnatach i zakamarkach, a także korzystając z ukrytych przejść, dotrzemy m.in. do skarbcza czy bogato wyposażonej biblioteki. Trasa zwiedzania poprowadzi też do tajemniczej sypialni, gdzie zamontowano zapadnię. W ofercie można więc znaleźć: Multimedialne Sale Tortur Zamku Czocho, Pracownię Alchemika, Warsztat Kata, Więzienie Czarownic, a nawet... Dom Duchów.

Ciekawostką jest to, że w jednym z ukrytych pomieszczeń zamkowych tuż po II wojnie światowej znaleziono zbiór popiersi carów rosyjskich – od założyciela państwa rosyjskiego, Ruryka aż do ostatniego przedstawiciela dynastii Romanowów. Był tam też księgozbiór liczący 25 tys. woluminów, kolekcje zbroi, a nawet – podobno – rękopis jednego z dzieł Rasputina.